



SPEŁNIONY SEN

OPOWIEŚĆ BIOGRAFICZNA
O ŚWIĘTYM JANIE BOSKO

TERESIO
BOSCO

« Na przelomach dziejów powołuje Bóg niezwykłych ludzi, którzy wyrastają ponad ogół i jako apostołowie, wśród powszechnego zamętu, słowem i czynem stają się wodzami ludzkości. Wiek dziewiętnasty — wśród innych wielkich mężów — miał swojego apostoła w osobie świętego Jana Bosko. Nie rządził on światem ze Stolicy Piotrowej, ani z monarszego tronu. Nie był doktrynerem politycznym. Nie stwarzał nowych systemów filozoficznych. A jednak na bieg historii współczesnej wywarł wpływ potężny, a myśli jego są wskazaniem przewodnimi dla naszego pokolenia ».

Kardynał August HLOND, Prymas Polski
salezjanin

« Jeden człowiek przed stu laty z gromadką chłopców rozpoczął olbrzymie dzieło. Dzisiaj zawrotne liczby, które możnaby przytoczyć, są jeszcze zbyt niedoskonałe i zbyt mało mówiące, by odtworzyć ogrom dzieła, którego Bóg dokonał przez swojego Sługę Jana Bosko. Dziś trzeba nam właśnie bohaterów na miarę św. Jana Bosko ».

Kardynał Stefan WYSZYŃSKI, Prymas Polski

« Św. Jan Bosko wszedł do historii jako wielki Apostoł czasów nowożytnych. Skierował on oczy Kościoła na młodzież, stanowiącą w każdym czasie fundament pod budowę lepszego społeczeństwa nadchodzących czasów ».

Arcybiskup Antoni BARANIAK, Metropolita Poznański
salezjanin

TERESIO BOSCO

SPEŁNIONY SEN

Opowieść biograficzna o św. Janie Bosko


NAKŁADEM KSIĘŻY MARIANÓW

00198 Roma, v. Corsica 1

Tytuł oryginału: « Don Bosco — una biografia nuova »
Z włoskiego tłumaczyła Anna Gryczyńska
Strony tytułowe opracował ks. Ignacy Ryndzionek SDB
Zdjęcia: Archiwum Generalne Towarzystwa Salezjańskiego

53621

RZYM 1980

Tipolitografia « Abilgraf » - Via P. Ottoboni, 11 - 00159 Roma
 06/430.840

WPROWADZENIE

Ksiądz Bosko: udałem się by odwiedzić znowu Jego grób i wydało mi się, że pozostał on zawsze radosny, zawsze uśmiechnięty.

Jan Paweł II

Jego relikwie, złożone w szklanym sarkofagu, znajdują się nad bocznym ołtarzem w Bazylice Matki Bożej Wspomożycielki w Turynie. Z za szklanej ściany sarkofagu uderza spokojna twarz o wyrazistych rysach i lekko zarysowanym uśmiechu. Pozwala ona rozpoznać z łatwością znaną ze zdjęć twarz św. Jana Bosko. Tę twarz przywołał na pamięć Ojciec św. Jan Paweł II w spotkaniu z młodzieżą w Turynie 13 kwietnia 1980 r., które miało miejsce w dzielnicy zwanej Valdocco, przed zespołem gmachów mieszczących dzieło Księdza Bosko. W połowie ubiegłego stulecia były tam podmiejskie łąki — miejsce spotkań podpitych robotników i bezdomnych wyrostków. Później stanęła tam świątynia Matki Bożej Wspomożycielki, kilka domów mieszkalnych i prymitywne hale przemysłowe; wśród zabudowań i na dziedzińcach roiło się od chłopców, którzy przychodzili by spotkać się z Księdzem Bosko.

W pamiętnym dniu wizyty Ojca św., olbrzymie dziedzińce salezjańskiego Valdocco i przyległe ulice, wypełnione były młodzieżą zgromadzoną wokół Papieża, który « przybył do nich z daleka ». I właśnie tutaj, na dawnej łące podmiejskiej, Jan Paweł II przypomniał im postać owego uśmiechniętego Księdza sprzed stu lat. Mówił im o jego wielkości i zarazem prostocie. Zdawał się przywoływać go znowu do swych młodych przyjaciół, obecnego wśród ich zabaw, słuchającego zwierzeń, rozumiejącego ich życie:

Zrozumieć i kochać: oto ciągle aktualna formuła pedagogiczna Księdza Bosko, który — jak sądzę — gdyby był dzisiaj wśród was (...) umiałby skutecznie odkryć i ukazać w was nigdy nie zagasłe echo wezwania, jakie Chrystus kieruje do każdego, kto chce być Jego uczniem: Pójdź za mną! (z przemówienia Ojca św.).

Ksiądz Bosko ożywa przed nami na kartach niniejszej opowieści. Autor tej biografii opowiada o biednym chłopcu, o wybuchowym uczniu, o kleryku dążącym wytrwale do kapłaństwa, i wreszcie o księdzu, którego jedni uważali za pomyłonego, inni za marzyciela, jeszcze inni za świętego, a biedni chłopcy za ... swojego ukochanego Przyjaciela. On sam uważał się za biednego księdza.

Jako chłopiec został olśniony ideą, że ludzi można kochać: kochać swoich kolegów, kochać ludzi biednych, wzgardzonych, obojętnych, a także kochać wrogów; kochać wszystkich. Wiedział, że to

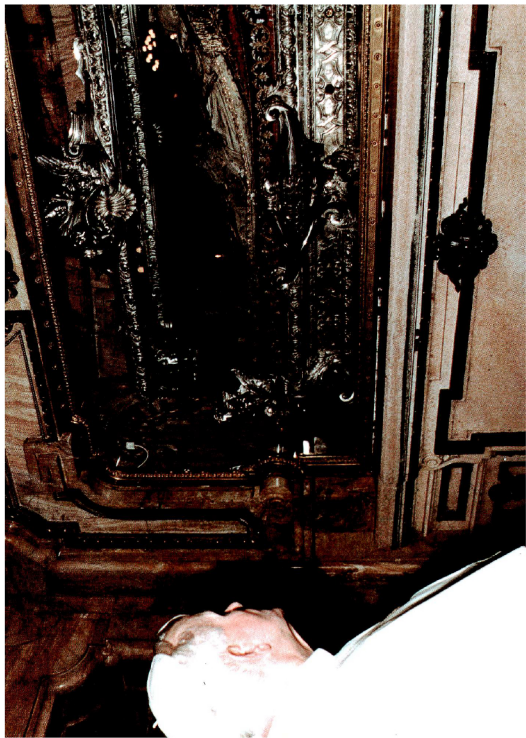
ośnienie przyszło od Boga, ale daleki od egzaltowania spraw religijnych, nazwał to po prostu snem. Sen powracał często we wspomnieniach a treść w nim odkryta nadała kierunek dalszej drodze jego życia. Zawierzył ją Pani, nazwanej w dziecięcym śnie Nauczycielką, a w kapłańskiej pracy Wspomożycielką Wiernych. Szedł obok Niej wiernie, ucząc się kochać ludzi i uśmiechać radością, którą odkrywał pod warstwą smutku naniesioną niepowodzeniami, konfliktami, nienawiścią współczesnego mu świata. Nie wiedział, że jest wielkim i świętym; wiedział tylko, że ludzi trzeba kochać. Na końcu życia zapłakał: dostrzegł bowiem, że to, co było snem w latach dziecięcych, stało się rzeczywistością w późniejszym życiu. Ksiądz Bosko nie przypuszczał, że mógł dojść aż tak daleko, wędrując drogą po której prowadziła go Mistrzynie.

Autor tej opowieści ukazuje momenty z życia Księdza Bosko, w których czytelnik odnajduje siebie. Sugestywne obrazy, potoczny język, sprawiają, że świat i życie Księdza Bosko stają się naszym życiem — ze wszystkimi problemami i inicjatywami, a także ze wszystkimi konfliktami i porażkami. Im bardziej wгłębiamy się w nurt tej ciekawej opowieści, tym wyraźniej widzimy Księdza Bosko jako jednego z nas. Nie wyróżnia się on ani nadzwyczajnością powołania — « nie należy wierzyć w sny » odpowie mu babcia gdy Janek opowie sen o Mistrzynie — ani nadprzyrodzonymi darami czy okolicznościami ułatwiającymi drogę chłopca, ani cudownymi wydarzeniami, które w rzeczywistości miały miejsce, ale nigdy nie zostały uznane za takie przez Księdza Bosko. Pozostaje on jednym z nas,

a jednak porywa entuzjazmem w szukaniu drogi wskazanej przez Pana, zadziwia zdolnością ubogacania — o coraz to nowe elementy — zadania, które dane mu było poznać w młodości.

Pragniemy, by Ksiądz Bosko, przemawiający sugestywnie ze stronic tej książki, pociągnął czytelnika w swój świat entuzjazmu w podążaniu za Chrystusem, w swój świat umiłowania człowieka, szczególnie młodego i zagubionego. Z tą myślą oddajemy do rąk polskich czytelników opowieść o Księdzu Bosko, składając podziękowanie Autorowi i wszystkim, którzy przyczynili się do jej wydania w języku polskim.

ks. Andrzej Strus, SDB



o Jan Paweł II przed ołtarzem nad którym znajdują się relikwie św. Jana Bosko



Tamtego wieczoru w kuchni razem z chlebem połykano również gorzkie słowa. Słowa, które sprawiały ból. Antoni, widząc Janka z nieodłączną książką przy talerzu, uniósł się:

— Ja ci tę książkę wrzucę do ognia!
Matka Małgorzata, jak zwykle, starała się załagodzić sprawę.

— Janek pracuje na równi z innymi, jeżeli potem chce sobie poczytać, co ci to szkodzi?

— A szkodzi, gdyż to ja muszę tak harować, by utrzymać ten kram. To ja łamię sobie grzbiet pracując na roli i nie będę utrzymywał jakiegoś paniczyka. Nie pozwolę, by ten żył sobie potem wygodnie, podczas gdy my będziemy jeść mamątygę.

Janek zareagował ostro. Słów mu nie brakowało, bo nie należał do tych, co to potrafią nadstawić drugi policzek. Antoni wszczął bójkę. Józek patrzył przerażony. Małgorzata starała się stanąć między nimi, ale prawdopodobnie i tym razem Janek znów oberwał, i to więcej niż zazwyczaj. Ten

dwunastolatek nie mógł sprostać sile 19-letniego Antoniego.

W łóżku Janek rozpląkał się, bardziej ze złości niż z bólu. Płakała również jego matka, która tej nocy chyba w ogóle nie spała.

Rano Małgorzata powzięła decyzję. Powiedziała Jankowi najsmutniejsze w swym życiu zdanie:

— Lepiej będzie, jeżeli opuścisz dom. Antoni nie może patrzeć na ciebie. Któregoś dnia mógłby ci wyrządzić krzywdę.

— Ale dokąd pójdę?

Janek poczuł śmiertelny smutek w sercu. To samo odczuwała Małgorzata. Wymieniła kilka gospodarstw w pobliżu Moriondo i Moncucco.

— Tam mnie znają. Ktoś przyjmie cię do pracy, przynajmniej na jakiś czas. A potem zobaczymy.

Węzełek i mgła

W ciągu dnia przygotowała mu mały węzełek: kilka koszul, dwie książki i bochenek chleba.

Był luty. Drogi i okoliczne pagórki pokryte były śniegiem i lodem.

Następnego ranka Janek wyruszył z domu. Matka Małgorzata długo stała w drzwiach patrząc za oddalającym się synem i machając mu ręką, dopóki mgła nie zasłoniła całkowicie małego emigranta.

A on na próżno próbował zahaczyć się w zagrodach, o których wspominała. Powtarzano mu,

że żadnej pracy dla chłopca nie ma. Po południu skończył się zapas chleba i wyczerpała się nadzieja Janka. Mógł jeszcze spróbować szczęścia tylko u gospodarza nazwiskiem Moglia. « Spytaj tam o pana Alojzego » — powiedziała mu wczoraj matka.

Zatrzymał się przed bramą prowadzącą na podwórze. Jakiś starzec zamykał ją właśnie. Popatrzył na niego.

— Czego szukasz, chłopcze?

— Pracy.

— Brawo! Pracuj więc i idź z Bogiem! Dalej pchał ciężkie wrota, by je zamknąć na noc. Janek zdobył się na resztki odwagi i powiedział:

— Ale ja muszę zobaczyć się z panem Alojzym! Wszedł do środka. Cała rodzina Moglia przygotowywała w pobliżu bramy wiklinę, przeznaczoną do winnic. Alojzy Moglia, młody 28-letni mężczyzna, spojrzał zdziwiony.

— Szukam pana Alojzego Moglia.

— To ja.

— Przysłała mnie tu moja matka. Powiedziała mi, bym u was pracował jako chłopiec stajenny.

— Ale dlaczego matka wysłała ciebie, takiego malca, z domu? Kto jest twoją matką?

— Małgorzata Bosko. Mój brat Antoni znęca się nade mną i dlatego mama poradziła mi, bym poszukał sobie pracy jako chłopiec stajenny.

— Ależ biedaku, teraz w zimie niepotrzebni są nam chłopcy, bierzemy ich dopiero pod koniec marca. Miej cierpliwość i wróć do swoich.

Janek był bliski rozpaczy i u kresu sił. Wybuchnął gwałtownym płaczem.

— Przyjmijcie mnie, na litość Boską. Nie chcę zapłaty, ale nie odsyłajcie mnie do domu. Usiądę tu na ziemi — powiedział załamany — i nie ruszę się nigdzie. Zróbcie ze mną co chcecie, ale ja już nie pójdę dalej.

I szlochając zabrał się do zbierania porozrzucanej wikliny i do czyszczenia jej.

Pani Dorota, piękna 25-letnia kobieta, wzruszyła się losem dziecka.

— Weź go, Alojzy. Spróbujmy, niech zostanie chociaż przez kilka dni.

Również 15-letniej Teresie żal się zrobiło chłopca. Była młodszą siostrą gospodarza i zajmowała się krowami. Powiedziała:

— Ja już jestem dosyć silna. Będę pracować z wami na polu, a do pracy w oborze ten chłopiec nadaje się doskonale.

I tak Janek Bosko rozpoczął w lutym 1827 roku życie chłopca stajennego. Rodzina Moglia należała do zamożnych rodzin chłopskich, chociaż jej członkowie pracowali od świtu do nocy. Uprawiali ziemię: mieli winnice i pola, posiadali krowy i woły. Wspólnie modlili się wieczorem, gdy cała rodzina gromadziła się na różaniec. W niedzielę pan Alojzy zawoził wszystkich na sumę, którą w Moncucco odprawiał miejscowy proboszcz, ks. Francisek Cottino.

Zawód Janka — chłopca stajennego — nie był ani upakarzający, ani jakiś nietypowy. W okolicz-

nych zagrodach pod koniec marca przyjmowano wielu takich parobków jak on. To była normalna droga życiowa dla wielu chłopców z ubogich rodzin. W święto Zwiastowania, 25 marca, gospodarze udawali się do pobliskich wsi albo na targ i tam wynajmowali chłopców do posług na 8 miesięcy ciężkiej pracy (od kwietnia do listopada), w zamian za wyżywienie, mieszkanie i 15 lirów na odzież.

Parobek Janek Bosko różnił się jednak od innych. Był bardzo młody (brakowało mu jeszcze 6 miesięcy do ukończenia 12 lat) i ciągle pamiętał o pewnym śnie. O prawdziwym śnie, jaki przyśnił mu się pewnej nocy, gdy miał oczy zamknięte. Sam później tak o nim opowiedział:

Sen, który wyznaczył przyszłość

« W wieku 9 lat miałem sen, który głęboko wrył mi się w pamięć na całe życie. Śniło mi się, że znajduję się blisko domu, na dość obszernym podwórzu, na którym bawiło się mnóstwo dzieci. Niektóre śmiały się, wiele z nich przeklinało. Gdy usłyszałem wyzwiska, rzuciłem się między te dzieci, by nie tylko słowem, ale i pięściami zmusić je do milczenia. Wówczas ukazał się dostojny Człowiek, pięknie ubrany. Twarz jego jaśniała tak bardzo, że nie mogłem patrzeć na nią. Zawołał mnie po imieniu i powiedział:

— Musisz zjednać sobie przyjaciół łagodnością i miłością, nigdy szturchać. Zaczynaj więc na-



*Zdjęcie Księdza Bosko wykonane na kilka miesięcy przed
jego śmiercią*

tychmiast mówić im o brzydocie grzechu i o pięknie cnoty.

Speszony i przestraszony odpowiedziałem, że jestem biednym i niewykształconym chłopcem. W tym momencie dzieci zaprzestały kłótni i hałasów i zgromadziły się wszystkie wokół Osoby, która rozmawiała ze mną. Prawie że bezwiednie zapytałem:

— Kim jesteś, Panie? Dlaczego nakazujesz mi wykonanie rzeczy niemożliwych?

— Właśnie dlatego, że sprawy te wydają ci się niemożliwe, musisz uczynić je możliwymi, dzięki posłuszeństwu i wiedzy.

— W jaki sposób będę mógł zdobyć wiedzę?

— Dam ci Nauczycielkę. Pod jej kierownictwem staniesz się mądry.

— Ale kim jesteś, Panie?

— Jestem Synem Tej, którą matka twoja nauczyła cię pozdrawiać 3 razy dziennie. O moje imię zapytaj moją Matkę.

W tym momencie ujrzałem obok niego Niewiastę, o dostojnym wyglądzie, ubraną w płaszcz, który świecił jak słońce. Gdy spostrzegła, że jestem speszony, zrobiła znak, bym zbliżył się i z dobrocią chwyciła mnie za rękę.

— Popatrz — powiedziała.

Gdy spojrzałem, zauważyłem, że wszystkie dzieci gdzieś znikły, a na ich miejscu zobaczyłem mnóstwo kóz, psów, kotów, niedźwiedzi i wiele innych jeszcze zwierząt.

— Oto pole, na którym będziesz musiał pracować. Bądź pokorny, silny i wytrwały. A to, co

stanie się za chwilę z tymi zwierzętami, ty postarasz się zrobić z moimi dziećmi.

Wówczas spojrzałem i oto zamiast niesfornych zwierząt zobaczyłem potulne baranki, które radośnie biegały i beczały, jakby na cześć tego Pana i Pani.

W tym momencie, ciągle we śnie, zacząłem płakać, prosząc równocześnie ową Kobietę, by rozmawiała ze mną w sposób bardziej zrozumiały, gdyż nie pojmowałem znaczenia jej słów. Wtedy Ona, kładąc rękę na mojej głowie, powiedziała:

— W swoim czasie wszystko zrozumiesz.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, obudził mnie jakiś hałas i wszystko znikło. Ogarnęło mnie zdumienie. Wydawało mi się, że bolą mnie ręce z powodu kuksańców, jakimi obdzieliłem chłopców, i że pali mnie twarz od policzków, wymierzonych mi przez łobuzów.

Rano opowiedziałem ten sen najpierw moim braciom — ci mnie wyśmiali — a potem matce i babci. Każdy inaczej go zinterpretował.

— Zostaniesz owczarzem — powiedział Józek.

— Zostaniesz hersztem łobuzów — złośliwie zauważył Antoni.

Moja matka natomiast stwierdziła:

— Kto wie, może Janek zostanie księdzem.

A babcia definitywnie orzekła:

— Nie należy wierzyć w sny!

Zgadzałem się z poglądem babci, a jednak nigdy nie udało mi się o tym śnie zapomnieć ».

Ów sen zaważył bardzo istotnie na późniejszym życiu Janka. Matka Małgorzata rozumiała — zro-

zumiał to również Janek — że sen ten wyznaczał mu pewną, określoną drogę życia.

180 stron wspomnień

W wieku 58 lat prawie nikt nie pamięta dobrze tego, co wydarzyło mu się przed pięcioma laty. Prawie wszyscy natomiast pamiętają to, co stało się, gdy mieli dziewięć, jedenaście czy piętnaście lat, jak gdyby to było wczoraj. Na kolanach wyczuwa się wówczas jeszcze chropowatą korę drzew, po których się wspinało. Wydaje się człowiekowi, że to dopiero wczoraj dotykał ciepłej sierści psa, skaczącego obok w czasie szalonych zabaw i wspólnych gonitw.

W wieku 58 lat, na rozkaz papieża, ks. Bosko napisał historię swego dzieciństwa i młodości. Dzięki doskonałej pamięci, tak bardzo przypominającej zapis kamery filmowej (mało « logiczna », a bardzo « obrazowa ») zapełnił wspomnieniami trzy grube zeszyty — 180 stron. Z datami jest w nich trochę bałaganu, ale epizody życia, wrażenia, szczegóły — odznaczają się niezwykłą świeżością i dokładnością. Dlatego też dzisiaj, na podstawie tych wspomnień, możemy prześledzić w najdrobniejszych szczegółach koleje życia wiejskiego chłopca — Janka Bosko.



Jan Paweł II przemawiający, z wysokości pomnika św. Jana Bosko, do tłumów zebranych przed Bazyliką Maryi Wspomożycielki Wiernych w Turynie, 13.04.1980 r.



« Matka moja nazywała się Małgorzata Occhie-
na i pochodziła z Capriglio. Ojciec miał na imię
Franciszek. Byli wieśniakami, którzy pracą i osz-
zczędnością uczciwie zarabiali na chleb powszedni ».¹

Jan Bosko ujrzał światło dzienne 16 sierpnia
1815 roku. Matka nazywała go Giuanin (zdrobnie-
niem imienia Giovanni — Jan, powszechnie używa-
nym w Piemencie).

Pierwsze wspomnienie Janka wiąże się ze
śmiercią ojca. Franciszek Bosko kupił domek i ma-
ły skrawek ziemi. Aby utrzymać pięciu domowni-
ków, musiał pracować również u sąsiada, zamoż-
nego gospodarza.

Pewnego majowego wieczoru wracał z pola
bardzo spocony. Nieostrożnie wszedł do lodowatej
piwnicy swego chlebowodawcy. W kilka godzin póź-

¹ Z tchnących dotąd świeżością stronic « Wspomnień »
Księdza Bosko przytaczamy tu i w następnych rozdziałach
pewne wyjątki, unowocześniając jedynie nieznacznie XIX
wieczny styl, tam gdzie to wydawało się konieczne.

niej dostał silnej gorączki, prawdopodobnie zapadł na obustronne zapalenie płuc. Zmarł po czterech dniach. Miał wówczas 33 lata.

« Nie miałem jeszcze dwu lat — opowiada ks. Bosko — gdy umarł mi ojciec i nie pamiętam nawet jego twarzy. Przypominam sobie jedynie słowa mojej matki: "Zostałeś bez ojca, Giuanin".

Wszyscy już wyszli z pokoju zmarłego, ale ja upierałem się, by tam pozostać. "Chodź, Giuanin" — nalegała łagodnie moja matka. "Jeżeli nie pójdzie ze mną tatuś, ja też nie pójdę" — odpowiedziałem. "No dalej, malutki, chodź już, chodź nie masz już ojca". Z tymi słowami matka płacząc wyprowadziła mnie z pokoju. Płakałem, bo ona płakała. Cóż bowiem może zrozumieć dziecko w tym wieku? Ale zdanie: "Zostałeś bez ojca" — utkwiło mi na zawsze w pamięci. Jest to pierwszy fakt, który zapamiętałem z mego życia ».

Trudne lata

Drugie wspomnienie Janka wiąże się z głodem, jaki przeżyła rodzina w tym samym roku.

Becchi, mała osada, gdzie znajdował się dom rodziny Bosko, składała się z dziesięciu zagród, rozrzuconych na wyżynie. Otaczały je pofalowane i rozległe tereny, pokryte winnicami i lasami. Zabudowania stanowiły część wsi Morialdo i oddalone były o 5 km od miasteczka powiatowego Castelnovo d'Asti.

W 1817 roku wzgórze regionu Monferrato (Castelnovo znajduje się w części północnej tego re-

gionu), jak i cały Piemont, zostały dotknięte wielkim nieurodzajem. Wiosenne przymrozki, a potem długotrwała susza, wyniszczyły zbiory.

Na wsiach panował głód, prawdziwy głód. W rowach przydrożnych natrafiano na zmarłych z wycieńczenia żebraków, którzy żywili się trawami.

W pewnym dokumencie, pochodzącym z tamtego okresu, znajduje się opis Turynu, stolicy Piemontu, nawiedzonego biblijną wręcz wędrowką: całe procesje wycieńczonych, obdartych ludzi porzucały wsie. Z dolin i pagórków posuwały się ku miastu grupy rodzin, które potem koczowały wokół kościołów i pałaców żebrząc o jałmużnę.

W tym to tragicznym okresie spadł na Małgorzatę obowiązek utrzymania całej rodziny. W domu miała sparaliżowaną teściową (staruszkę, matkę Franciszka) przykutą do fotela, 9-letniego Antoniego, syna Franciszka z jego pierwszego małżeństwa i dwóch własnych synków: 4-letniego Józefa i 2-letniego Janka. Ta wieśniaczka, nie umiejąca czytać ani pisać, wykazała w tych trudnych miesiącach niespożytą energię, wspaniałą cechę swego charakteru.

«Dopóki moja matka miała zapasy, dawała jeść wszystkim — opowiada ks. Bosko. Potem wręczyła pewną sumę pieniędzy jednemu z sąsiadów, Bernardowi Cavallo, prosząc go, by wyruszył na poszukiwanie żywności. Rzeczywiście, udał się on tu i tam na targ, ale nawet za wygórowaną cenę nie zdołał nic kupić. Powrócił po dwóch dniach wieczorem, bardzo przez nas wyczekiwany. Gdy zwrócił pieniądze mówiąc, że nic nie znalazł, owła-

dnęło nami przerażenie. Tego dnia nie mieliśmy nic w ustach. Ale moja nieustraszona matka powiedziała: "Franciszek umierając polecił mi, bym zaufała Bogu. Uklęknijmy więc i pomódlmy się!". Po krótkiej modlitwie wstała i powiedziała: "W ostatecznych przypadkach należy uciec się do ostatecznych środków". Z pomocą Bernarda Cavallo zabiła w oborze cielaczka, część mięsa ugotowała od razu i dała nam jeść. Byliśmy bowiem bardzo osłabieni. W następnych dniach z dalej położonych wsi sprowadziła zboże, za bardzo wysoką cenę ».

W wieśniaczych rodzinach piemonckich, do niedawna jeszcze, zabicie cielaka oznaczało akt rozpacz. Cielątko stojące w obórce było lokatą kapitału. Sprzedanie zwierzęcia na targu umożliwiała rodzinie przetrwanie trudnego okresu, np. choroby. Zabicie natomiast oznaczało pozbawienie rodziny ostatniej rezerwy.

Wydarzenia, które miały zmienić oblicze świata

Śmierć, głód, niepewność. Pierwsze wspomnienia dziecka, które stanie się później ojcem wielu sierot i zapewni w swych domach chleb niezliczonym, biednym chłopcom.

Mała tragedia rodziny Bosko, gdzieś na zagubionym wzgórzu, była częścią wielkiej tragedii, która niczym nawałnica wstrząsnęła w tych czasach Europą i Włochami.

Przed dwudziestu ośmiu laty — w 1789 — w Paryżu wybuchła rewolucja francuska, wydarzenie,

które zmieniło oblicze świata. Nie mamy naturalnie zamiaru przedstawiać tu jej historii, ale wydaje się konieczne wspomnieć o niektórych aspektach wypadków, które wywarły głęboki wpływ również na życie Jana Bosko.

Atmosfera w całej Europie była pełna oczekiwań. Również do Włoch dochodziły echa ogromnych zmian. Po wiekach istnienia skostniałego społeczeństwa, pod absolutnym panowaniem króla i szlachty, rozpadły się przywileje feudalne. Już nie szeptano po cichu hasła: « wolność, równość, braterstwo », ale powtarzano je głośno, w jasny dzień. Teraz walczono o nie — a nie zaś jak dawniej — w obronie przywilejów królewskich.

Tak, jak w każdej epoce radykalnych zmian, śmiałe i słuszne decyzje mieszały się z niczym nieuzasadnionymi gwałtami. Do rozwiązania wielu problemów, które według prawa winna rozwiązywać debata w parlamencie, służyła gilotyna. Najbardziej fanatyczni « przedstawiciele ludu. » — jakobini² w 1793 roku przekształcili rewolucję w tragiczną rzekę krwi. W jednym miesiącu lipcu tego roku zgilotynowano 1285 osób. Był to okres tzw. terroru.

Równocześnie przystąpiono do szerokiej akcji dechrystianizacji: zabroniono odprawiania nabo-

² Postępowi demokraci, członkowie najradykalniejszego i najważniejszego klubu politycznego rewolucji francuskiej, założonego w 1793 r. Nazwę wzięli od klasztoru św. Jakuba w Paryżu, gdzie mieściła się ich siedziba. Najbardziej znani przywódcy: Danton, Marat, Robespierre.

zeństw, prześladowano księży, cześć oddawaną Bogu zastąpiono « kultem rozumu ».

Europa patrzyła na to w osłupieniu. To, co działo się wówczas w Paryżu, przypominało zbiorowe szaleństwo. Nawet osoby najbardziej postępowe, które początkowo sympatyzowały z rewolucją, były przerażone.

W lipcu 1794 r. skończyła się dyktatura jakobinów — większość z nich skazano na śmierć — i terror ustał. Władzę przejęła burżuazja, która przyznała prawo głosu jedynie trzydziestu tysiącom Francuzów, gdy sam Paryż liczył wówczas 600 tysięcy mieszkańców.

Napoleon — dwudziestosiedmioletni generał

Rok 1796. Armia rewolucyjna przybywa do Włoch pod wodzą 27-letniego generała Napoleona Bonaparte. W dolinie Padu pokonuje on w krwawych bojach Austriaków. Żołnierze francuscy mówią o braterstwie, równości, wolności. Pomimo cieni terroru, hasła te wznecają szalony entuzjazm wśród młodszej generacji. Królestwo Sardynii (Piemont, Sabaudia, Sardynia) drży w posadach. Król ucieka na wygnanie. Ale Napoleon jest niespokojnym geniuszem. Bardziej niż na triumfie rewolucji zależy mu na wspaniałej, choć krwawej chwale wojskowej.

W 1799 roku Napoleon walczy w Egipcie. Austria i Rosja ponownie zajmują północne Włochy. Kozacy o długich, gęstych brodach, uzbrojeni w

piki wpadają do miast. Napoleon powraca. Znow toczy się wojna, która niesie ze sobą nędzę, również na żyznych ziemiach doliny Padu. Potem cesarz Francuzów nakłada na ludność wysokie kontrybucje³ i powołuje żołnierzy ze wszystkich regionów Italii. Potrzebni mu są do prowadzenia walk w Hiszpanii i na wyprawę do Rosji. Naciera na tę daleką i nieznaną krainę na czele ogromnej armii. W czasie ostrej zimy rosyjskiej następuje załamanie frontu i straszliwy odwrót. Napoleon patrzy na śmierć 600 tysięcy ludzi. Wśród nich ginie 25 tysięcy Włochów. W Hiszpanii zginęło ich 20 tysięcy.

Od 16 do 19 października 1813 roku na równinie pod Lipskiem rozgrywa się gigantyczna « bitwa narodów », która kładzie kres wielkiemu cesarstwu francuskiemu, a w pojęciu wielu grzebie również ideały rewolucji.

I znowu od Alp, poprzez Isonzę, napływają na niziny Padu Austriacy, Niemcy, Horwaci. Głoszą, że przychodzą oswobodzić Włochy, ale jak to często bywa, takich « oswobodzicieli » nikt nie pragnie. Ograbiają wsie i miasta. Po ostatnim zrywie « stu dni » i po bitwie pod Waterloo, Napoleon kończy swoje życie na jednej z wysepek Atlantyku.

Europa, a z nią Włochy, są zmęczone, pokryte ruinami. Wszędzie wiele osieroconych rodzin. Wsie są wyniszczone wojną, wyludnione ciągłym poborem do armii młodych mężczyzn, którzy potem gi-

³ Danina pieniężna nakładana przez zwycięzcę na państwo pokonane, względnie na ludność pokonanego terytorium.

nęli na odległych polach bitewnych. Ludność, która przez całe lata zabiegała o « wolność », teraz pragnie jedynie pokoju.

W kontekście tej wielkiej tragedii całych narodów — rodzina Bosko przeżywa w 1817 roku swą małą, ale bolesną tragedię.

Król cofa zegarek o 15 lat

Jan Bosko dowie się później z książek historycznych, że urodził się na początku nowej epoki, nazywanej « restauracją ».⁴ Rozpoczęła się ona 1 listopada 1814 r. otwarciem w Wiedniu kongresu narodów zwycięskich i trwała w większej części Włoch aż do 1847 r., to jest do początku tak zwanego « Risorgimento » (walki o zjednoczenie państwa).

„Restauracja” jest epoką wielkiego zamętu. Królowie, zdetronizowani przez rewolucję i Napoleona, powracają z woli Kongresu do swych pałaców i roszczą sobie prawo do wymazania dwudziestu pięciu lat historii kilku pociągnięciami pióra.

Włochy zostały podzielone w Wiedniu, niczym jakiś tort, na osiem kawałków: królestwo Sardynii (składało się z Piemontu, Sardynii, Sabaudii i Nicyi oraz republiki Genui), królestwo Lombardii i

⁴ Nazwa wzięta od łacińskiego słowa « restaurare » (odnawiać, przywracać). Chodzi o przywrócenie na tron dynastii Burbonów we Francji, królów: Ludwika XVIII i Karola X.

Wenecji (poddane Austrii), księstwo Modeny, księstwo Parmy i Piacenzy, Wielkie Księstwo Toskańskie, księstwo Lukki, Państwo Kościelne i Królestwo Obojga Sycylii.

Wiktor Emanuel I powraca do Turynu⁵ w galowej karecie otoczony arystokratami w dawnych strojach, w upudrowanych perukach i warkoczach. Ludność na ulicach oklaskuje króla; szczególnie mieszkańcy wsi pragną pokoju za wszelką cenę, ale właściciele upudrowanych peruk pragną go zapewnić przywracając wszystko do stanu pierwotnego. Ignorują nowe, pozytywne realia, które zrodziły się i umocniły w wyniku krwawych wojen napoleońskich. Historia poszła naprzód i nic nie może cofnąć jej wstecz. Jako nowa klasa społeczna pojawia się burżuazja. Rozwija się handel. Ludzie podróżują po solidnych drogach, zbudowanych przez napoleońskich inżynierów.

Przez setki lat ogromne masy ludu włoskiego rodziły się, żyły i umierały w tej samej zagrodzie, w tej samej wsi, skamieniałe w swych małych au-

⁵ Miasto w półn. Włoszech, wówczas stolica Królestwa Sardynii i 1861-64 Włoch. Wiktor Emanuel: imię królów Sardynii i Włoch z dynastii sabaudzkiej. Wiktor Em. I (1759-1824), król Sardynii 1802-21; zjednoczył Piemont, Sabaudię, Genuę i Sycylię; zrzekł się tronu obalony przez rewolucję. Wiktor Em. II (1820-78), pierwszy król Włoch, poprzednio król Sardynii (1849-61). W 1848-49 uczestniczył w wojnie przeciw Austrii o niepodległość Włoch. W 1860-71 doprowadził do zjednoczenia państwa, w 1861 koronowany na króla Włoch. W 1870 zajął Rzym i uczynił stolicą Włoch.

tarkiach,⁶ w swych odwiecznych zwyczajach. Armie napoleońskie przerwały tę bierność. Migracja wewnętrzna, nawet jeżeli często była wywoływana tragicznymi wydarzeniami, stała się zjawiskiem powszechnym. W dylizansach przewozi się również gazety i książki. Niewielu wprawdzie umie czytać, ale zaciekawienie prasą wzrasta. Ludzie przekazują sobie przeczytane wiadomości, horyzonty poszerzają się.

W Piemoncie na nowo rozwija się rolnictwo. Zlikwidowano resztki lasów na terenach nizinnych i na pagórkach. Pozyskano nowe, obszerne tereny ziemi uprawnej. Posadzono tysiące drzew morwo-
wych, które wkrótce umożliwiły rozwój hodowli jedwabników.

Wszędzie powstają manufaktury, fabryki, warsztaty. Przemysł rozwija się, ceny ulegają stabilizacji.

Wiktor Emanuel I, w dzień po swym powrocie, znosi ustawy wydane w ciągu ostatnich piętnastu lat i przywraca dawne, przednapoleońskie. Szlachta i wysoki kler odzyskują przywileje. Mieszczanstwo traci wiele ze swych z trudem wywalczonych praw. W konsekwencji, podczas gdy król cofa wstecz o piętnaście lat swój zegarek, intelektualiści mieszczańscy (jak np. Silvio Pellico⁷) emigrują z Medio-

⁶ Samowystarczalność gospodarcza, bez potrzeby zakupu i wymiany produktów poza danym regionem czy państwem.

⁷ Pellico Silvio (1789-1854), pisarz włoski, autor tragedii, powieści poetyckich i innych, patriota skazany przez rząd austriacki za udział w konspiracji. Zyskał sławę pamiętnikiem « Moje więzienia ».

lanu. Młodzież z najlepszych rodzin tworzy frondę,⁸ wstępuje do tajnych stowarzyszeń i wiąże swe nadzieje z młodziutkim księciem z domu Savoia-Carignano, Karolem Albertem, który zdaje się być uwrażliwiony na nowe czasy.

Bardzo ściszone echa tych wydarzeń dochodzą do pagórków Monferratu, gdzie Jan Bosko przeżywa swe ubogie, ale pogodne dzieciństwo.

⁸ Grupa polityczna wroga rządowi albo osobie panującego.



Małgorzata miała 29 lat, gdy umarł jej mąż. Spadł na nią ciężar zbyt wielki, jak na jej młody wiek. Ale nie traciła czasu na próżne żale. Zakasała rękawy i zaczęła pracować.

Do jej domowych, codziennych obowiązków należało mycie naczyń, sprzątanie kuchni, noszenie wody, itd. To wszystko robiła w chwilach « wolnych », gdyż znaczne godziny przeznaczala na uprawę ziemi i na pracę w oborze.

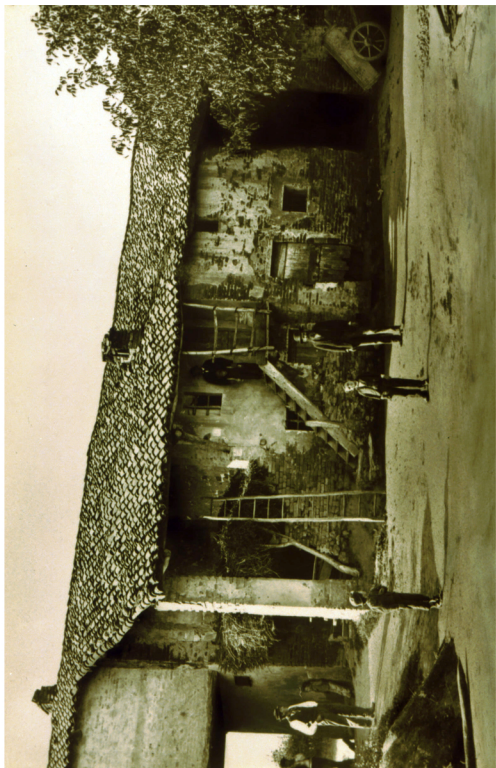
Podobnie jak inne silne wieśniaczki z okolic, kosiła trawę, orała, siała, żęła, wiązała snopki, młóciła, okopywała winną latorośl, troszczyła się o winobranie i zlewanie moszczu do beczek. Miała ręce spracowane, ale umiała nimi delikatnie pogłaskać głowy swoich synów. Była gospodynią, ale przede wszystkim była matką. Synów traktowała łagodnie, ale stanowczo. W sto lat później psychologowie napiszą, że dziecko do dobrego rozwoju potrzebuje wymagającej miłości ojca i pogodnej, czulej miłości matczynej. Potwierdzą, że sierotom grożą przesunięcia w równowadze uczuciowej: w kierunku zbytnej

miękkości — w wypadku wychowania sierot przez matkę, a w kierunku oschłości — w wypadku wyłącznej opieki ojca.

Matka Małgorzata umiała znaleźć instynktowną równowagę, dzięki której potrafiła połączyć i na przemian dawkować stanowczy spokój i pogodną radość. Ks. Bosko w późniejszej pracy wychowawczej często miał za wzór swą własną matkę.

Wielka Osoba

« Bóg na ciebie patrzy » — to słowa często powtarzane przez Małgorzatę. Pozwalała dzieciom barszkować na pobliskich łąkach, a gdy wybiegały z domu, mawiała: « Pamiętajcie, że Bóg na was patrzy ». Gdy zauważała, że malcy boczyli się na siebie lub próbowali przy pomocy jakiegoś kłamstewka wybrnąć z opresji, przypominała: « Pamiętajcie, że Bóg zna wasze myśli ». Bóg jednak, którego wizerunek kształtowała w umysłach swych malców, nigdy nie był Bogiem-żandarmem. Gdy noc była piękna, a niebo rozgwieżdżone, i gdy na progu domu wszyscy cieszyli się chłodem — mówiła: « To Bóg stworzył świat i tam w górze umieścił te gwiazdy ». Na widok ukwieconych łąk szeptała: « Ileż pięknych rzeczy stworzył dla nas Pan ». Po żniwach, po winobranii, gdy z trudem oddychali po wyczerpującej pracy, proponowała: « Podziękujmy Bogu, że jest taki dobry i daje nam chleb powszedni ». Nawet po burzy, gdy grad zniszczył plony, matka mówiła: « Bóg dał, Bóg wziął. On wie najlepiej, dlaczego tak



Dom rodzinny Księża Bosko — zdjęcie z 1891 r.

się stało. Jeżeli byliśmy źli, pamiętajmy, że Bóg nie żartuje ».

W taki oto sposób — obok matki, braci i sąsiadów — Janek nauczył się dostrzegać jeszcze jedną Osobę: Boga. Wielką Osobę. Niewidzialną dla oczu, ale obecną wszędzie. W niebie, na polach, w twarzach ubogich, w głosie sumienia, mówiącego: « zrobiłeś dobrze; zrobiłeś źle ». Osobą, do której matka miała bezgraniczne zaufanie, nie podlegające żadnej dyskusji. Bóg był dobrym i opatrnościowym Ojcem, który zapewniał chleb powszedni, który czasami dopuszczał trudne do zrozumienia wydarzenia (śmierć ojca, grad, który zniszczył winnicę), ale który wiedział, dlaczego tak się dzieje. I to wystarczało.

« Lippa » i krew

Janek miał cztery lata, gdy matka powierzyła mu pierwsze trzy, cztery łądygi wymoczonych konopi do postrzępienia. Praca była bardzo prosta, ale była to już praca. Chłopiec zaczął w ten sposób trochę pomagać rodzinie, która utrzymywała się z pracy wszystkich swych członków.

Gdy był nieco starszy, wspólnie z braćmi wypełniał inne obowiązki: chodził po drzewo, rozpałał ogień dmuchając na żarzące się węgielki ukryte pod warstwą popiołu (by zaoszczędzić drewienka, nasycone siarką), przynosił wodę, obierał jarzyny, czyścił oborę, pasał krowy, pilnował pieca, w którym piekł się chleb.

Zaraz jednak po wykonaniu, pod okiem matki, tych drobnych zajęć biegł do zabawy. Nie potrzebował szukać daleko odpowiedniego miejsca: wokół domu, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się łąki. Koledzy już tam czekają: silni, pełni życia chłopcy, czasami trochę prymitywni i nieokrzesani. Biegają razem, wynajdują norki krecie, ptasie gniazda i grają w piłkę.

Jedną z ich ulubionych gier jest tak zwana « lippa », rodzaj prymitywnego « baseballu ». Pewnego razu Janek powrócił do domu wcześniej niż zwykle, z twarzą ociekająca krwią. Został silnie uderzony w policzek drewnianym bijakiem. Matka Małgorzata, mocno zatroskana, opatrując synka, mówi:

— Któregoś dnia wrócisz mi do domu z wybitym okiem. Dlaczego bawisz się z tymi chłopcami? Przecież wiesz, że niektórzy z nich to prawdziwi nicponie?

— Jeżeli wam¹ to sprawi przyjemność, już więcej nie pójde do nich, ale widzicie, mam, gdy ja jestem pośród nich, są jakby lepsi. Nie używają wtedy wyzwisk.

Małgorzata pozwala mu więc dalej bawić się z chłopcami. Tymczasem odwaga Janka wzrasta szybciej niż on sam. Janek ma pięć lat, a Józek siedem. Małgorzata posłała ich kiedyś na pastwisko z małym stadkiem indyków. Podczas gdy ptaki uganiały za świerszczami, chłopcy zabrali się do zabawy. W pewnym momencie Józek, odliczając na palcach, stwierdził, że brak jednego indyka. Szukają zaniepokojeni

¹ W Piemoncie prawie do roku 1930 dzieci zwracały się do rodziców używając formy « wy ».

na próżno. A przecież indyk, duży ptak, nie może zniknąć jak kamfora. Biegąc wzdłuż ogrodzenia, Janek zauważył jakiegoś mężczyznę. Myśli od razu: « Na pewno on ukradł ». Woła brata i podchodzi odważnie do nieznanego:

— Oddajcie nam indyka.

Mężczyzna patrzy na nich, udając zdziwienie.

— Indyka? A kto go widział?

— To wyście go zabrali. Wyciągnijcie go. W przeciwnym razie zaczniemy krzyczeć i ludzie przegonią was kijami.

Wprawdzie dwoje dzieci można łatwo przepędzić kilkoma klapsami, ale zdecydowana postawa malców podziałała. Niedaleko pracują wieśniacy i jeżeli chłopcy zaczną krzyczeć, może różnie się skończyć. Chłop oddał się nieco i z za płotu wyciąga worek, a z niego indyka.

— Chciałem tylko zażartować!

— Ale to nie był żart godny porządnego człowieka! — odpowiadają chłopcy.

Wieczorem, jak zwykle, zdają sprawę przed matką.

— Ryzykowaliście niemało!

— Dlaczego?

— Przede wszystkim nie byliście zupełnie pewni, że to właśnie ten mężczyzna ukradł indyka, a poza tym — wy jesteście mali, a on dorosły. A gdyby wyrządził wam krzywdę?

— To mieliśmy pozwolić, by zabrał nam indyka?

— Dobrze jest być odważnym, ale czasami lepiej stracić indyka niż mieć wygarbowaną skórę ...

— No tak, prawda — mówi cicho zamyślony Janek. Pewnie mama ma rację, ale indyk był taki piękny i duży ...

Różga w kącie

Małgorzata była matką czułą, ale równocześnie energiczną i silną. Dzieci wiedziały dobrze, że jeżeli powiedziała « nie » — to był naprawdę zakaz. Kaprysami nie można było zmienić jej zdania.

W kącie kuchni stała « różga »: giętki kij. Nie użyła jej nigdy, ale nigdy też nie usunęła jej stamtąd.

Któregoś dnia Janek zbroił poważniej. Prawdopodobnie biegnąc w pośpiechu do zabawy pozostawił otwartą klatkę i wszystkie króliki rozbiegły się po łące. Trzeba było potem bardzo namęczyć się, by wpędzić je z powrotem. Gdy zmęczeni domownicy powrócili do kuchni, Małgorzata, wskazując na kąt, powiedziała:

— Janku, idź i przynieś mi tę różgę.
Chłopiec cofnął się do drzwi.

— A co chcecie zrobić, mamó?

— Przynieś, to zobaczysz.

Ton matki był zdecydowany. Janek wziął różgę i podając ją z daleka matce, wyszeptał:

— Będzie mnie mama bić?

— A dlaczego by nie, jeżeli ciągle coś broisz?

— Mamusiu, już więcej tego nie zrobię!
Matka uśmiechnęła się, chłopiec również.

Innego dnia, gdy słońce grzało niemiłosiernie, obaj bracia powracają z winnicy, straszliwie spragnieni. Małgorzata idzie więc do studni, wyciąga wiaderko zimnej wody i miedzianą nabierką daje pić najpierw Józkowi. Janek widząc to krzywi buzię. Uraziło go uprzywilejowanie brata. Gdy matka z kolei podaje wodę jemu, robi znak, że już pić nie będzie. Małgorzata nie odzywa się; tylko zabiera wiadro do kuchni i zamyka drzwi. Po chwili Janek przybiega:

— Mamusiu ...

— Czego chcesz?

— Dajcie i mnie się napić?

— Wydawało mi się, że nie chce ci się pić!

— Przepraszam, mamusiu.

— A więc dobrze! — i matka podaje chłopcu pełne wody naczynie.

Janek ma już osiem lat. Jest ładnym dzieckiem, o dźwięcznym śmiechu. Jest silny, choć niewielkiego wzrostu. Oczy ma ciemne, włosy gęste, kędzierzawe niczym wełna baranka. Kocha przygody i ryzyko. Nigdy nie martwi się podrapanymi kolanami. Nieraz wspina się na drzewa w poszukiwaniu ptasich gniazd.

Raz jednak nie powiodło mu się. Gniazdko bogatek znajdowało się bardzo głęboko, w dziupli pnia. Wsadził więc ramię aż po łokieć, ale potem nie potrafił go wyciągnąć. Próbował wielokrotnie, tymczasem w tym potrzasku ramię spuchło. Józek który

przypatrywał się wszystkiemu z dołu, pobiegł po matkę.

Małgorzata przyszła z drabiną, ale i ona nie zdołała uwolnić chłopca. Musiała zawołać jakiegoś wieśniaka, by przyszedł z dłutem. Tymczasem Jankowi wystąpił pot na czoło. Józek pocieszał go z dołu, sam bardziej przestraszony od brata:

— Trzymaj się mocno, już zaraz tu będą!

Wieśniak owinął ramię chłopca fartuchem Małgorzaty i zabrał się do poszerzania otworu. Wystarczyło kilka uderzeń i ramię zostało wyswobodzone. Małgorzata nie potrafiła tym razem skarcić syna. Miał minę tak znękaną, jak zmokły psiak. Powiedziała tylko:

— Już mi więcej nie wymyślaj czegoś podobnego!

Diabeł na poddaszu

Pewnego jesiennego wieczoru Janek z matką był u dziadków w Capriglio. W czasie kolacji cała rodzina zgromadziła się przy stole, słabo oświetlonym lampką oliwną. Nagle ponad głowami dał się słyszeć jakiś hałas. Powtórzył się jeszcze raz, i drugi, i trzeci. Wszyscy unieśli głowy ku górze, wstrzymując oddech. Chwila ciszy i potem znowu słyhać tajemniczy hałas, po którym następuje długi i głuchy łoskot. Kobiety robią znak krzyża świętego, dzieci tulą się do matek.

Siedząca staruszka lęklwym głosem zaczyna opowiadać, jak to dawniej, również na strychu, słyszano dziwne hałasy, jęki, wrzaski straszliwe.

— To był diabeł. Teraz pewnie znów powrócił — szepcze robiąc znak krzyża.

Janek przerywa milczenie, stwierdzając spokojnie:

— Sądzę, że to jest kura, a nie diabeł.

Skarcono go za przemądrzałość i kazano zamilknąć. I oto znów jakiś głuchy odgłos, jakby ktoś się szamotał. Drewniany sufit stanowił równocześnie podłogę podłużnego stryszku. Poddasze służyło za spichlerz.

Janek znowu przerywa milczenie i wskakując na krzesło proponuje:

— Chodźmy zobaczyć!

— Zwariowałeś! Małgorzato, zatrzymaj go. Z diabłem nie można żartować.

Ale chłopiec już bierze latarnię, zapala ją i chwytą kij. Małgorzata zwraca się do niego:

— A może lepiej poczekać do jutra?

— Mamo, czy i wy się boicie?

— Gdzie tam! Chodźmy więc razem zobaczyć! Wchodzą po drewnianej drabinie. Dołączają się do nich inni domownicy, uzbrojeni w latarnie i kije. Janek otwiera drzwi i podnosi latarnię, by lepiej widzieć. Wówczas dał się słyszeć zduszony głos jednej z kobiet:

— Popatrzcie, o tam, w tym kącie!

Wszyscy wpatrują się: przewrócony do góry dnem kosz do ziarna porusza się, faluje, posuwa się. Janek robi krok naprzód.

— Uważaj! Ten kosz jest zaczarowany!

Janek chwytając go jednak ręką i podnosi. Duża, szamocząca się kura, uwięziona pod koszem od nie wiadomo ilu godzin, wylatuje jak z procy, gdacząc głośno. Teraz wszyscy stają wokół Janka i śmieją się jak szaleni. Owym diabłem okazała się zwykła kura. Lekki koszyk stał widocznie oparty o ścianę. Pomiedzy wiklinowymi prętami pozostały ziarna żyta. Kokoszka zaczęła je wydziobywać i wówczas koszyk przewrócił się na nią i skutecznie uwięził. Zmęczony i głodny ptak starał się wydostać z pułapki popychając kosz, który natrafiał na swej drodze inne przedmioty stojące na strychu i powodował hałas, który tak bardzo wszystkich niepokoił.

Nieszczęsna plama

Co tydzień w czwartek Małgorzata udaje się na targ do Castelnuovo. Niesie ze sobą dwie kobiałki z serem, kurami i jarzynami na sprzedaż. Wraca do domu z płótnem, świecami, solą i drobnymi podarkami dla synów. Gdy słońce ma się ku zachodowi, chłopcy wybiegają ścieżką prowadzącą w dół, matce naprzeciw.

Któregoś czwartku, w czasie zażartej partyjki w « lippa », drewniany krążek dostał się na dach. Na szafie w kuchni znajduje się inny — przypomina sobie Janek.

— Przyniosę go!

Biegnie do domu. Szafa jednak jest dla niego za wysoka, więc musi wejść na krzesło. Wspina się

na palce, wyciąga rękę i ... bęc. Butla z oliwą, stojąca na górze, spada na podłogę, rozbija się, a oliwa rozplywa się po czerwonych ceglach. Józek, nie mogąc doczekać się brata, przybiega do domu. Widząc katastrofę, ręką zakrywa sobie usta z wrażenia.

— Co powie mama ...

Chłopcy starają się jakoś zaradzić złu. Biorą miotłę, szybko uprzątają resztki szkła. Plama oliwna jednak ciągle jest widoczna, co więcej, rozszerza się. Janek przez długą chwilę stoi w milczeniu. Potem wyciąga z kieszeni nożyk, biegnie do żywopłotu, ścina ładną, giętką gałązkę i zabiera się do strugania. Równocześnie pracuje też jego umysł: obmyśla, co powiedzieć mamie. Kora gałązki zdobna jest w końcu w esy-floresy.

Pod wieczór chłopcy wychodzą matce naprzeciw. Zależniony Józek pozostaje w tyle. Tymczasem Janek biegnie prędko.

— Dobry wieczór, mamó! Jak się macie?

— Dziękuję, dobrze. A byłeś grzeczny?

— Och, mamusiu! Popatrzcie! — i podaje matce pięknie ozdobioną gałązkę.

— Coś tam dobrego zmalował?

— Dzisiaj rzeczywiście zasłużyłem na karę. Na nieszczęście stłukłem butlę z oliwą.

Opowiada jednym tchem o wszystkim i konkluduje:

— Przyniosłem różgę, zasłużyłem na nią. Weź ją, mamó.

Podaje gałązkę, patrząc na matkę swoimi pełnymi skruchy ale i łobuzerskimi oczyma. Małgo-

rzata spogląda na niego przez chwilę, a potem wybuchła śmiechem. Śmieje się również Janek. Matka bierze go za rękę i razem idą do domu.

— Wiesz Janku, jesteś spryciarzem! Żał mi tej butli oliwy, ale cieszę się, że nie starałeś się mnie okłamać. Jednak uważaj na przyszłość, gdyż oliwa jest droga.

Teraz zbliża się również Józek, widząc że burza, której się obawiał, « rozeszła się ».

Józio ma już dziesięć lat, jest cichym i spokojnym chłopcem. Nie posiada żywotności i gwałtowności Janka. Jest cierpliwy, uparty, sprytny. Kocha z całego serca matkę i braciszka, trochę boi się Antoniego.

Antoni, siedem lat starszy od Janka, jest chłopakiem zamkniętym w sobie, wybuchowym, czasami nawet ordynarnym. Zdarza się, że bije bez pamięci swych młodszych braci i Małgorzata musi wówczas biec im na pomoc. Prawdopodobnie jednak nie jest to chłopak zły, tylko przewrażliwiony, na którym śmierć matki i ojca wywarły tragiczne piętno.



Życie rodziny Bosko płynie spokojnie i skromnie. Wśród nielicznych domów, jakie znajdują się w Becchi, dom rodziny Bosko jest najbiedniejszy. Jednopiętrowy budynek służy za mieszkanie, stodołę i obórkę. W kuchni stoją worki z mąką kukurydzianą, a za cienką ścianą porykują dwie krowy. Na piętrze, na poddaszu, znajdują się małe i ciemne izdebki mieszkalne.

Prawdziwa bieda, ale nie nędza, gdyż wszyscy pracują, a praca na wsi wprawdzie nie popłaca, ale coś jednak daje. Ściany są gołe, ale pobielone. Nie ma wiele worków z mąką kukurydzianą, ale opróżnia się je z rozwagą i jakoś jej starczy. Krowy muszą pracować w polu: ciągną wóz albo pług. Mleka dają mało i chude, ale i to wystarcza.

Dzieci rodziny Bosko nie są więc ani smutne, ani zachłanne. Przecież i w biedzie, przy odrobinie cierpliwości, można być szczęśliwym.

Między ósmym a dziewiątym rokiem życia Janek zaczyna aktywnie współuczestniczyć w pracach rodziny i dzieli jej twarde i surowe życie. Pracuje się tu od świtu do nocy, a wiadomo, że słońce la-

tem wstaje wcześniej. « Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje » — mawiała Małgorzata, budząc dzieci o świcie. Poranne śniadanie jest skromne i proste: kawałek suchego chleba i czysta woda.

Janek nauczył się już kopać, kosić trawę, manewrować nożem ogrodniczym, doić krowy. Jak prawdziwy wieśniak. Odległości pokonuje się tu pieszo. Dylizans przejeżdża daleko od domu, drogą prowadzącą do Castelnovo i trzeba za niego drogo płacić. Wieczorem domownicy układają się do snu na siennikach wypchanych liśćmi kukurydzianymi.

Nogi biedaka

Gdy ktoś w nocy ciężko zachorował w pobliskich domostwach, przybiegano i budzono Małgorzatę. Wiadomo było, że nie odmówi nikomu pomocy. Ona z kolei budziła jednego z synów, by jej towarzyszył. Mówiła:

— Chodźmy, trzeba spełnić dobry uczynek.

« Spełniać dobry uczynek » — tym prostym zdaniem określano wówczas wiele wartości, które dziś nazywamy szlachetnością, usłużnością, zaangażowaniem, miłosierdziem, altruizmem.

« Zimą — wspomina ks. Bosko — często pukał do naszych drzwi pewien żebrak. Wokół leżał śnieg, a on prosił o nocleg na sianie w stodole ».

Małgorzata, zanim zaprowadziła go na poddasze, zawsze dawała mu talerz ciepłej zupy. Potem spoglądała na jego stopy. Najczęściej były one w opłakanym stanie. Do zniszczonych chodaków wle-

wała się woda. Małgorzata nie posiadała żadnej zapasowej pary do zamiany, więc owijała stopy biedaka kawałkiem sukna.

W jednym z domów w Becchi mieszkał ubogi człowiek nazwiskiem Cecco. Ongiś był bogaty, ale roztrwonił wszystko. Chłopcy wyśmiewali się z niego, nazywali go « konikiem polnym ». Matki bowiem, pokazując go dzieciom, często opowiadały pouczającą bajkę o mrówce i koniku polnym. « Podczas gdy my pracowaliśmy jak mrówki, on śpiewał, hulał. Był beztroski jak konik polny. A teraz, widzisz, jak wygląda? Zapamiętaj to sobie! » — mówiła Małgorzata.

Starzec wstydził się zebrać i często cierpiał głód. Matka Janka co wieczór wystawiała na parapecie okna garnuszek gorącej strawy. Gdy zapadał zmrok, Cecco przychodził i zabierał jedzenie.

Janek uczył się więc raczej miłosierdzia niż oszczędności.

Pewien chłopiec pracował jako parobek w pobliskiej zagrodzie. Nazywał się Secondo Matta. Rano gospodarz dawał mu kawałek czarnego chleba i wciskał do ręki postronki dwóch krów. Chłopiec musiał je paść aż do południa. Schodząc w dolinę spotykał Janka, który również prowadził krowy na pastwisko. W ręku miał zwykle kawałek białego pieczywa. W tamtych czasach biały chleb był delikatesem. Pewnego dnia Janek powiedział do kolegi:

— Zrobiłbyś coś dla mnie?

— Chętnie.

— Zamieńmy nasze chleby. Twój musi być lepszy od mojego.

Secondo Matta uwierzył i przez trzy kolejne lata, ilekroć chłopcy się spotykali, zamieniali swoje śniadania. Dopiero gdy Matta dorósł, zrozumiał, że Janek Bosko miał już wówczas bardzo szlachetne serce.

Polityka i dezercerzy

Blisko domu znajdował się las. Nieraz gdy nadchodziła noc, do drzwi Małgorzaty pukali uciekinierzy, tropieni przez strażników. Prosilili zwykle o łyżkę stawy i o trochę słomy, by móc się przespać. Małgorzata nie bała się tych wizyt. Była do nich przyzwyczajona. W czasach napoleońskich wielu młodych ludzi uciekało przed poborem do wojska. Historycy twierdzą, że w ostatnich latach panowania cesarza ukrywało się po lasach lub w górach 70% poborowych. W poszukiwaniu za tymi « bandytami » — jak ich wtedy nazywano — często przychodzili karabinierzy, powołani do służby przez Wiktora Emanuela I.

W domu rodziny Bosko obowiązywał rodzaj cichego « zawieszenia broni ». Karabinierzy, zmęczeni wejściem na wzgórze, prosili zwykle Małgorzatę o kubek wody, czasami o łyk wina. Gdy dezercerzy, ukryci w stodole, usłyszeli jakieś głosy, cicho wymykali się. « Chociaż karabinierzy wielokrotnie na pewno dobrze wiedzieli, kto ukrywał się w domu — pisze B. Lemoyne, główny biograf ks. Bosko, z którym w Turynie prowadził długie rozmowy

— udawali, że nic nie widzą i nigdy nikogo nie starali się zaaresztować ».

Janek przypatrywał się wszystkiemu i próbował zrozumieć. Od matki dowiedział się, że najpierw żołnierze reżymu demokratycznego tropili osoby dochowujące wierności królowi. Obecnie ci, którzy dawniej ścigali, stali się ściganymi. Karabinierzy królewscy polowali na demokratów. Niedługo sytuacja znów miała ulec zmianie: demokraci będą ministrami, naczelnikami policji, zarządzać będą sprawami publicznymi. Poszukiwać się będzie kogoś innego.

Matka Małgorzata, przywyczajona do tych zmian frontu, daje talerz zupy i kawałek chleba każdemu, kto puka do drzwi, nie pytając się, do jakiego stronnictwa należy. Może właśnie te wydarzenia sprawiły, że w Janku zrodziła się nieufność do polityki i do wszelkich stronnictw. W życiu realizował ideały o wiele cenniejsze: zbawienie dusz, wychowanie i wyżywienie biednych chłopców. Nazwie potem tę działalność « polityką Ojczyzny ».

« Matka nauczyła mnie modlić się »

W Becchi ludzie byli miłośni, powodowali się nie tylko sentymentem, ale chrześcijańską miłością. Bóg był kimś bliskim w rodzinie Bosko. Małgorzata nie umiała czytać ani pisać, ale znała na pamięć całe rozdziały Starego Testamentu i Ewangelii. Wierzyła, że trzeba koniecznie modlić się, to

jest rozmawiać z Bogiem, by nabrać sił do życia i do spełnienia dobrych uczynków.

« Gdy byłem jeszcze bardzo mały — pisze ks. Bosko — sama uczyła mnie modlitw. Kazała mi klękać rano i wieczorem, razem z braćmi, i wspólnie odmawialiśmy modlitwy ».

Ksiądz mieszkał daleko i matka nie czekała aż znajdzie on czas, by przyjść i nauczyć dzieci katechizmu. Oto kilka pytań i odpowiedzi, zawartych w « Skrócie doktryny chrześcijańskiej », ¹ których Małgorzata jeszcze jako dziecko nauczyła się na pamięć i które przekazała potem Jankowi, Józiowi i Antoniemu.

« Pytanie: Co musi zrobić dobry chrześcijanin zaraz po obudzeniu się?

Odpowiedź: Znak krzyża świętego.

Pytanie: Co musi uczynić dobry chrześcijanin, gdy wstanie i ubierze się?

Odpowiedź: Jeżeli może, powinien uklęknąć przed jakimś świętym obrazem i wzbudzając sercem akt wiary w obecność Boga, powiedzieć pobożnie: Wielbię Cię, mój Boże ...

Pytanie: Co należy zrobić przed pracą?

Odpowiedź: Ofiarować swój trud Bogu ».

Jedną z pierwszych praktyk religijnych, w której uczestniczył Janek, było odmawianie różańca. W tamtych czasach była to modlitwa wieczorna wszystkich chrześcijan. Powtarzając pięćdziesiąt razy « Zdrowaś Maryjo », także i wieśniacy z Becchi « prowadzili rozmowy » z Madonną, bardziej matką

¹ Nazwa jednego z katechizmów.

niż królową. W czasie przesuwania ziarenek różańca myśl modlących się biegła często ku dzieciom, polom, ku życiu, ku śmierci. Janek też zaczął w ten sposób rozmawiać z Maryją i wiedział, że Ona patrzy na niego i słucha go.

W swych « Wspomnieniach » ks. Bosko przypomina również swą pierwszą spowiedź św.

« To matka przygotowała mnie do niej. Ona zaprowadziła mnie do kościoła, sama wyspowiadała się jako pierwsza i poleciła mnie spowiednikowi. Potem pomogła mi w odprawieniu dziękczynienia ».

W martwym sezonie — nauka w szkole

Do pierwszej klasy powszechnej Janek uczęszczał prawdopodobnie mając dziewięć lat, w zimie, na przełomie roku 1824 i 1825. W owych czasach zajęcia szkolne rozpoczynały się 3 listopada i trwały tylko do 25 marca. To był tak zwany « martwy sezon » na wsi. Przed tym okresem i po nim nawet słabe ręce dziecięce potrzebne były do pracy w domu i na polu.

Od 1822 roku obowiązywała we Włoszech ustawa o obowiązku szkolnym. Nauka była obowiązkowa i bezpłatna. Dzieci uczyły się czytania, pisania, religii i arytmetyki. Nie wszystkie jednak gminy były w stanie zrealizować te założenia.

Ponieważ szkoła gminna w Castelnuovo oddalona była od domu w Becchi o 5 km, dlatego pierwszym nauczycielem Janka był pewien wieśniak,

umiejący pisać i czytać. Potem ciotka Janka, Marianna Occhiena, która w Capriglio prowadziła gospodarstwo księdza-nauczyciela, poprosiła chlebowodawcę o miejsce w szkole dla swego siostrzeńca. Ks. Lacqua przychylił się do jej prośby i Janek prawdopodobnie przez kilka miesięcy mieszkał u swej cioci. Podobnie było zimą 1825/26 r. W tym jednak okresie 17-letni Antoni znów zaczął sprzeciwiać się nauce brata.

— Dlaczego posyłać go jeszcze do szkoły? Jeżeli ktoś umie czytać i potrafi się podpisać, aż nadto starczy. Niech weźmie łopatę w rękę, tak jak ja to zrobiłem.

Małgorzata starała się Antoniego przekonać, mówiąc:

— Z każdym rokiem wykształcenie staje się coraz bardziej konieczne. Teraz nawet szewcy i krawcy chodzą do szkoły! Dobrze będzie, jeżeli ktoś w domu będzie umiał coś więcej.

Gdy tylko Janek nauczył się czytać, książki stały się jego pasją. Pożyczał je sobie od ks. Lacqua i wiele letnich popołudni spędzał w cieniu drzewa, czytając zawzięcie. Gdy znajdował się na pastwisku, gotów był doglądać również krów kolegów, byle tylko pozwolili mu czytać w spokoju. Nigdy jednak nie był dziwakiem. Lubił czytać, ale lubił też bawić się i wspinać po drzewach.

Pewnego popołudnia razem z kolegami wypatrzył w gałęziach dużego dębu gniazdko szczygłów. Wspiął się i zobaczył, że w gnieździe znajdują się już małe, które warto by wsadzić do klatki. Gniazdko znajdowało się na końcu dużej i długiej gałęzi,

biegnącej równoległe do ziemi. Janek pomyślał przez chwilę i z góry krzyknął do kolegów: « Pójdę! ». Powolutku zaczął się czołgać. Gałąź stawała się coraz cieńsza i coraz bardziej się ugiwała. Wyciągnął rękę, wziął cztery małeństwa i wsadził je sobie na piersi za koszulę. Teraz należało się cofnąć wzdłuż konaru, który ugiwał się pod jego ciężarem. Janek posuwał się powoli, lecz naraz stopy zsunęły mu się z drzewa. Zawisł na rękach na dużej wysokości. Nagłym ruchem zaczepił się ponownie nogami o konar, ale potem nie potrafił już nic więcej zrobić. Wszystkie wysiłki, zmierzające do ponownego ułożenia się na gałęzi twarzą w dół, spęły na niczym. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Na dole kole-dzy krzyczeli, podskakiwali, lecz w niczym nie potrafili mu pomóc. Gdy wreszcie ręce odmówiły chłopcu posłuszeństwa — spadł na ziemię. Uderzenie było bardzo silne. Stracił przytomność na kilka minut, potem udało mu się usiąść.

— Stało ci się coś złego?

— Chyba nie — wyszeptał z trudem.

— A ptaszki?

— Są tutaj, żywe. — Odpiął koszulę i wyjął je ostrożnie. — Ale drogo mnie kosztowały ...

Próbował pójść do domu, lecz drżał cały i znów musiał usiąść na ziemi. Gdy wreszcie dotarł do domu, powiedział do Józia:

— Jest mi niedobrze, tylko nic nie mów mamie.

W łóżku w ciągu nocy poczuł się lepiej, ale skutki tego nieszczęsnego upadku odczuwał potem jeszcze przez wiele dni.

Wielka tragedia z powodu małego kosa

Ptaki były jego pasją. Kiedyś z gniazdka wyjął malutkiego kosa. Zaopiekował się nim. Umieścił go w klatce uplecionej z gałązek wierzbowych i nauczył go gwizdać. Gdy kos dostrzegł Janka — witał go swoim ptaszęcym głosem. Podskakiwał wesoło pomiędzy prętami i wpatrywał się w niego błyszczącymi ślepkami. To był naprawdę sympatyczny kos!

Któregoś ranka Janek nie usłyszał znajomego śpiewu — kos zamilkł na zawsze. Jakiś kot dostał się do klatki i zjadł biedaka; pozostała tylko garść zakrwawionych piórek. Janek zaczął płakać. Matka starała się go uspokoić: przecież znajdziesz jeszcze niejednego kosa w gniazdach. Ale Janek szlochał ciągle — jego ukochany, mały przyjaciel został zabity i już nigdy więcej go nie zobaczy ...

Przez kilka dni chłopiec był smutny i nikt nie potrafił go rozweselić. « W końcu — jak opowiada Lemoyne — zaczął zastanawiać się nad znikomością rzeczy ziemskich i powziął zadziwiające w tym wieku postanowienie, aby "nie przywiązywać serca do rzeczy ziemskich". Te same słowa powtórzył kilka lat później, po śmierci swego najukochańszego przyjaciela. A potem jeszcze powtarzał je wielokrotnie.

Można jednak stwierdzić, że na szczęście tego postanowienia Jan Bosko nie zdołał nigdy zrealizować. Przecież, jak wszyscy ludzie, miał serce, które musiało kochać osoby i rzeczy, małe i duże. Płakał więc, mając serce rozdarte z bólu, przy śmierci ks. Calosso, Alojzego Comollo i gdy zobaczył pierwszych swych chłopców za kratami więzienia. Po-

wiedział kiedyś, że « gdyby to nie było grzechem, udusiłby własnymi rękami tych, którzy krzywdzili jego chłopców ». Jego chłopcy wielokrotnie powtarzali: On kochał mnie! Jeden z nich, Alojzy Orione, napisał: « Przeszedłbym chętnie po rozżarzonych węglach, by móc zobaczyć go jeszcze raz i by móc mu podziękować ».

W owych czasach ojcowie duchowni nauczali, że jest rzeczą niewłaściwą przywiązywać serca do stworzeń. Lepiej nie ryzykować i lepiej kochać mniej. Wskazania Soboru Watykańskiego II (1962-1965) mówią natomiast, że oczywiście nie trzeba stworzeń ubóstwiać, że trzeba oczyszczać naszą miłość, ale że to przecież Bóg dał nam serce, byśmy kochali bez lęku. Bóg filozofów jest bogiem nieczułym. Bóg Biblii natomiast: kocha, gniewa się, cierpi, płacze, raduje się i uśmiecha z czułością.

Jego ziemia

W wieku dziewięciu lat dziecko zaczyna zazwyczaj wydostawać się z ciepłej otoczki swej rodziny i zaczyna rozglądać się wokoło. Również i Janek patrzył szeroko otwartymi oczyma i odkrywał swoją ziemię, piękną, pofalowaną, spokojną. Rosły na niej morwy, winne latorośle, kukurydza, konopie. Pasły się stada krów i owiec. Gęste i rozległe lasy wyglądały jak ciemnozielone plamy. Wieśniacy, którzy pracowali w słońcu bez pośpiechu, byli cierpliwi i wytrwali, przywiązani do swej ziemi, w której zapuścili korzenie, jak drzewa. Nie wstydzili się uchy-

lić kapelusza przed Bogiem i przed księdzem, ale gdy zamykali drzwi swego domu, w rodzinie czuli się udziałnymi książętami.

Jan Bosko był wielkim synem Boga, ale był też synem swej ziemi. Niebo zesłało mu powołanie, ale ukształtował je i klimat ziemi ojczystej, i ojczyste powietrze, i charakter otaczających go osób. W swym głosie zachował na zawsze specyficzny akcent dialektu z rodzinnych stron, a w sercu — dziedzictwo śwých ziomków.



Dziewiąty rok życia Janka nosi na sobie znamię « wielkiego snu », o którym już wspomniano w prologu: ogromna rzesza dzieci, Człowiek, który upominał: « trzeba zjednywać sobie ludzi łągodnością, a nie biciem », Kobieta zapowiadająca, że « w swoim czasie zrozumiesz wszystko.

Mimo rozsądnych słów babci, sen ten rzucił szczególne światło na przyszłość. Odtąd prorocza « wizja » wpływa na cały sposób życia i myślenia Jana Bosko. Rzutuje ona również na późniejsze postępowanie matki. I dla niej sen ten oznacza ujawnienie się woli nadrzędnej, jest jasnym znakiem kapłańskiego powołania syna. Jedynie w ten sposób można wytłumaczyć jej wytrwałość w kierowaniu Janka drogą, która w końcu doprowadziła go do ołtarza.

We śnie Janek widział całe zastępy chłopców, których polecono mu otoczyć dobrocią. Dlaczego więc nie zacząć od razu? Zna przecież wielu towarzyszy zabaw, rówieśników z pobliskich, rozrzuconych wśród pól zagród. Wielu z nich to porządni

koledzy, ale nie brak również ordynusów i takich, których trzymały się przekleństwa i wyzwiska.

Zimą wiele rodzin wspólnie spędzało wieczory w jakiejś obszernej oborze, w której woły i krowy ogrzewały pomieszczenie niczym kaloryfery. Podczas gdy kobiety przędły a mężczyźni palili fajki, Janek czytywał swym przyjaciołom książki, które pożyczał od ks. Lacqua. Były wśród nich między innymi opowiadania o królach francuskich i inne ciekawe historie. Sukces czytelniczy był nadzwyczajny. « Wszyscy chcieli mieć mnie w swej oborze — opowiada. — Do grona słuchających chłopców dołączały się osoby różnego wieku i stanu. Wszyscy cieszyli się, że mogą w ten sposób spędzać czas, słuchając tego, co czytał mały lektor. On zaś stał wyprostowany na ławce, by wszyscy mogli go widzieć ».

Najchętniej słuchano książki pod tytułem « Królowie Francji ». Opowiadała ona o wspaniałych, legendarnych przygodach Karola Wielkiego i jego paladynów: Orlanda, Oliviera, zdrajcy Gano, biskupa Turpino oraz o czarodziejskim mieczu Durlindanie. « Przed moimi opowieściami i po nich — mówi — wszyscy robiliśmy znak krzyża świętego i odmawialiśmy Zdrowaś Maryjo ».

Trąbki na wzgórzach

W ciepłe, pogodne dni było inaczej. Opowiadania i czytanie już nie nęciły. Janek zdawał sobie sprawę, że trzeba wymyślić coś szczególnego, aby zebrać kolegów. Ale co?

Na pobliskich wzgórzach rozbrzmiewały właś-

nie trąbki kuglarzy. Odbywał się jarmak. Janek udał się tam z matką. Ludzie kupują, sprzedają, dyskutują, oszukują. Szukają rozrywki. Gromadzą się wokół kuglarzy i akrobatów. Wieśniacy z podziwem patrzą na ich sztuczki i akrobacje. Jankowi przychodzi na myśl, że i on mógłby coś podobnego. Musi więc rozszyfrować tajemnice ekwilibrystów i magików.

Wielkie przedstawienia odbywają się jedynie w czasie uroczystości patronalnych. Cyrkowcy tańczą na linie, kuglarze pokazują rozmaite, zadziwiające rzeczy, np. wyjmują gołębie i króliki z kapeluszy, przepoławiają jakąś osobę, a potem znów ją pokazują całą i zdrową. Bardzo wielkim uznaniem cieszy się również « bezbolesne wyrywanie zębów ». Ale żeby móc zobaczyć te przedstawienia, trzeba zapłacić za bilet, który kosztuje dwa soldy. Skąd je wziąć? Małgorzata, zapytana przez Janka, odpowiada:

— Poradź sobie sam. Nie prosź mnie o pieniądze. Nie mam ich.

No i Janek radzi sobie. Łapie ptaki i sprzedaje je. Wyplata koszyki i klatki i oddaje na sprzedaż wędrownym handlarzom. Zbiera zioła lecznicze i zawozi do Castelnuovo, do aptekarza. W ten sposób, siedząc potem w pierwszych rzędach, pilnie obserwuje cyrkowych artysów. Obserwuje ich bardzo uważnie i dochodzi do wniosku, że dzięki długiemu, cienkiemu drążkowi łatwiej można utrzymać równowagę na linie. Zauważa też, że szybki ruch palców kuglarza kryje w sobie tajemnicę jego sztuki. Udaje mu się również poznać inne « tricki ».

W tamtych latach wyrwanie spróchniałego zęba było dla wszystkich torturą. Pierwszy środek znieczulający zastosowano w Ameryce dopiero w 1846 roku. Janek w czasie jarmarku w 1825 roku uczestniczył w takim « bezbolesnym rwaniu zęba », z zastosowaniem jakiegoś magicznego proszku. Wieśniak, który poddawał się tej operacji miał rzeczywiście bolący ząb trzonowy. Kuglarz zanurzał najpierw palec w proszku, a potem, wśród łoskotu trąbek i bębnow, wrywał ząb zdecydowanym ruchem, za pomocą klucza angielskiego, ukrytego w rękawie. Chłop, krzycząc z bólu, zrywał się, ale trąbki zagłuszały wszystko. Kuglarz ścisnął swą ofiarę, mówiąc: « dziękuję, dziękuję, doświadczenie udało się wspólnie! ». Janek był jednym z nielicznych widzów, którzy zauważyli ów klucz angielski, wydobyty z rękawa. Odchodził śmiejąc się z tego odkrycia.

W domu próbował naśladować sztukmistrzów. « Ćwiczyłem całymi dniami, dopóki nie nauczyłem się ». Potrzeba bowiem całych miesięcy ćwiczeń, potrzeba wytrwałości i upadków, by udało się wyciągnięcie królików z kapelusza, chodzenie po linie itp.

« Być może, że mi nie uwierzycie — pisał ks. Bosko — ale w wieku jedenastu lat umiałem już sztuczki kuglarskie, robiłem salto mortale, chodziłem na rękach, chodziłem i tańczyłem na linie ».

Widowisko na łące

Pewnego niedzielnego wieczoru, w pełni lata, Janek zapowiada kolegom swój pierwszy występ. Na dywaniku z rozłożonych na trawie worków do-

konuje cudów równowagi w ćwiczeniach ze słoikami i garnkami, umieszczonymi na czubku nosa. Każę też otworzyć buzię małemu widzowi i wyciąga z niej dziesiątki kolorowych kulek. Popisuje się magiczną pałeczką. Na koniec wskakuje na linę i przechodzi po niej, przy wielkim aplauzie przyjaciół.

Wieść o tym rozchodzi się po okolicy. Powiększa się grupa widzów. Przychodzą maluchy i starsze dzieci, chłopcy i dziewczęta, czasem i ktoś z dorosłych. To ci sami, którzy w oborze uczestniczyli w lekturze « Królów Francji ». Teraz mają okazję zobaczyć jak Janek wyjmuje całą masę monet z potężnego nosa pewnego wieśniaka, jak zmienia wodę w wino, jak powiększa magicznie ilość jajek, jak otwiera torebkę jakiejś pani i wypuszcza z niej gołąbka. Wszyscy śmieją się i klaszczą w dłonie.

Również brat Janka — Antoni — przypatrywał się tym sztuczkom — pisze ks. Lemoyne — ale nigdy nie pchał się do pierwszych rzędów. Ukrywał się za drzewem, przychodził, odchodził. Czasami szydził z małego akrobaty:

— Oto mamy pajaca, lenia! Ja ciężko pracuję w polu, a on udaje szarlatana!

Janek cierpiał z tego powodu. Czasami przerywał przedstawienie i na nowo zaczynał je dwieście metrów dalej. Dziwnym szarlatanem był ten chłopiec. Przed końcowym numerem przedstawienia wyciągał różaniec, klękał i zapraszał wszystkich do modlitwy. Czasami powtarzał kazanie, które rano słyszał w kościele. To była opłata za bilet, jakiej domagał się od swej publiczności. W całym swym życiu Jan Bosko zawsze bardzo szczerze szafował

swym trudem, ale zawsze czegoś żądał za to: nie pieniędzy, lecz poświęcenia się dla Boga i dla biednych chłopców.

Wreszcie następował efektowny koniec. Janek przywiązywał linę do dwu drzew, wchodził na nią trzymając zwykły drążek, przechodził wśród napięcia, a potem wśród gorącej owacji.

« Po kilku godzinach takiej rozrywki — pisał potem — gdy już byłem mocno zmęczony, ustawała wszelka zabawa, odmawiano krótką modlitwę i każdy wracał do domu ».

Pierwsza Komunia św.

W 1826 roku Wielkanoc przypadała 26 marca. W tym dniu Janek przystąpił do pierwszej Komunii św. w kościele parafialnym w Castelnovo. Oto jak wspomina swoje przeżycie:

« Matka towarzyszyła mi wszędzie. W czasie wielkiego postu zaprowadziła mnie do spowiedzi. "Janku mój — powiedziała — Bóg przygotowuje dla ciebie wielki dar. Przygotuj się i ty dobrze. Wyznaj wszystko, żałuj i obiecaj Bogu, że będziesz lepszy w przyszłości". Obiecałem wszystko. Bóg jeden wie, czy potem dotrzymałem obietnicy.

Tamtego ranka zaprowadziła mnie do Stołu Pańskiego, wspólnie odprawiliśmy przygotowanie i dziękczynienie. Nie pozwoliła mi pracować fizycznie, ale chciała, bym przez cały ten dzień zajmował się czytaniem i modlitwą. Wielokrotnie powtarzała: « Był to wielki dzień dla ciebie. Bóg wziął w posia-

danie twoje serce. Teraz obiecaj Mu, że uczynisz wszystko, co będzie w twojej mocy, by być dobrym aż do końca życia. W przyszłości chodź często do Komunii św., wszystko zawsze wyznawaj przy spowiedzi, bądź posłuszny, chętnie uczęszczaj na katechizm i na kazanie. Uciekaj jak od zarazy od wszystkich, którzy prowadzą złe rozmowy ».

Starąłem się zrealizować w praktyce zalecenia mojej matki. Wydaje mi się, że od tego dnia nastąpił postęp w moim zachowaniu, szczególnie jeżeli chodzi o posłuszeństwo i o podporządkowanie się innym, w stosunku do czego odczuwałem wielką niechęć ».

Najsmutniejsza zima w życiu

Zima, która potem nastąpiła, była dla Janka najsmutniejszą zimą w życiu. Umarła babcia, a 18-letni Antoni coraz bardziej oddalał się od rodziny. Jego wybuchy złości stawały się coraz częstsze.

W ostatnich dniach października Małgorzata wspomniała o ewentualnym posłaniu Janka jeszcze na jeden rok do szkoły księdza Lacqua. Mógłby nauczyć się tam początków łaciny. Antoni zareagował gwałtownie.

— Po co łacina! Na co przyda się łacina w domu? Trzeba pracować, pracować!

Być może, Małgorzata wspomniała mu o możliwości wstąpienia Janka do seminarium, ale Antoni uznał ten projekt za nierealny.

— Aby zostać księdzem, trzeba 10 tysięcy lirów. Janek wielokrotnie słyszał o tym od niego. Suma zawrotna dla rodziny wieśniaczej w owych czasach.

Pod pretekstem załatwienia sprawunków dla ciotki Marianny i dla dziadka, mieszkających w Capriglio, udało się Jankowi kilka razy pójść do ks. Lacqua również zimą 1826/27 r. Antoniemu było to jednak nie w smak. Pewnego dnia doszło do otwartej wojny. Ks. Bosko tak o tym opowiada:

« Najpierw mojej matce, potem bratu Józefowi, Antoni powiedział:

— Mam już dość. Trzeba skończyć z tą gramatyką. Ja wyrosłem na wysokiego i mocnego chłopca i nigdy nie oglądałem książek.

W tym momencie, pod wpływem rozgoryczenia i gniewu, powiedziałem coś, czego nie powinienem był powiedzieć:

— Również i nasz osioł nigdy nie chodził do szkoły, a jest większy od ciebie!

Na te słowa Antoni wpadł w szal i z trudem udało mi się uciec przed gradem jego pięści. Matka była bardzo zmartwiona, ja płakałem ».

Sprawa zawisła nad domem jak chmura gradowa, wywołując coraz większe napięcie. Antoni był uparty, Janek też nie pozwalał, by ktoś wtrącał się do jego spraw, i reagował gwałtownie. Potem, z powodu książki, którą Janek położył na stole obok talerza, wybuchła kłótnia, o której już wspomniano. Jankowi nie udało się uciec i oberwał mocno od brata.

Następnego ranka Małgorzata powiedziała mu te bardzo smutne słowa: « Lepiej będzie, jeżeli opuścisz dom ».

W mglisty dzień lutowy Janek zaszedł do zagrody gospodarza Moglia i rozpaczliwym płaczem wybłagał, że przyjęto go jako chłopaka stajennego.



Minęło kilka dni. Alojzy Moglia powiedział do Doroty:

— Przyjmując tego chłopca, nie zrobiliśmy złego interesu!

Janek Bosko wziął się bowiem do pracy z zapalem, był chętny i posłuszny. Jego obowiązkiem była piecza nad oborą. Najcięższą pracę stanowiło codzienne wymoszczenie świeżą słomą legowiska krów i wywiezienie starej podściółki, przy użyciu taczki i wideł. Potem chłopiec musiał zgrzebłem oczyścić zwierzęta, zaprowadzić je do wodopoju, wejść na strych i zrzucić do żłobów siano na cały dzień, wydoić krowy. Jasne, że Janek nie robił tego wszystkiego sam. Był pomocnikiem pastucha, który wydzielał mu prace, możliwe do wykonania przez małego chłopca.

Również w czasie wieczornych modlitw Janek wykazał się swoją gorliwością i pani Dorota kilka razy powierzyła mu przewodnictwo przy odmawianiu różańca.

Gospodarze przydzielili mu do spania malutki, jasny pokój i wygodne łóżko. Było mu tu więc

lepiej niż w Becchi, gdzie posłanie dzielił z Józkiem lub z Antonim. Po pierwszych wieczorach Janek ośmielił się zapalić kawałek świeczki i spróbował poczytać sobie przez godzinę jedną z pożyczonych od ks. Lacqua ksiązek. Nikt mu tego nie zabraniał, więc nadal czytywał przed snem.

W sobotę wieczorem poprosił gospodarza, by mu pozwolił następnego dnia pójść wcześniej rano do Moncucco. Powrócił na śniadanie i o godzinie dziesiątej z panem Alojzym i całą jego rodziną udał się na sumę. Ponieważ i w następne soboty prosił o to samo, pani Dorota postanowiła przekonać się, dokąd chłopiec chodzi. Odpowiadała bowiem za niego wobec matki. Udała się więc do Moncucco przed świtem i obserwując go z domu swej przyjaciółki stwierdziła, że wszedł do kościoła. Potem zobaczyła, że ukląkł przy konfesjonale, wysłuchał mszy św. i przyjął komunię św. W owych czasach bardzo rzadko przystępowano do sakramentu Eucharystii. Podczas sumy, w której brali udział wszyscy mieszkańcy wsi, nie rozdawano w ogóle komunii św. Kto chciał komunikować, musiał uczestniczyć w cichej mszy św., którą proboszcz odprawiał wczesnym rankiem.

Dorota, w drodze powrotnej powiedziała chłopcu:

— Odtąd, gdy zechcesz pójść na ranną mszę św., możesz iść. Nie musisz już więcej prosić o pozwolenie.

Spowiadając się przed proboszczem, ks. Cottino, Janek zwierzył mu się ze swego pragnienia zostania księdzem i ze swych trudności. Ks. Cottino zachęcił go do cotygodniowej spowiedzi i do komu-

nii św., do modlitw w ciągu dnia i do zaufania Boga. Jeżeli tylko Bóg tego pragnie, na pewno uda się przezwyciężyć trudności. Polecił też, by Janek nie zarzucił całkowicie nauki. Ofiarował się udzielić mu kilku lekcji łaciny, o ile nie będzie to kolidować z pracą w zagrodzie. Tymczasem pożyczał mu książki.

Dwa ziarna i cztery kłosa

Stary Józef, wuj gospodarza, powracał pewnego dnia z pola, spocony, z łopata na ramieniu. Było południe i na wieży w Moncucco bił właśnie dzwon. Zmęczony starzec usiadł na sianie, by trochę odetchnąć. Niedaleko zobaczył Janka, który klęczał na sianie i odmawiał Anioł Pański, tak jak nauczyła go matka Małgorzata — codziennie rano, w południe i wieczorem. Na wpół żartem, na wpół serio Józef powiedział:

— Patrzcie go! My gospodarze harujemy od rana do nocy i ledwie żyjemy, a parobek modli się z całym spokojem.

Janek również na wpół serio, na wpół żartem odpowiedział:

— Gdy jest coś do zrobienia, wiecie dobrze Józefie, że się nie lenię, ale moja matka nauczyła mnie, że gdy człowiek modli się, to z dwóch ziaren wyrastają cztery kłosa. Natomiast jeżeli człowiek nie modli się, z czterech ziaren wyrastają tylko dwa kłosa. Lepiej więc będzie, że i wy pomodlicie się trochę!

— Masz ci los! — stwierdził starzec. — A więc mamy teraz również proboszcza w domu!

Gdy nadeszła wiosna, chłopiec musiał wypędzać krowy na pastwisko. Uważał, by nie wchodziły w szkodę, by nie jadły trawy zbyt mokrej, by się nie bodły.

Siedząc w cieniu drzew, podczas gdy zwierzęta skubały trawę, Janek zawsze znajdował trochę czasu na lekturę. Gospodarz nie gniewał się, ale kiwał głową:

— Dlaczego tyle czytasz?

— Chcę zostać księdzem.

— A nie wiesz, że dziś, by móc studiować, potrzeba 9 - 10 tysięcy lirów? Gdzie je znajdziesz?

— Jeżeli Bóg zechce, ktoś może o tym pomyśli.

Na łąkę przychodziła też czasem Ania, najstarsza córka gospodarza, by się pobawić. Miała wtedy osiem lat. Kiedyś widząc, że Janek czyta książkę zamiast przypatrywać się jej zabawom, nadąsana powiedziała:

— Rzuć już to czytanie, Janku!

— Ale pomyśl, ja chcę zostać księdzem i będę musiał głosić kazania i słuchać powieści!

— Ty księdzem? Nigdy nie uwierzę. Ty zostaniesz ... pastuchem — zązartowała dziewczynka.

Pewnego dnia Janek jej powiedział:

— Aniu, wyśmiewasz się teraz ze mnie, ale zobaczysz, kiedyś przyjdiesz jeszcze do mnie do powieści!

Pani Anna wiele lat później założyła rodzinę i przez długi czas mieszkała w Moriondo. Wielo-

krotnie opowiadała swym dzieciom o tej rozmowie. Rzeczywiście po latach, cztery lub pięć razy do roku, udawała się na Valdocco, by wypowiedzieć się u ks. Bosko. Witał ją zawsze z radością jak siostrę.

Gdy nastawała zima, gospodarze pozwolili mu od czasu do czasu pójść do szkoły, do ks. Cottino. Ale było to tylko kilka lekcji i bardzo nieregularnych, tak że nie na wiele się przydały. Zaprzyjaźnienie się z proboszczem ułatwiło mu jednak poznanie chłopców z Moncucco. Duża sień probostwa, która w dni powszednie służyła za klasę szkolną, w niedzielę przekształcała się w małe oratorium. Janek Bosko popisywał się sztuczkami kuglarskimi, czytywał najciekawsze stronicę Pisma świętego i modlił się ze swymi małymi przyjaciółmi.

Gdy pogoda była brzydka i nie można było pójść do Moncucco, chłopcy przychodzili do Janka, do domu Mogliów. On prowadził ich na strych, bawił się z nimi, uczył katechizmu.

W gospodarstwie Mogliów Janek spędził prawie trzy lata — od lutego 1827 do listopada 1829 r. Lata zasadniczo stracone, jeżeli chodzi o naukę. Ale czy należy uznać te lata za stracone, jeżeli chodzi o misję, do jakiej wzywał go Bóg?

Piotr Stella przypomina pewien epizod, pozornie bez większego znaczenia: « Pani Dorota i jej szwagier Jan znaleźli chłopca klęczącego z książką w ręce. Oczy miał przymknięte, twarz zwróconą do nieba. Musieli nim silnie potrząsnąć, tak był zatoniony w rozmyślanii ». I tak rozumuje: « Na pewno więc nie były to lata stracone, gdyż w Janku coraz bardziej pogłębiało się ukochanie Boga i kontem-

placja. Potrafił rozmawiać z Bogiem w czasie prac polowych. Były to więc lata cichego, błagalnego oczekiwania na Boga i na ludzi ».

W 1827 roku w Mediolanie ukazało się pierwsze wydanie « Narzeczonych » Aleksandra Manzoni¹. W 1828 roku w Recanati, Giacomo Leopardi² zaczął pisać swe wielkie « Idylle ». W 1829 roku w Paryżu, Gioacchino Rossini³ wystawił po raz pierwszy swe arcydzieło « Wilhelm Tell ».

Tymczasem w tych trzech latach Jan Bosko doił krowy w zapadłej zagrodzie Monferratu. Ale właśnie wówczas zaczął rozmawiać z Bogiem.

Wuj Michał

Matka Małgorzata bardzo bolała nad rozłąką z synem i nad jego pobytem w zagrodzie Mogliów. Prawdopodobnie zwierzyła się ze swego kłopotu bratu Michałowi. Gdy zbliżał się termin wygaśnięcia

¹ Manzoni Aleksander (1785-1873), pisarz katolicki, czołowy przedstawiciel romantyzmu włoskiego, autor hymnów religijnych i dramatów historycznych. « Narzeczeni » to jego najgłośniejsza powieść, opisująca dzieje Lombardii w XVII w.

² Leopardi Jakub (1798-1837), poeta głęboko współczujący człowiekowi, uznany za najwybitniejszego liryka włoskiego XIX w., także autor utworów prozą.

³ Rossini Joachim (1792-1868), Włoch, jeden z najświetniejszych w historii światowej muzyki kompozytorów operowych. Obok « Wihelma Tella » najczęściej grywaną operą jest « Cyrulik Sewilski ».

kontraktu (11 listopada), Michał udał się do Mogliów, by porozmawiać ze siostrzeńcem. Janek właśnie wypędzał krowy na pastwisko.

— No i cóż, Janku, jesteś zadowolony z pobytu tutaj?

— Nie, wuju, traktują mnie tu wprawdzie dobrze, ale ja chcę się uczyć. Lata mijają, skończyłem już czternaście, a ciągle jestem na tym samym etapie.

— Wobec tego zapędź krowy z powrotem do obory i wróc do Becchi. Ja pomówię z twymi gospodarzami, a potem pojedę na targ do Chieri. Ale dzisiaj wieczorem wstąpię do twego domu i coś uradzimy.

Janek spakował więc swój tłumoczek, pożegnał panią Dorotę, gospodarza Alojzego, starego Józefa, Teresę i Anię. W czasie swego pobytu tutaj zaprzyjaźnił się ze wszystkimi i przyjaźń ta miała przetrwać przez całe późniejsze życie.

Powrócił do Becchi. Gdy matka Małgorzata dostrzegła go z daleka, szybko wybiegła mu naprzeciw.

— W domu jest Antoni. Bądź cierpliwy, ukryj się, dopóki nie nadejdzie wuj Michał. Jeżeli Antoni cię zobaczy, będzie podejrzewał jakiś spisek i nie wiadomo co mogłoby się wydarzyć.

Janek ukrył się więc za płotem i usiadł nad rowem. A więc ciągle jeszcze ta sama sytuacja. Znowu trzeba przygotować się do przewycięzania trudności.

Wuj zjawił się późno wieczorem i zaprowadził zziębniętego siostrzeńca do domu. Wyczuwało się

napięcie, ale na szczęście nie doszło do wojny. Antoni skończył dwadzieścia jeden lat i miał zamiar założyć rodzinę. Gdy zapewniono go, że nie będzie musiał utrzymywać Janka i łożyć na jego naukę, nie miał już żadnych pretensji.

Michał tymczasem skontaktował się z proboszczami w Castelnuovo i Buttigliera, chcąc ewentualnie umieścić u któregoś z nich swego siostrzeńca. Ale okazało się, że jest to sprawa bardzo skomplikowana. Niespodziewanie jednak udało się szczęśliwie rozwiązać ten problem.

Cztery soldy za jedno kazanie

We wrześniu 1829 roku osiedlił się w Morialdo jako kapelan ks. Jan Melchior Calosso. Miał już siedemdziesiąt lat i z powodu złego stanu zdrowia zrezygnował z kierowania parafią w Bruino. Był to więc kapłan sędziwy, bardzo świątobliwy, o dużym doświadczeniu duszpasterskim.

W listopadzie w Buttigliera odbywały się misje. Uczestniczył w nich również Janek i ks. Calosso. W drodze powrotnej stary kapłan zauważył wśród wieśniaków 14-letniego chłopca.

— Skąd pochodzisz, synu?

— Z Becchi. Byłem na kazaniu misyjnym.

— Ciekaw jestem, co też zrozumiałeś z tych wszystkich łacińskich cytatów. Pokiwał przy tym powątpiewająco głową, uśmiechając się. — Pewnie matka mogłaby ci powiedzieć lepsze kazanie!

— To prawda, moja mama często mówi mi dobre kazania. Ale wydaje mi się, że zrozumiałem również i misjonarzy.

— Dobrze, jeżeli powtórzysz mi choć w skrócie dzisiejsze kazanie, dam ci cztery soldy!

Janek spokojnie zaczął recytować kazanie, jak gdyby czytał je z książki.

Ks. Calosso, nie zdradzając swego ogromnego zaskoczenia, zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Jan Bosko. Ojciec mój umarł, gdy byłem małym dzieckiem.

— Do jakiej szkoły chodziłeś?

— Nauczyłem się czytać i pisać u ks. Lacqua, w Capriglio. Bardzo chciałbym się uczyć dalej, ale mój starszy brat nie chce o tym słyszeć, a proboszczowie w Castelnuovo i Buttigliera nie mają czasu zająć się mną.

— A dlaczego chciałbyś uczyć się dalej?

— Chcę zostać księdzem.

— Powiedz twej mamie, by przyszła do mnie, do Morialdo. Może będę mógł pomóc ci trochę, choć jestem już stary.

Gdy Małgorzata usiadła przy stole naprzeciwko ks. Calosso, usłyszała słowa:

— Wasz syn ma wprost cudowną pamięć. Musi koniecznie, nie tracąc czasu, zabrać się do nauki. Jestem już stary, ale wszystko, co będę mógł zrobić, zrobię dla niego.

Doszli szybko do porozumienia i odtąd Janek miał uczyć się u kapelana, mieszkającego niedaleko

Becchi. Do domu miał wracać jedynie na noc. W okresie nasilenia prac polowych miał natomiast pomagać rodzinie.

Tak więc Janek nagle otrzymał to wszystko, czego brakowało mu dotąd: ojcowską opiekę, poczucie bezpieczeństwa, zaufanie.

« Oddałem się od razu w ręce ks. Calosso — napisał później — otworzyłem się przed nim zupełnie, powierzyłem mu wszystkie zamierzenia i każdą myśl. Poznałem wówczas co to znaczy mieć stałego przewodnika, wiernego przyjaciela duszy, jakiego dotąd byłem pozbawiony. Między innymi zabronił mi on umartwień, nieodpowiednich dla mego wieku, które sobie poprzednio nałożyłem. Zachęcał mnie do częstej spowiedzi i komunii św. i nauczył mnie, jak codziennie robić krótkie rozmyślanie, albo lepiej — jak korzystać z lektury duchowej ».

« Z nim umierała wszelka nadzieja ... »

We wrześniu 1830 roku (być może, by zlikwidować wszelkie niepotrzebne starcia z Antonim), Janek zaczął zostawać również na noc u ks. Calosso. Przychodził jedynie raz w tygodniu do domu, by zmienić bieliznę.

W nauce robił szybkie postępy. Wspomina te dni w pełnych wdzięczności i radości słowach:

« Nikt nie może wyobrazić sobie mojej radości. Kochałem ks. Calosso jak ojca, chętnie usługiwałem mu we wszystkim. Ten mąż Boży obdarzał mnie wielką miłością i często mawiał: « Nie martw się o

przyszłość. Dopóki żyję, niczego ci nie zabraknie. A gdy umrę, też cię zabezpieczę». Byłem w pełni szczęśliwy, gdy nagle nieszczęście przekreśliło wszystkie moje nadzieje».

Pewnego listopadowego ranka w 1830 r., gdy Janek był właśnie w domu rodzinnym po świeżej odzieży, przybiegał ktoś i zawiadomił go, że ks. Calosso poczuł się niedobrze.

« Nie biegłem, lecz leciałem » — wspomina ks. Bosko. Ksiądz Calosso dostał zawału serca. Poznał Janka, ale nie mógł już przemówić do niego. Wskazał mu tylko kluczyk od jakiejś szuflady i dał mu do zrozumienia, by nie oddawał go nikomu. To było wszystko. Chłopiec mógł już tylko z bólem płakać nad zwłokami swego drugiego ojca. — « Z nim umierała cała moja nadzieja » — wspomina.

Pozostał jedynie — jako ostatni przebłysk nadziei — klucz. W szufladzie znajdowało się 6 tysięcy lirów. Ze znaków, jakie usiłował dać ks. Calosso, wynikało, że pieniądze te były przeznaczone dla Janka, na zabezpieczenie jego przyszłości. Potwierdziły to osoby, które asystowały przy śmierci kapłana. Byli jednak i tacy, którzy twierdzili, że gesty umiarkowanego nie mają żadnego znaczenia, że tylko ważny testament decyduje o sprawach finansowych.

Gdy krewni ks. Calosso zjechali się na pogrzeb, postąpili szlachetnie. Zaciągnęli najpierw języka, a potem powiedzieli do Janka:

— Wydaje się, że to tobie wuj chciał zostawić pieniądze. Weź więc to, co chcesz.

Janek chwilę pomyślał, a potem odpowiedział:

— Nie chcę niczego.

W swych « Wspomnieniach » w jednym zdaniu streścił te przeżycia: « Przyjechali spadkobiercy ks. Calosso, im też oddałem klucz i wszystko inne ».

Tą decyzją i tym gestem zakończył wszelkie kalkulacje. Już jako ksiądz wybrał sobie hasło, krótkie zdanie z Bibili: « Da mihi animas, coetera tolle — Daj mi dusze — resztę zabierz ».

I oto Janek znów został sam. Skończył piętnaście lat i znów nie miał nauczyciela, pieniędzy i widoków na przyszłość. « Płakałem niepoczyszony » — zapisał.



A przecież trzeba było żyć dalej.

Aby uniknąć nowych awantur ze strony Antoniego, Małgorzata postanowiła podzielić pozostawione przez Franciszka gospodarstwo. Nadarzyła się ku temu okazja, która zatuszowała całą tę przykrą sprawę przed oczyma obcych. Antoni zamierzał się ożenić. 21 marca 1831 roku miał zaprowadzić do ołtarza Annę Rosso, dziewczynę pochodzącą z Castelnuovo. Podzielono pola, podzielono również dom w Becchi. Antoni został właścicielem wschodniej części, z drewnianymi schodami prowadzącymi na piętro. W pozostałej połowie zamieszkiwali Małgorzata, Józef i Janek.

W grudniu Janek znów wyruszył w drogę. Zaczął uczęszczać do szkoły powszechnej w Castelnuovo. Poza normalnymi klasami gmina zorganizowała pięcioletni kurs języka łacińskiego. Nieliczni uczniowie wszystkich klas łacińskich gromadzili się razem, w jednej salce, ze swym profesorem, ks. Emanuelem Virano.

Obiad w menażce

Pięć kilometrów, które oddzielają Becchi od Castelnuovo, początkowo wydawały się być niczym dla 15-letniego, krzepkiego chłopca. Ponieważ lekcje w szkole odbywały się dwukrotnie w ciągu dnia, trzy i pół godziny rano i trzy godziny po południu, Janek wychodził z domu rano z kawałkiem chleba w ręce, wracał na obiad i znów po południu szedł do szkoły, by wrócić wieczorem. Prawie 20 kilometrów codziennie. Ten wyczerpujący tryb życia po kilku dniach (być może po pierwszej śnieżycy) musiał ulec zmianie.

Wuj Michał znalazł chłopcu coś w rodzaju stacji, u uczciwego człowieka, Jana Roberto, miejscowego krawca, a zarazem muzyka. U niego to Janek zjadał obiad, który codziennie przynosił sobie z domu w menażce.

Pięć kilometrów rano i pięć wieczorem to nie byle co, szczególnie zimą. Janek chętnie maszerował. Gdy na ścieżce nie było błota po deszczu lub gdy nie była ona pokryta śniegiem zdejmował buty — jak wszyscy ówcześni wieśniacy — zarzucał je sobie na plecy i biegł boso. Deszcz i wiatr, słońce i kurz, towarzyszyły chłopcu przez wiele dni. Ale zdarzały się i takie wieczory styczniowe, kiedy z powodu zamieci nie czuł się na siłach, by wyruszyć w drogę do domu. Wówczas prosił krawca, by mu pozwolił przespać się w schowku pod schodami. Nie jadł wtedy kolacji.

Matka Małgorzata wiedziała dobrze, że chodząc tak zimą codziennie do szkoły, syn łatwo może za-

paść na zdrowiu. Udała się więc do pana Roberto. Ten za cenę niezbyt wygórowaną (płatną po części w naturze zbożem i winem) przyjął Janka na stację. W południe i wieczorem zapewniał mu ciepłą zupę, a do spania przeznaczał ów schowek pod schodami. O chleb miała zatroszczyć się matka. Ona też odprowadziła syna do Castelnuovo, niosąc w torbie trochę rzeczy, potrzebnych 15-letniemu chłopcu. Prosiła też krawca, by ten « miał go na oku i gdy zajdzie potrzeba, wytargał go za uszy », a do Janka powiedziała: « Czcij Matkę Bożą, a wyrośniesz na porządnego człowieka ».

W Castelnuovo Janek uczył się z dziećmi, które miały po dziesięć czy jedenaście lat. Jego dotychczasowe przygotowanie szkolne było przecież bardzo skromne. Jeżeli do tego dodamy nieproporcjonalnie dużą kurtkę i ciężkie buty, łatwo można sobie wyobrazić, na jakie docinki był narażony ze strony kolegów. Nazywali go często « pastuchem z Becchi ».

On, który poprzednio był wprost uwielbiany przez chłopców z Morialdo i Moncucco, cierpiał teraz z powodu docinków. Mimo to po uszy pogrążył się w nauce, wspomagany przez nauczyciela. Ks. Virano był człowiekiem zdolnym i miłym. Widząc dobrą wolę chłopca, zajmował się nim specjalnie i w krótkim czasie umożliwił mu zrobienie dużych postępów. Gdy Janek napisał kiedyś zupełnie dobre wypracowanie o biblijnej postaci — Eleazarze, ks. Virano odczytał to wypracowanie w klasie i stwierdził:

— Ktoś, kto potrafi tak dobrze napisać, może sobie pozwolić na noszenie butów pastucha. W życiu bowiem liczy się głowa, a nie buty!

Ksiądz Bosko opowiadał: « Tego roku groziło mi duże niebezpieczeństwo. Koledzy chcieli mnie wciągnąć do gry o pieniądze i to w czasie lekcji. A ponieważ mówiłem, że nie mam pieniędzy, puczali mnie: « Czas już, byś się obudził. Trzeba nauczyć się żyć. Ściągnij forszę twemu gospodarzowi albo matce ». Przypominam sobie, że odpowiedziałem im wtedy: « Matka kocha mnie bardzo. Nie mogę sprawić jej przykrości ».

« W Becchi żyją same ostry »

W kwietniu, gdy Janek już znacznie nadrobił zaległości szkolne, zdarzyło się coś, co pociągnęło za sobą smutne konsekwencje. Ksiądz Virano został mianowany proboszczem w Mondonio i musiał zostawić szkołę w rękach ks. Mikołaja Moglia. Kapłan ten, świątobliwy i miłosierny, miał już 75 lat. Nie potrafił absolutnie zapanować nad swoimi wychowankami. Zdarzało się, że czasem wpadał w szał i siekł różgą na oślep, a przez resztę tygodnia tolerował bałagan. Miał pretensje do najstarszych uczniów i obciążał ich odpowiedzialnością za ciągły nieporządek. Szczególną antypatię czuł do największego ze wszystkich, do « pastucha z Becchi », choć sam Janek bardzo cierpiał z powodu braku dyscypliny w szkole. Ksiądz Moglia nie pomijał żadnej okazji, by mu dokuczyć.

— Co ty chcesz zrozumieć z łaciny? W Becchi żyją jedynie duże osły. Doskonałe osły, być może, ale tylko osły! Idź na grzyby, na ptasie gniazda. Oto odpowiednie zajęcie dla ciebie, a nie studiowanie łaciny!

Koledzy, którzy poprzednio, widząc życzliwą postawę ks. Virano wobec Janka, zaczęli zostawiać go w spokoju, znowu zabrali się do dzieła. Janek był bliski załamania. Ale pewnego dnia postanowił odkuć się. Ksiądz Moglia zadał jakąś klasówkę z łaciny. Janek, który miał zrobić tłumaczenie z pierwszakami, poprosił nauczyciela, by mu pozwolił przełożyć teksty przydzielone klasie trzeciej. Ksiądz obraził się:

— Co ty sobie wyobrażasz? Wracaj szybko do twego zadania i staraj się nie być jak zwykle osłem. Lecz Janek nalegał dalej i wreszcie ks. Moglia zgodził się:

— Zrób co chcesz, ale niech ci się nie wydaje, że ja potem będę czytał te twoje wypociny.

Chłopiec przełknął gorzkie słowa i zabrał się do tłumaczenia. Było trudne, lecz czuł, że podoła. Oddał je jako jeden z pierwszych. Nauczyciel wziął kartkę i odłożył ją na bok.

— Bardzo księdza proszę. Niech ksiądz przeczyta i powie mi, jakie błędy zrobiłem.

— Idź na miejsce i nie nudź mnie.

Janek grzecznie lecz uparcie, domagał się:

— Nie proszę przecież o nic wielkiego, tylko o przeczytanie.

Ks. Moglia przeczytał. Tłumaczenie było dobre, co więcej bardzo dobre. To spowodowało, że ksiądz stracił cierpliwość.

— Powiedziałem, że nic nie potrafisz zrobić. Przecież tę pracę odpisałeś od a do z.

— Ale od kogo mogłem odpisać?

Sąsiedzi Janka ciągle jeszcze, obgryzając pióra, tłumaczyli ostatnie zdanie.

— To już jest bezczelność! — wybuchnął ksiądz. — Idź na swoje miejsce i dziękuj Bogu, że nie wyrzucę cię ze szkoły.

Skleroza i w owych czasach miewała straszliwe skutki, resztę sprawiły uprzedzenia. Tak więc ostatnie miesiące tego roku były dla Janka pełne goryczy. W swych « Wspomnieniach » ks. Bosko nie wymienia wprawdzie nazwiska ks. Moglia, miał bowiem zawsze szacunek dla ludzi starszych. Napomyka jedynie o osobie, « która nie umiejąc utrzymać porządku, zaprzepaściła prawie wszystko to, czego nauczyłem się w poprzednich miesiącach ».

Sutanna, która odgradza

Inne jeszcze zmartwienie gnębiło Janka w czasie tych miesięcy. Poznał dwu wspaniałych kapłanów: ks. Calosso i ks. Virano. Nie mógł przeboleć jednak, że nie wszyscy księża są tacy. « Zdarzało mi się — pisze — że spotykałem na drodze mojego proboszcza, idącego w towarzystwie kapelana. Pozdrowiałem z daleka, podchodziłem bliżej, schylałem się do ich szat, ale oni zachowywali się obojętnie i zadawali ledwie uprzejmym odклонieniem się, nie przerywając przechadzki ». Czarna sutanna, jaką nosili, jakby ich oddzielała od innych. W seminariach w owych czasach panowało przekonanie,

że takie właśnie postępowanie jest najwłaściwsze dla osób duchownych. Powściągliwość i powaga. Ogromny dystans.

« Sprawiało mi to przykrość. Mówiłem do moich przyjaciół: Jeżeli kiedyś zostanę księdzem, będę postępował wprost przeciwnie. Będę zbliżał się do chłopców, będę z nimi rozmawiał serdecznie i dawał im dobre rady ».

Nie mógł wówczas młody uczeń przewidzieć, że tą swoją decyzją spowoduje w nadchodzących latach cichą rewolucję między kapłanami. Dopiero później stwierdzi się w seminariach, że ten chłopiec z Becchi miał rację i zacznie się wychowywać nowe roczniki alumnów już nie w duchu powagi, która każe zachowywać dystans, ale w duchu radosnej dobroci, która ten dystans przekreśla.

W Morialdo czas wolny od nauki Janek spędzał na pogodnych pogwarkach z ks. Calosso. Stary kapłan wspominał swoją przeszłość, chłopiec zaś marzył o przyszłości. Potem zamyślał kościół, sprzątał kuchnię, buszował w małej bibliotece.

Tu, w Castelnuovo, księża nie chcieli z nim rozmawiać. Czym więc wypełniał wolne chwile?

Jankowe hobby

Pierwszym jego hobby była muzyka. Pan Roberto prowadził chór w parafii. W domu posiadał szpinet.¹ Janek chodził wielokrotnie z panem Ro-

¹ Dawny instrument muzyczny przypominający trochę fortepian.

berto na chór do kościoła i z jego pomocą wprowadził się w grze na szpinecie, a potem na organach.

Ale Roberto był przede wszystkim krawcem w miasteczku i drugim hobby Janka stało się przesiadywanie w jego pracowni. Nauczył się w ten sposób przyszywać guziki, obrabiać, szyc chusteczki, przykrawać kamizelki. Umiał to w końcu robić tak dobrze, że krawiec zaproponował mu, by porzucił szkołę i został jego pomocnikiem.

Kiedy zaczęły się docinki ks. Moglia i nieporządki w szkole, Janek utwierdził się w przekonaniu, że traci tam tylko czas. Za wiedzą mamy Małgorzaty zaczął pracować przez kilka godzin dziennie u kowala Evasio Savio. Tam też nauczył się obchodzić z młotkiem i pilnikiem i wykonywać różne zajęcia w kuźni.

Jan Bosko z pewnością nie myślał wtedy jeszcze, że poznanie tych zawodów pozwoli mu kiedyś otworzyć warsztaty dla biednych chłopców z peryferii Turynu. Jedyne jego pragnieniem było móc zbierać trochę pieniędzy. W niedługim czasie przydały mu się bardzo. W porozumieniu z matką postanowił w następnym roku zrobić ryzykowny, ale decydujący krok: pójść do szkół w Chieri.



Po spakowaniu swych rzeczy i pożegnaniu się z panem Roberto, Janek nie powrócił do Becchi. Udał się do Sussambrino, do gospodarstwa, które jego brat Józef wydzierżawił na spółkę z Józefem Febraro. Również Małgorzata wyprowadziła się z Becchi razem z synem.

Wakacje wykorzystał Janek na intensywną naukę. Nie mógł przecież być najgorszy w Chieri. Nie chciał również być ciężarem dla brata. Pomagał mu w robotach polowych, w prymitywnej kuźni naprawiał narzędzia rolnicze, pasał krowy. Ta ostatnia praca umożliwiała mu czytanie i uczenie się.

Róża Febraro, córka Józefa, opowiadała, że Janek często tak bardzo był zajęty książkami, że krowy wędrowały sobie, gdzie popadło. To ona, dziesięcioletnia wówczas dziewczynka, biegła wtedy za nimi wśród pól, między rzędami kukurydzy, i przypędzała je z powrotem na łąkę, zanim inni to zauważyli.

- Twoje krowy znów zajadały zboże.
- Dziękuję ci, Rózo!

Ona przypatrywała mu się długo, a potem pytała:

— Ale dlaczego wyprowadzasz je na pastwisko, jeżeli później na nie nie uważasz?

— Muszę się uczyć, Rózo, i zdarza mi się od czasu do czasu, że zapominam o nich.

— Czy to prawda, że zostaniesz księdzem?

— Tak.

— Jeżeli chcesz, ja trochę popilnuję twoich krów. I tak muszę uważać na moje!

Janek dziękował jej i znów zatapiał się w książkach.

20 lirów na wierzchołku słupa

W czasie lata w miejscowości Montafia odbywały się uroczystości patronalne. Wieś znajdowała się w pobliżu Sussambrino. Janek dowiedział się, że przygotowano tam również «albero della cuccagna» czyli słup szczęścia. Wśród nagród przewidziano między innymi torebkę z 20 lirami.

— Bardzo by mi się przydały — pomyślał. Poszedł więc obejrzeć atrakcje festynu.

Słup był bardzo wysoki, gładki, wysmarowany oliwą i tłuszczem. Otaczający spoglądali na żelazny krążek, na górze, do którego były przymocowane pakunki, wędliny, butelki wina i owa torebka z pieniędzmi. Co chwila, wśród pokrzykiwań tłumu, ktoś spluwał w dłonie i próbował wspinaczki. Na początku wszystko szło dobrze, ale już w połowie

drogi zawodnicy opadali z sił i wśród gwizdów i krzyków ześlizgiwali się na ziemię.

W pewnym momencie, po dokładnym zbadaniu sytuacji, Janek zbliżył się do słupa. On również splunął w dłonie i silnie objął śliskie drzewo. Zaczął wspinać się wolno i spokojnie. Co pewien czas odpoczywał, przycupnąwszy na piętach. Ludzie niecierpliwi się, pokrzykiwali, pewni, że i jemu się nie powiedzie. Ale Jankowi bardzo zależało na pieniądzach. W Moncucco pracował przez cały rok za 15 lirów, a tu w odległości kilku metrów od jego głowy czekało 20 lirów! Był zdecydowany wytrzymać na palu choćby do wieczora, byle by tylko dosięgnąć upragnioną zdobycz.

Posuwając się spokojnie, ciągle w górę, dotarł do miejsca, w którym słup był już bardzo cienki. Odetchnął głęboko i paru chwytami podciągnął się jeszcze wyżej. Ludzie w napięciu, teraz już w absolutnej ciszy przypatrywali się jego wysiłkom. Tymczasem Janek wyciągnął rękę, odczepił z pierścienia torebkę z pieniędzmi, uchwycił ją w zęby, potem zdjął jeszcze wędlinę i chusteczkę i ześlizgnął się na dół.

Prośba, która wiele kosztowała

Dwadzieścia lirów zdobytych na słupie szczęścia z pewnością nie wystarczało, by móc przenieść się do Chieri. Trzeba było przecież kupić ubranie, buty, książki. Trzeba było przede wszystkim co miesiąc płacić za stancję. A dzierżawa w Sussam-

brino nie była kopalnią złota. W październiku Janek powiedział do Małgorzaty:

— Mamo, jeżeli chcecie, wezmę dwa worki i obejdę po prośbie rodziny mieszkające w naszej osadzie.

Było to wielkie umartwienie dla jego miłości własnej. Ksiądz Bosko miał się wprawdzie stać później największym « żebrakiem » XIX wieku, ale zawsze kosztować go to będzie bardzo wiele i nigdy nie przyjdzie mu łatwo wyciąganie ręki po jałmużnę. W pamiętnym październiku po raz pierwszy przewyciężył odrazę, jaką napawała go prośba o wsparcie.

Osada, która stanowiła część Morialdo, składała się z kilku zagród i z pojedynczych domostw. Janek wędrował od domu do domu, pukał do drzwi i mówił:

— Jestem synem Małgorzaty Bosko. Chcę pójść do Chieri, do szkoły, bo pragnę zostać księdzem. Moja matka jest biedna, jeżeli możecie, pomóżcie mi.

Znali go wszyscy. Asystowali przecież przy jego zabawach, przypominali sobie, jak wygłaszał zasłyszane kazania, kochali go. Ale niewielu było ludzi zamożnych w tych stronach. Dawali mu więc jedynie jajka, kukurydzę, kilka miarek zboża.

Pewna wdowa, Łucja Matta, miała zamiar przenieść się właśnie do Chieri, by być blisko uczącego się syna. Małgorzata porozumiała się z nią i uzgodniła, że Janek będzie mieszkał w Chieri razem z Łucją i jej synem. Miesięcznie za stancję miał płacić 21 lirów. Małgorzata nie mogła wprawdzie zdobyć tyle pieniędzy, ale zobowiązała się dostarczać mąkę

i wino, a Janek miał wykonywać prace domowe: przynosić wodę, przygotowywać drzewo na opał, wieszac bieliznę.

Historia posuwa się naprzód

Podczas gdy wśród pagórków Castelnuovo Janek Bosko przeżywał swe trudne dzieciństwo, historia posuwała się naprzód. Nie mamy tu zamiaru podawać wyczerpującego streszczenia dziejów Włoch, ale wydaje się rzeczą konieczną zarysowanie najbardziej zasadniczych faktów, gdyż na tym tle rozgrywały się osobiste dzieje Jana Bosko. Tak jak każdemu człowiekowi, tak i jemu również historia dostarczała wrażeń, formowała poglądy, stwarzała uwarunkowania.

W latach 1815-1820 powstawały w całych Włoszech tajne stowarzyszenia zmierzające do przygotowania powstań i rewolucji. Były one przy tym formą reakcji na sztywną i zacofaną restaurację.

Niepokój zaczął się w Hiszpanii w styczniu 1820 roku. W Kadyksie rewolta wojskowa zmusiła Ferdynanda VII do zaniechania rządów absolutnych i do przyznania konstytucji. Gwarantowała ona każdej osobie podstawowe prawa, między innymi prawo głosu. Król musiał przysięgą zobowiązać się do respektowania konstytucyjnych uchwał.

Ta hiszpańska « iskra » spowodowała w sześć miesięcy później wybuch ognia we Włoszech. Mały oddział kawalerii zbuntował się w Królestwie Obojga Sycylii. Wołano: « Niech żyje wolność i konsty-

tucja! » Po ośmiu dniach Ferdynand, by nie utracić królestwa, przyznał konstytucję z Kadyksu i osiągnął na Ewangelię, że będzie jej przestrzegał.

10 marca 1821 roku (Janek Bosko miał wówczas sześć lat) rewolta wojskowa wybuchła również w Piemontcie. Kierował nią hrabia Santorre di Santarosa. Miasto Aleksandria usunęło błękitną flagę dynastii sabaudzkiej i wywiesiło na twierdzy trójkolorowy sztandar, przypominający rewolucję francuską i prawa przez nią proklamowane. Zbuntowały się również garnizony w Pinerolo i Vercelli. Jeden z pułkowników wyruszył na czele regimentu z Fossano do Turynu. Król Wiktor Emanuel, przestraszony wypadkami wyjechał z Moncalieri do Turynu, zwołał radę koronną i aby nie utracić wszystkiego, zgodził się także na konstytucję. Już był w trakcie ogłoszenia jej, gdy nadeszła wiadomość, że Austriacy zamierzają interweniować i « zaprowadzić porządek » we Włoszech.

Pod wpływem tych wydarzeń Wiktor Emanuel zrzekł się tronu na rzecz swego brata Karola Feliksa; a ponieważ Karol znajdował się wówczas u teścia w Modenie, Wiktor Emanuel ogłosił regentem młodego, 23-letniego Karola Alberta.

« Powiedzcie księciu ... »

Karol Albert wielokrotnie kontaktował się z hrabią Santarosa, cenił jego poglądy, ale nie potrafił opowiedzieć się zdecydowanie po stronie absolutyzmu albo po stronie liberałów. Miał chwiejny

charakter, dlatego nazwano go « Re Tentenna » — « Król Chwiejny ». Jednego pragnął za wszelką cenę: zachować prawo do tronu i obronić go tak przed Austriakami, jak i przed liberałami.

Wobec ogromnego tłumu, który pod oknami pałacu Carignano domagał się obiecanej konstytucji (nie wiadomo wprawdzie, ile osób zdawało sobie sprawę, czym ona jest naprawdę), Karol Albert ustąpił. Wieczorem 13 marca podpisał a dwa dni później zaprzysiął wierność jej prawom. Utworzył nowy rząd, w którym Santarosa został ministrem wojny.

Gdy Karol Feliks otrzymał w Modenie list od Karola Alberta, w którym ten donosił mu o wydarzeniach, wpadł w gniew. Do osoby, która przyniosła mu list, krzyknął: « Powiedzcie księciu, że jeżeli w jego żyłach płynie choć kropla naszej krwi królewskiej, niech natychmiast uda się do Novary i tam niech oczekuje na moje rozkazy ».

Początkowo wydawało się, że Karol Albert pragnie stawić opór, ale z Neapolu nadeszły tragiczne wieści: wojsko austriackie pobiło oddziały liberałów. Parlament został rozwiązany, ustrój konstytucyjny przestał istnieć. Młody książę udał się wówczas do Novary. Tam ogłosił odezwę, w której zrzekał się tytułu regenta oraz wzywał wszystkich do posłuszeństwa królowi. Potem wyjechał do Florencji, na wygnanie.

Powrót Karola Feliksa do Piemontu poprzedziły działania wojsk austriackich, które rozgromiły ochotników Santarosy i « przywróciły porządek ». Siedemdziesięciu dowódców rewolucji zostało ska-

zanych na śmierć (sześćdziesięciu ośmiu jednak zbiegło wcześniej do Szwajcarii i Francji), a trzystu oficerów i tyleż urzędników zostało pozbawionych dotychczasowych funkcji.

Rozruchy z roku 1821 — jak określają te wydarzenia historycy — objęły jedynie mieszczaństwo, czyli stan średni. Masy chłopskie i robotnicze pozostały obojętne wobec tych wydarzeń, a nawet wręcz wrogo do nich się ustosunkowały. Stan średni, reprezentowany przez kupców, handlarzy, drobnych przedsiębiorców, przemysłowców, urzędników cywilnych i wojskowych, uczestnicząc w tej « liberalnej rewolucji », zabiegał o zdobycie władzy i zajęcie miejsca dawnej arystokracji. Reformy, jakich domagali się przedstawiciele tego stanu, nie były ani popularne, ani demokratyczne. Prawo głosu mieli posiadać jedynie ci, którzy legitymowali się odpowiednim majątkiem. Oni tylko mogli wysyłać swego przedstawiciela do parlamentu, by tam bronił ich interesów. Tak, jak poprzednio już rewolucja francuska, tak i rewolucja liberałów zmierzała do przekreślenia wszystkich przywilejów, z wyjątkiem jednego: przywileju bogactwa.

« Król z łaski Boga i nikogo innego »

Karol Feliks powrócił do Turynu dopiero w październiku 1821 roku. Postać ta, widziana z perspektywy naszych czasów, jest ciekawa i bardzo specyficzna. Nigdy nie chciał być królem. Kochał życie skromne i ukryte. Był bardzo religijny. Przyjął

tron jedynie z « obowiązku sumienia ». Ale z chwilą, gdy go objął, konsekwentnie służył ideom twardego absolutyzmu. Uważał się za króla z « łaski Boga i nikogo innego ». Pragnął kierować swymi poddany-
mi, jak surowy ojciec kieruje rodziną lekkomyśl-
nych synów. Każdy wyrok śmierci miał być według
niego « zbawiennym ostrzeżeniem » dla wszystkich
gorących głów i dlatego zgodził się na stosowanie
rozzarzonych obcęgów i torturowanie skazanych.
Nie bez powodu nazwano go Karolem Okrutnym.

Dassimo D'Azeglio streścił dziesięć lat jego pa-
nowania w tych słowach: « despotyzm, pełen spra-
wiedliwych i szlachetnych intencji ». Karol Feliks
umarł w kwietniu 1831 roku, zostawiając tron Ka-
rolowi Albertowi.

« Długi i smutny jak wielki post »

Karol Albert zasiadał na tronie w Turynie trzy-
dzieści trzy lata. Zyskał sobie dobre imię zarówno
u zwolenników absolutyzmu, jak i u reakcjonistów,
walcząc w Hiszpanii przeciwko liberałom, którzy z
kolei w swych pismach nazywali go zdrajcą i krzy-
woprzysiężcą.

Był to mężczyzna bladej i bardzo wysoki (miał
dwa metry i cztery centymetry wzrostu), a lud Pie-
montu mawiał o nim, że jest « długi i smutny jak
wielki post ». Aby wykazać wszystkim, że nie jest
już tym księciem, który podpisał konstytucję, w
1833 roku kazał zgładzić siedmiu zwolenników Maz-

ziniego¹ w Aleksandrii i dziesięciu w Genui, a siedemdziesięciu skazał na ciężkie więzienie. Ale Piemont i Włochy, pomimo zakusów zmierzających do zatrzymania biegu historii zmieniły się. Mieszczanstwo rzeczywiście zyskało wielkie wpływy i choć nie rozumiało jeszcze, co to jest wolność demokratyczna, potrzebowało wolności handlu, aby na całym półwyspie mógł wzrastać dobrobyt.

W Piemoncie budowano wówczas kanały, osuszano bagna, karczowano lasy, rozszerzano i ulepszano uprawę morw, konopi i winnej lotorośli. Zaczęto też uprawiać ziemniaki, które wreszcie położyły kres miesiącom straszliwego głodu w latach suszy. Poszerzono też znacznie sieć dróg i zapoczątkowano budowę kolei żelaznej. Myślenie polityczne ulegało zmianom.

W ostatnich miesiącach 1831 roku w Marsylii Mazzini założył tajną organizację « Młode Włochy ». Coraz bardziej szerzyła się idea Włoch jako państwa narodowego, bogatego w tradycje kulturalne i ludowe. W Turynie w 1832 roku Silvio Pellico opublikował « Le mie prigioni » (Moje więzienia), książkę, która wstrząsnęła Włochami. Austria, która dotąd wydawała się być strażniczką porządku, zaczęła tracić swoje znaczenie. Na stronach swej książki pisarz z Saluzzo, który dziesięć lat spędził w ciężkim więzieniu cesarskim, ukazał okrutne oblicze dyktatury rządu austriackiego, torturującego i gnębiącego poddanych.

¹ Mazzini Józef (1805-72), włoski działacz wolnościowy i publicysta, założyciel tajnych związków Młodych Włoch i Młodej Europy, organizator powstań demokratycznych. Dążył do zjednoczenia Włoch.



4 listopada 1831 roku był pogodnym dniem «lata św. Marcina». Jan Bosko, razem ze swym rówieśnikiem Janem Filippello, pieszo udaje się aż do Chieri. W drodze Janek zwierza się przyjacielowi: mówi mu o swych przyszłych studiach, opowiada o wydarzeniach z przeszłości, o próbach dotąd podejmowanych. W pewnym momencie Filippello, prosty chłopak, zauważa:

— Dopiero teraz zaczniesz uczyć się w Kolegium, a umiesz już tyle rzeczy! Szybko zostaniesz proboszczem.

Janek poważnieje.

— Czy ty wiesz, co to znaczy być proboszczem? Proboszcz ma bardzo ważne obowiązki. Gdy wstaje od stołu w południe czy wieczorem, musi zastanowić się: ja zjadłem, ale czy moi parafianie nie cierpią głodu? To co posiada, musi dzielić z biednymi. Kochany Filippello, ja nigdy nie zgodzę się zostać proboszczem. Chcę całe moje życie poświęcić młodzieży.

Podczas gdy ci dwaj chłopcy tak wędrowali, rozmawiając o głodzie i o biednych w Lyonie, odleg-

łym jedynie o 250 km w linii powietrznej, zaczynała się rewolta robotników w fabryce jedwabiu. Tysiącami wychodzili na ulice, by protestować przeciwko niskim zarobkom i nieludzko długiemu czasowi pracy, dochodzącemu do 18 godzin na dobę. Strajk zakończył się po wielu dniach walk ulicznych, stłumiony przez oddziały wojska, wysłane przez rząd francuski. Zginęło ponad tysiąc osób!

W następnym roku strajk wybuchnął w Paryżu, powodując śmierć ośmiuset osób. Wiosną 1834 r. robotnicy lyońscy i paryscy znów wspólnie wystąpili. Przeciwko nim wytoczono działa.

Janek Bosko nic o tym nie wie. Gazety, podane surowej cenzurze w Królestwie Piemontu, nie przekazują takich wiadomości. Rewolucja, o której od czasu do czasu mówi się przyciszonym głosem, powinna przynieść Włochom konstytucję i wyzwolenie spod jarzma Austrii. Wkrótce ta właśnie rewolucja nazwana zostanie « Risorgimento ». Nie ma natomiast najmniejszego podejrzenia o inną rewolucję, bardziej głęboką, bardziej radykalną, która przekształca Północną Europę i czeka na wejście do Włoch. Jest to rewolucja przemysłowa, z którą wiąże się kwestia robotnicza. Jej prawie dramatyczne skutki można będzie obejrzeć za dziesięć lat, kiedy dotrze do Turynu.

Wśród młodszych kolegów

« Moja stancja — pisze ks. Bosko — znajdowała się w domu Łucji Matta, wdowy, mającej syna

jedynaka. Przeniosła się ona tutaj, by towarzyszyć mu i by mieć nad nim pieczę ».

Małgorzata, która przybyła do Chieri wkrótce po Janku, udała się razem z nim do pani Łucji. Jakiś znajomy dowiózł wozem dwa worki zboża.

— To mój syn — powiedziała — a tu oto zapłata. Ja zrobiłam co do mnie należy, Janek wywiąże się ze swoich zobowiązań i mam nadzieję, że będzie pani z niego zadowolona.

« Pierwszą osobą, którą poznałem, był świętej pamięci ks. Placyd Valimberti. Udzielił mi dobrych rad, zaprowadził do prefekta szkół i przedstawił mnie profesorom. Ponieważ dotychczasowa moja nauka była bardzo powierzchowna, poradzono mi, bym poszedł do szóstej klasy (mniej więcej odpowiada obecnej włoskiej pierwszej średniej).

Nauczyciel, ojciec Walerian Pugnetti, okazał mi dużo serca. Dbał o mnie w szkole, zapraszał do domu. Współczuł mi z powodu mego wieku, a widząc dobrą wolę, nie szczędził mi pomocy. Mój wiek (szesnaście lat skończone) i moja budowa ciała sprawiały, że wyglądałem jak olbrzym wśród moich małych kolegów. Pragnąc wybrnąć z tej sytuacji, po dwóch miesiącach klasy szóstej poprosiłem o dopuszczenie do egzaminu i zostałem promowany do klasy piątej.¹

Chętnie przeniosłem się do tej nowej klasy, gdyż wychowawcą tam był drogi mi ks. Valimberti. Po dwóch dalszych miesiącach, osiągając najlepsze

¹ Kolejność była wtedy odwrotna: z piątej przechodziło się do czwartej, potem do trzeciej itd.

wyniki spośród wszystkich, zostałem w drodze wyjątku dopuszczony do egzaminu i promovany do klasy czwartej. Profesorem był tam Wincenty Cima, człowiek dbający o surową dyscyplinę. Gdy zjawił się u niego w połowie roku szkolnego uczeń tak wysoki i tęgi, jak on sam, przy całej klasie powiedział żartując:

— Ten uczeń jest albo wielkim ciemniakiem, albo wielkim geniuszem.

Oszołomiony takim niecodziennym przyjęciem, odpowiedziałem:

— Czymś w pośrodku. Jestem biednym chłopakiem, który ma dobrą wolę, by wypełnić swoje obowiązki i by posuwać się naprzód w nauce.

Słowa te spodobały się nauczycielowi, więc z niezwykłą dla siebie uprzejmością dodał:

— Jeżeli masz dobrą wolę, wiedz, że jesteś w dobrych rękach. Nie pozostawię cię bezczynnym. Bądź dobrej wyśli. Jeżeli napotkasz na trudności, powiedz mi od razu, a pomogę ci.

Podziękowałem mu z całego serca ».

Wspaniała pamięć

Chieri jest miasteczkiem oddalonym o dziesięć kilometrów od Turynu. Leży u stóp pagórków turyńskich. Po drugiej ich stronie znajduje się stolica Piemontu. Gdy Janek tam przybył, Chieri liczyło 9 tysięcy mieszkańców. Było to miasteczko klasztorów, tkaczy i uczniów. Ci ostatni napływali tu ze wszystkich stron Monferratu i okolic Asti, by spē-

dzić tu lata nauki. Była ona wprawdzie prawie bezpłatna, ale nie było żadnych stypendiów. Aby zapłacić za stancję, wielu uczniów musiało mocno się natrudzić. Poszukiwali więc rozmaitych płatnych zajęć po lekcjach: pracy na pół etatu u sekretarzy, sprzątania w zamożnych domach, korepetycji, utrzymywania w porządku koni i karet. Z oszczędności często zimą uczniowie nie palili w piecach, uczyli się poowijani w ciepłe koce, nosili drewniane chodaki.

Wśród tych ubogich uczniów żył Janek Bosko, dzieląc ich trudny los. Od czasu do czasu z Sussambrino przyjeżdżała Małgorzata i wypytywała Łucję o nowości. Zaczyna wdowa dzieliła się z nią dobrymi wieściami. Janek usługiwał w domu, był pobożny i pilny. Pomagał również w nauce jej synowi, choć sam był młodszy od niego.

Także Janek szukał okazji, by zdobyć pieniądze na opłaty. Udało mu się zarobić trochę grosza w warsztacie znajomego cieśli. Nauczył się tam posługiwać heblem, dłutem i pilnikiem.

« Byłem już prawie dwa miesiące w czwartej klasie, gdy zaczęto o mnie mówić w związku z małym incydentem. Profesor łaciny tłumaczył życiorys Agesilause, napisany przez Korneliusza Neposa. Tego dnia zapomniałem wziąć książkę i by ukryć to przed nauczycielem, miałem przed sobą otwartą gramatykę. Koledzy to zauważyli — jeden z nich szturchnął sąsiada w łokieć, ktoś inny zaczął się śmiać.

— Co się dzieje? — zapytał profesor Cima. Widząc, że wszyscy patrzą w moją stronę, polecił,

bym powtórzył tłumaczenie, po uprzednim przeczytaniu urywka łacińskiego. Wstałem i trzymając gramatykę w ręce powtórzyłem na pamięć tekst łaciński oraz przetłumaczyłem go. Koledzy zaczęli bić brawo.

Pan Cima bardzo się rozgniewał. Po raz pierwszy krzyczał i nie potrafił utrzymać porządku. Zamierzył się nawet na mnie, ale udało mi się uniknąć uderzenia. Potem, trzymając dłoń na mojej książce, polecił sąsiadom wytłumaczyć przyczynę tego zamieszania.

— Bosko nie ma wcale Korneliusza Neposa. Ma gramatykę, a jednak przeczytał i przetłumaczył, jak gdyby miał w ręku tekst.

Profesor wówczas spojrział na książkę, na którą położył rękę, i zażądał, bym dalej kontynuował czytanie. Potem powiedział:

— Przebaczam ci dla twej wspaniałej pamięci. Masz szczęście! Staraj się zrobić z niej dobry użytek ».

Swą zadziwiającą pamięć Janek zademonstrował już księdzu Calosso. Ale tu, w Chieri, zaczęły się dziać naprawdę dziwne rzeczy. Pewnej nocy śniło mu się, że musi odrobić jakieś zadanie łacińskie w klasie. Gdy się obudził, napisał tekst, który zapamiętał doskonale, i przetłumaczył go przy pomocy swego przyjaciela księdza. W szkole nauczyciel podyktował rzeczywiście ten fragment i Janek mógł oddać tłumaczenie, które wykonał, w bardzo krótkim czasie. Coś podobnego zdarzyło się jeszcze raz, ale nie obyło się wówczas bez pewnej komplikacji. Janek oddał pracę szybko, za szybko. Pro-

fesor przeczytał, spojrzął na brudnopis i ostupiał: na tej pogniecionej kartce była przetłumaczona również część rozdziału, którą chciał początkowo dać uczniom, ale w ostatniej chwili się rozmyślił, gdyż wydawała mu się za długa.

— Skąd wzięłeś ten urywek?

— Wyśniłem go.

Sen. Wydarzenie zazwyczaj bez znaczenia w życiu ludzi. Ale w życiu Jana Bosko « sen » odegrał wielką rolę. Im więcej lat mijało, tym większego znaczenia nabierało to słowo. Była to jedna z tych spraw, które zdumiewały i zdumiewają jeszcze teraz. Ci, którzy na Valdocco słyszeli, jak ks. Bosko mówił: « miałem sen » — od razu słuchali uważnie. We śnie ten dziwny ksiądz widywał grzechy swoich chłopców, przewidywał śmierć królów i wspaniałą karierę brzdąca, grającego w kręgle.

Bractwo radości

« W pierwszych czterech klasach — pisze ks. Bosko — musiałem nauczyć się na własny rachunek, jak postępować z kolegami ».

Mimo, że szkoła wymagała surowego życia chrześcijańskiego (każdy musiał oddawać kartkę potwierdzającą odbycie spowiedzi miesięcznej), nie brakowało złych chłopców. « Jeden z nich był tak bezczelny, że nakłaniał mnie, bym ukradł jakiś wartościowy przedmiot mojej gospodyni ».

Janek początkowo zdecydowanie odsunął się od tych zdeprawowanych kolegów, aby nie wpaść

jak mysz w pazury kota. Ale wkrótce jego sukcesy szkolne umożliwiły mu nawiązanie z nimi innego rodzaju stosunków, bazujących na jego prestiżu. Dlaczego nie wykorzystać tej sytuacji — pomyślał — i nie zrobić dla nich czegoś dobrego?

« Koledzy, którzy namawiali mnie do złego, byli zaniedbani w nauce — wspomina — i dlatego zaczęli przychodzić do mnie prosząc o pomoc w odrabianiu zadań ».

Janek chętnie im pomagał. Przesadzał nawet w tym, podając pod ławkami gotowe tłumaczenia (na egzaminie został złapany w czasie takiej « akcji » i udało mu się wyjść obronną ręką jedynie dzięki przyjaźni jednego z profesorów, który pozwolił mu powtórzyć ćwiczenie).

« Dzięki temu zaskarbiłem sobie przychyłość i przyjaźń. Chłopcy zaczęli szukać mnie w czasie przerw, ze względu na zadania, potem zaczęli przysłuchiwać się moim opowiadaniom, a potem już przychodzili bez żadnego powodu ».

Było im dobrze razem. Utworzyli rodzaj stowarzyszenia, a Janek nazwał je « Bractwem radości ». Obmyślił dla niego bardzo prosty regulamin:

1. Żadnych czynów, żadnych rozmów, które by wywołały rumieniec wstydu u chrześcijanina.
2. Wypełniać obowiązki szkolne i religijne.
3. Być radosnym.

Radość zawsze stanowić będzie główną zasadę ks. Bosko. Dominik Savio, jego ukochany uczeń, powiedział: « Dla nas świętość zasadza się na radości. Staramy się unikać grzechu, który wykrada nam radość z serca ». Dla ks. Bosko radość jest

przejawem głębokiego pokoju, który rodzi się ze świadomości, że znajdujemy się w rękach Boga, a więc w dobrych rękach. Jest to skromne słowo, którym wyraża się wielka wartość: nadzieja chrześcijańska.

« W 1832 r. stałem się wśród moich kolegów jakby kapitanem małego oddziału ». Razem bawili się w płytki, kule, skakali, biegali. Były to zawody bardzo zacięte i bardzo wesołe. Gdy byli zmęczeni, Janek ustawiał na zielonej trawie stołek i popisował się sztuczkami kuglarskimi.

« Wyciągałem sto kolorowych kulek, z pustego słoika wydobywałem dziesiątki jajek. Ustawiałem kulki na nosach widzów, zgadywałem, ile pieniędzy znajduje się w cudzej kieszeni. Zwykłym dotknięciem palców zamieniałem w proszek monety z jakiegokolwiek metalu ».

Podobnie jak dawniej w Becchi, każda zabawa kończyła się modlitwą. « W każde święto chodziliśmy do kościoła św. Antoniego, gdzie jezuici wsporniale prowadzili katechizm, podając wiele przykładów, które jeszcze teraz pamiętam ».

Cztery zakłady linoskoczka

Pewnej jednak niedzieli w kościele św. Antoniego było niewielu słuchaczy. Przyjechał bowiem linoskoczek, który urządzał pokazy akrobacji i wzywał co zwinniejszych chłopaków do zawodów w biegach i skokach. Ludzie schodzili się tłumnie.

Janek niezadowolony, że koledzy zostawili go samego, poszedł w końcu także popatrzeć na li-

noskoczka, prawdziwego atletę, który biegał i skakał z niebywałą energią. Miał zamiar zatrzymać się w miasteczku przez dłuższy czas.

Janek zebrał najlepszych spośród swoich kolegów:

— Jeżeli ten człowiek będzie w dalszym ciągu urządzał te przedstawienia w niedzielne popołudnia, nasze Bractwo gotowe się rozpaść. Ktoś powinien się z nim założyć i pokonać go. Musiałby wówczas wejść z nami w układy.

— No, ale kto go pokona?

— Ktoś może się znajdzie. W końcu nie jest on alfą i omegą. Jeżeli chodzi o biegi, nie czuję się gorszy od niego.

Janek miał siedemnaście lat i czuł się doskonale. Ale w swych « Wspomnieniach » dodaje od razu: « Nie przewidziałem następstwa moich słów. Jakiś nierozważny kolega doniósł wszystko linoskoczkowi i oto zostałem wplątany w zakład — student zmierzy się z zawodowym atletą! »

Miejscem wybranym na próbę była aleja przy Bramie Turyńskiej. Chodziło o przebiegnięcie całego miasta. Zakład opiewał na 20 lirów, miesięczną opłatę za stancję. Janek nie miał tylu pieniędzy, ale przyjaciele z Bractwa uzbierali między sobą potrzebną sumę. « Przyglądał się tłum ludzi » — jak wspomina ks. Bosko.

Na dany znak ruszyli. Linoskoczek wyprzedził szybko Janka o jakieś dziesięć metrów. Był dobrym sprinterem, podczas gdy Janek lepiej czuł się na średnich dystansach. « Szybko go dobiegłem i po-

zostawiłem tak daleko w tyle, że w połowie drogi zatrzymał się i uznał moje zwycięstwo ».

Wszystko powinno na tym się zakończyć, ale linskoczek zażądał rewanżu. « Zobaczmy, kto zwycięży w skokach — powiedział. — Ale zakładam się o 40 lirów. Zgodziliśmy się ».

Wybrał miejsce: trzeba było przeskoczyć przez mały strumień wody, który miał brzeg wzmocniony obmurowaniem. Linskoczek odbija się i ląduje bliutko murku. « Lepiej już nie można było skoczyć — wspomina ks. Bosko. — Mogłem tylko przegrać, a nie zwyciężyć. Jednak wymyśliłem pewien fortel. Zrobiłem ten sam skok, ale po oparciu się rękami o murek skoczyłem jeszcze dalej ». Był to po prostu jakby skok o tycze. I tym razem Janek zwyciężył!

Linskoczek był zagniewany i z powodu przegranych pieniędzy, i z powodu złośliwych docinków gawiedzi. « Chcę się z tobą jeszcze raz założyć. Wybierz jakiegokolwiek ćwiczenie zręcznościowe ». Zgodziłem się. Wybrałem magiczną laskę, a zakład wzrósł do 80 lirów. Wziąłem laskę, na jednym jej końcu umieściłem kapelusz, potem drugi koniec ustawiłem sobie na dłoni. Podrzuciłem laskę i osadziłem ją na czubku małego palca, potem przerzuciłem ją na koniec palca serdecznego, średniego, wskazującego i kciuka. Potem umieściłem ją na grzbiecie ręki, na łokciu, na ramieniu, na brodzie, ustach, nosie, na czole. Wracając tą samą drogą, laska znalazła się w końcu na dłoni.

— Tym razem nie przegram — powiedział linskoczek z przekonaniem. Wziął tę samą laskę i ze wspaniałą zręcznością poprowadził ją aż do ust. Ale

miał zbyt długi nos i laska zahaczyła o niego. Musiał chwycić ją w rękę, by nie spadła ».

W tym momencie ogarnęło Janka współczucie dla tego człowieka, który w końcu był dobrym fachowcem. « Ten nieborak zdawał sobie sprawę, że jego fundusze się kończą i z wściekłością zawołał: Mam jeszcze sto franków i zakładam się o nie we wspinaczce. Kto postawi nogi najbliżej wierzchołka tego drzewa — wskazał na wiąz, stojący w pobliżu alei — ten zwycięży. Zgodziliśmy się i w pewnym sensie byliśmy zadowoleni z jego zwycięstwa, gdyż nie chcieliśmy go zrujnować.

On miał wejść pierwszy. Wszedł i postawił stopy tak wysoko, że gdyby wszedł o piędź wyżej, gałęź załamałaby się, a on runąłby na ziemię. Wszyscy twierdzili, że wyżej już nie można się wspinać. Przyszła kolej na mnie. Wszedłem prawie do tego samego miejsca, do którego dotarł i on. I wówczas, trzymając się rękami drzewa, uniosłem ciało pionowo do góry i stopy znalazły się około jednego metra powyżej wysokości, jaką poprzednio osiągnął linoskoczek.

Na dole wybuchły oklaski. Moi przyjaciele ścisnęli się, skakali z radości. Tamten biedak natomiast był załamany, wręcz płakał. Oddaliśmy mu wówczas pieniądze, pod jednym wszakże warunkiem, a mianowicie, że zafunduje nam obiad w hotelu « Pod murkiem ».

Ks. Bosko zapisał nawet we « Wspomnieniach », ile kosztował ten wspólny obiad (25 lirów) i ile zostało linoskoczkowi w kieszeni (215 lirów). Zapisał

również słowa tego atlety, gdy zgodził się nie przeszkadzać więcej chłopcom:

« Dzięki temu, że zwróciliście mi te pieniądze, uchroniliście mnie od ruiny. Dziękuję wam. Będę was wspominał serdecznie, ale już nigdy więcej nie będę się zakładał ze studentami ».

Pierwszy pobyt w Turynie

Bractwo radości wyszło z tych pojedynków wzmocnione i sławne. W czasie wakacji jego członkowie udawali się na wzgórze Supergi. Zbierali grzyby, śpiewali piosenki, a czasami organizowali krótkie wypady do Turynu, żeby zobaczyć « konia z marmuru » na schodach pałacu królewskiego. Prawie trzydzieści kilometrów pieszo. Tyle wynosiła droga tam i z powrotem. Wracali z ogromnym apetytem i opowiadali swym ospałym kolegom o cudach stolicy.

Właśnie podczas jednej z takich wycieczek, Janek Bosko zobaczył po raz pierwszy Turyn. Miasto rozrastało się. Liczba ludności wzrosła niepomniernie — prawie o jedną trzecią w ciągu dziesięciu lat. Wzrosła też zawrotnie cena domów i dzierżawy. Dawał się odczuwać dotkliwie brak szpitali, przytułków dla starców, ochronek i szkół dla dzieci.

Wiosną tego roku, kiedy Janek Bosko i jego przyjaciele wędrwali po wzgórzach turyńskich, na peryferiach miasta osiadł kanonik Cottolengo z 35 chorymi, których nie chciano przyjąć w żadnym szpitalu. Było to 27 kwietnia 1832 r. W okolicy

Valdocco ks. Cottolengo wydzierżawił dom, będący kiedyś zajazdem, i przeprowadził się tam z osłem, wozem i dwiema siostrami. Wywiesił napis na drzwiach: « Piccola Casa della Divina Provvidenza » — Mały Dom Bożej Opatrzności. Dom ten miał się stać wkrótce cudem Turynu. Będzie gościł 10 tysięcy nieuleczalnie chorych, opuszczonych przez wszystkich.

W czerwcu Janek Bosko po raz pierwszy usłyszał nazwisko Wincentego Gioberti. Był to młody kapłan turyński, profesor filozofii na uniwersytecie. Został aresztowany, ponieważ należał do tajnego koła antymonarchistycznego. Skazano go na wygnanie i odprowadzono pod strażą do granic Francji. Po dziesięciu latach ogłosił w Brukseli słynną książkę « Prymat Włochów » (Il primato degli Italiani). Osiemnaście lat później został premierem Karola Alberta.

W pałacu królewskim, na którego schodach członkowie « Bractwa radości » głaszczą marmurowego konia, król przygotowuje (powoli, wśród obaw i skrupułów) konieczne reformy. Pierwszą z nich podpisuje w 1832 r. Zostają zniesione tortury, nie-ludzki relikwiarz wieku barbarzyństwa.



Jesienią 1832 r. Jan Bosko zaczął uczęszczać do klasy trzeciej tzw. gramatyki. Potem w dwu następnych latach regularnie uczęszczał do klas, które kolejno nazywały się klasami humanistyki (1833-34) i retoryki (1834-35).

W dalszym ciągu był bardzo dobrym uczniem, rozmiłowanym w książkach, wyróżniającym się wspaniałą pamięcią.

« W tym czasie — wspomina z nutką żalu — nie odczuwałem różnicy pomiędzy czytaniem a uczeniem się. Z łatwością mogłem powtórzyć materiał przeczytanej książki. Przyzwyczajony przez matkę do krótkiego snu, mogłem dwie trzecie nocy poświęcić na lekturę, przy płomyczku mojej małej lampki. Pewien księgarz — Żyd imieniem Elias, wypożyczał mi klasyków włoskich. Płaciłem jednego solda za tomik. Czytałem codziennie prawie jeden tom ».

Janek miał osiemnaście lat. Jest to wiek głębokich przyjaźni. Pozostając w dalszym ciągu « przy-

wódcą małego oddziału », utworzył wokół siebie krąg najbliższych sobie przyjaciół.

Dwa policzki

Pierwszego z nich poznał w czasie szkolnej bijatyki. Już wówczas nie wszyscy profesorowie byli punktualni i początkowe minuty wielu lekcji często mijały wśród krzyków i zamętu. Grano na całego w « konika ». « Ci, co najmniej kochali naukę — zauważa z ironią ks. Bosko — byli w tym największymi mistrzami ». Jeden z chłopców, nowy uczeń, wyglądający na piętnastolatka, wśród panującego zamieszania zajął spokojnie miejsce w ławce i otworzył książki. Wtem podszedł do niego jakiś łobuz i chwycił go za rękę:

— Chodź i ty pobawić się.

— Nie umiem.

— Nauczysz się. Nie każ się prosić!

— Możesz mnie nawet uderzyć, ale ja nie pójdę.

Łobuz wymierzył mu dwa policzki, które echem odbiły się w całej klasie. Na ten widok poczułem, że krew gotuje mi się w żyłach. Czekałem, czy chłopak odpowiednio mu odpłaci, tym bardziej, że był silniejszy. Tymczasem on nie zareagował. Twarz miał czerwoną, prawie że siną. Powiedział tylko:

— Jesteś zadowolony? A teraz zostaw mnie w spokoju. Ja ci przebaczam ».

W Janka jakby piorun strzelił. To był czyn bohaterski. Postanowił więc poznać nazwisko tego

chłopca. Brzmiało ono: Alojzy Comollo. « Od tego czasu stał się on moim najlepszym przyjacielem i mogę powiedzieć, że od niego zacząłem uczyć się żyć jak chrześcijanin ».

Odkrył też u niego pod pozorną słabością wielkie bogactwo duchowe. Instynktownie stał się jego opiekunem, broniąc go przed gwałtownymi i prostackimi w zachowaniu sztubakami.

Siła dobrze użyta

Jeden z nauczycieli jak zwykle spóźniał się i w klasie panował nieopisany zamęt. « Niektórzy chcieli zbić Comollo i drugiego jeszcze dobrego chłopca, Antoniego Candelo — pisze ks. Bosko. — Wołałem, by zostawili ich w spokoju. Nie posłuchali i zaczęły fruwać wyzwiska. Ja na to:

— Kto powie choć jedno obelżywe słowo, będzie miał do czynienia ze mną.

Najwięksi i najbardziej bezczelni stanęli murem przede mną, a w międzyczasie ktoś spoliczkował Alojzego. Pociemniało mi w oczach i nie mając pod ręką kija czy krzesła, chwyciłem jednego z tych chłopaków za ramiona i potrząsnąłem nim jak maczugą. Zacząłem nim uderzać innych. Czterech napastników upadło na ziemię, inni zaczęli uciekać z wrzaskiem.

W tym momencie wszedł profesor i widząc ręce i nogi w powietrzu, pośród wrzasków nie z tego świata, zaczął krzyczeć i wymierzać razy na prawo i na lewo. Gdy burza trochę ucichła, kazał sobie

opowiedzieć, co było przyczyną bójki i nie dowierając zażądał, bym powtórzył całą scenę. Wówczas wybuchnął śmiechem, roześmiali się również inni i nauczyciel po prostu zapomniał nas ukarać.

— Mój drogi — powiedział mi Comollo, gdy trochę ochłonał. — Twoja siła mnie przeraża. Bóg nie na to ci ją dał, byś masakrował swych kolegów. On pragnie, byśmy przebacжали i dobrze czynili tym, którzy nas krzywdzą ».

Janek słuchał uważnie. Wkrótce potem poszli razem do spowiedzi. Jednak nie prędko nauczył się Janek realizować ewangeliczną naukę: « jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi ». Narzucił sobie siłą woli ten nakaz, ale nigdy nie wykonywał go instynktownie. Wielokrotnie musiał powtarzać sobie słowa ze snu: « Nie biciem, ale miłością będziesz zjednywał sobie twych przyjaciół ».

Wieczory w salonie bilardowym

Pod koniec roku 1832/33 syn Łucji Matta ukończył naukę. Janek musiał więc szukać nowej stancji.

Jeden ze znajomych rodziny, Jan Pianta, otworzył kawiarnię w Chieri i zaproponował mu miejsce pomocnika barmana. Rano przed pójściem na lekcje — sprzątanie lokalu, wieczorami — obsługa baru, a potem salonu bilardowego. W zamian właściciel zapewniał dwa razy dziennie ciepłą zupę i kącik do spania.

Janek zgodził się, gdyż nie znajdował nic lepszego. Zaczęły się dni twardej pracy, czuwania do późna w nocy przy bilardzie, zapisywania wyników na tablicy.

W 1888 roku (a więc ponad 50 lat później) Pianta przypominał sobie jeszcze: « Nie można było znaleźć chłopca lepszego od Jana Bosko. Codziennie rano służył do mszy św. w kościele św. Antoniego. W domu miałem chorą matkę staruszkę. Okazywał jej podziwu godne miłosierdzie ».

O wiele mniej godne podziwu było traktowanie młodego, 18-letniego pracownika przez tego skąpego właściciela. Kazał on chłopcu przygotowywać kawę, czekoladę, ciastka i lody, ale dawał mu tylko zupę. To matka Małgorzata przynosiła mu z Becchi chleb i resztę. Pomieszczenie, które przydzielił Jankowi, było « wąską wnęką nad małym piecem, w którym pieczono ciastka, wchodziło się do niej po drabinię ». Gdy Janek nieco wyciągnął się na swym legowisku, nogi wystawały mu nie tylko poza niewygodny siennik, ale wręcz z otworu wnęki.

Jakub Levi, zwany Jonaszem

W szkole, do której uczęszczał Janek, było kilku chłopców żydowskich. Na podstawie dekretu Karola Feliksa, Żydzi w miastach musieli mieszkać w wydzielonej dzielnicy, w tak zwanym getcie. Należeli do obywateli drugiej kategorii i byli ledwie tolerowani. Chłopcy ci co tydzień przeżywali poważny dylemat: w soboty przepisy religijne zaka-

zywały im wszelkiej pracy, również odrabiania zadań szkolnych. Musieli wybierać: albo postępować wbrew sumieniu, albo zadowalać się złymi stopniami i docinkami kolegów.

Janek pomagał swym żydowskim kolegom wielokrotnie, odrabiając za nich sobotnie zadania. Został wielkim przyjacielem jednego z nich, Jakuba Levi, którego nazywano Jonaszem. Obaj nie mieli ojca i to sieroctwo szczególnie ich łączyło.

Była to przyjaźń gorąca, piękna. « Jakub grał dobrze w bilarda. Odnosiłem się do niego z wielką przyjaźnią, a on szalał za mną. Każdą wolną chwilę spędzał w moim pokoju. Śpiewaliśmy, graliśmy na fortepianie, czytaliśmy, opowiadaliśmy sobie ».

Jakaś bliżej nie wyjaśniona awantura, połączona z bójką, powoduje smutne konsekwencje, i załamanie się młodego Żyda. Janek — nie z powodu prozelityzmu, ale z przywiązania — ofiaruje przyjacielowi to, co ma najlepszego: swą wiarę. Pożycza mu swój katechizm. « W przeciągu kilku miesięcy poznał on główne prawdy wiary i był z tego bardzo zadowolony. Codziennie stawał się lepszy w słowach i czynach ».

Gdy matka Jakuba znajduje katechizm chrześcijański w pokoju syna, wybuchą nieunikniony dramat rodzinny. Wydaje się jej, że po niedawnej stracie męża traci teraz syna. Udaje się do Janka i wyrzuca mu z goryczą: « Zniszczyłeś mnie! ».

Janek szuka najodpowiedniejszych słów, ale to do niczego nie prowadzi. Pod wpływem gróźb krewnych i rabina « Jonasz » na pewien czas opuszcza rodzinę. Potem powoli powraca spokój. 10 sierpnia

w katedrze w Chieri młody Żyd zostaje ochrzczony. Oficjalny dokument, zachowany w archiwum, mówi: « Ja, Sebastian Schioppo, teolog i kanonik, mając upoważnienie wielebnego i najdostojniejszego arcybiskupa Turynu, uroczyście ochrzciłem młodego Żyda Jakuba Levi, lat osiemnaście, i nadałem mu imię Ludwik ... »

Jonasz pozostał na zawsze przyjacielem ks. Bosko. Jeszcze w 1880 r. przychodził do oratorium na Valdocco, by go odwiedzić i wspólnie wspominać « piękne czasy przeszłości ».

Jabłka Blancharda

Zupa pańa Pianty na pewno nie wystarczała na zaspokojenie apetytu 18-letniego Janka Bosko. Często w tych czasach bywał głodny. Gdy to zauważał jeden z jego przyjaciół Józef Blanchard, biegł do swej matki, która sprzedawała owoce, i wypychał sobie kieszenie jabłkami i kasztanami. Zaczyna kobieta widziała co się święci, ale udawała, że nic nie spostrzega. Często też przy stole Józef opróżniał koszyk na owoce z tego samego powodu. Pewnego dnia jego brat Leondro uniósł się:

— Mamo, ty nigdy nic nie widzisz. Józef wynosi owoce całymi kilogramami, a ty nawet tego nie zauważasz.

— Zauważam doskonale — odpowiedziała kobieta — Wiem jednak, komu zanoszą owoce. Ten Janek jest dobrym chłopcem, a głód w jego wieku jest bardzo przykrą sprawą.

Pomimo głodu Janek zawsze znajdował jakiegoś solda na wypożyczenie książek od Żyda Eliasza. Nocami pochłaniał ich treść. Zauważył to również Pianta, który później opowiadał: « Wielekroć całą noc spędzał na nauce, a rankiem znajdowałem go znów przy zapalanej lampce, jak czytał i uczył się ». Nie wiadomo, czy na panu Pianta większe wrażenie robiła siła woli tego chłopca, czy też ilości oliwy, zużytej w lampce. Również i ks. Bosko wspomina te czasy: « Często zdarzało się, że nadchodziła pora wstawania, a ja miałem jeszcze w rękach książkę, którą zacząłem czytać poprzedniego wieczoru ». Ale też zaznaczał: « To zrujnowało mi poważnie zdrowie. Dlatego zawsze będę radzić, by robić tylko rzeczy możliwe, a nic ponadto. Na własnej skórze przekonałem się o tym, że noc stworzona jest na odpoczynek ».

Jan Bosko nie był jakimś niezwykłym wyjątkiem, był chłopcem pełnym dobrej woli i niecierpliwości. Cierpliwości i rozeznania właściwych granic, jak wszyscy, uczył się dopiero od życia.



Marzec 1834 r. Janek Bosko, kończąc klasę humanistyki, składa podanie o przyjęcie do zakonu franciszkanów. Kolega szkolny, Eugeniusz Nicco, przynosi mu odpowiedź.

— Oczekują cię w Turynie na egzamin, w klasztorze Matki Boskiej Anielskiej.

Janek udaje się tam pieszo. W rejestrze przyjęć klasztoru czytamy: « Młodzieniec Jan Bosko z Castelnuovo zostaje przyjęty z wynikiem bardzo dobrym. Spełnia wszystkie wymagane warunki. 18 kwietnia 1834 r. »

Zaraz potem Janek przygotowuje dokumenty, aby wstąpić do klasztoru « della Pace » w Chieri.

Dlaczego zdecydował się na ten krok? Miał już dziewiętnaście lat i stwierdził, że czas już zadecydować o swym przyszłym życiu. Trudził się i cierpiał, chciał bowiem zostać księdzem. Ale w tych miesiącach znów stanął twarzą w twarz z dramatycznym problemem ubóstwa. Nie chciał już być ciężarem dla matki. Zwierzył się z tego koledze z Castelnuovo, Evasio Savio: « Przecież moja matka nie może mi ciągle pomagać w czasie studiów ».

Rozmawiał na ten temat z kilku franciszkanami, a ci, znając go dobrze, natychmiast zaproponowali mu: « Przyjdź do nas. Nie będzie nawet problemu z opłatą, którą z reguły nowicjusze składają w momencie wstąpienia do zakonu ». Wyjątkowo Jan Bosko miał być z niej zwolniony.

Wieśniaczka w czarnym szalu

W ostatnich dniach kwietnia Janek udaje się do proboszcza i prosi go o papiery potrzebne przy wstąpieniu do klasztoru. Ks. Dassano patrzył na niego z powątpiewaniem:

— Ty do klasztoru? Ale czy dobrze to przemyślałeś?

— Zdaje mi się, że tak.

W kilka dni później ks. Dassano udaje się do zagrody w Sussambrino. Rozmawiał z matką Małgorzatą.

— Janek chce zostać franciszkaninem. Nie mam nic przeciwko temu, ale wydaje mi się, że wasz syn o wiele bardziej nadaje się do pracy w parafii. Umie rozmawiać z ludźmi, przyciągać do siebie chłopców, jest lubiany przez wszystkich. Dlaczego więc ma się zakopać w klasztorze? Poza tym, Małgorzato, pragnę sprawę jasno postawić: Nie jesteście bogata i nie najmłodsza. Syn-proboszcz będzie mógł wam pomóc na starość, natomiast syn-zakonnik będzie dla was stracony. Jestem przekonany, że musicie odwieść go od tego zamiaru. Wydaje mi się, że będzie to dla waszego dobra.

Matka Małgorzata narzuca na siebie szal i schodzi do Chieri.

— Ks. Dassano przyszedł do mnie i powiedział mi, że chcesz wstąpić do klasztoru. Czy to prawda?

— Tak, mam. Mam nadzieję, że się nie będziesz sprzeciwiać.

— Słuchaj mnie uważnie, Janku. Chcę, byś się nad tym spokojnie zastanowił. Gdy zadecydujesz — idź swoją drogą nie oglądając się na nikogo. Najważniejszą sprawą jest, byś wypełnił wolę Bożą. Proboszcz chce, bym wpłynęła na zmianę twojej decyzji, ze względu na to, że w przyszłości mogę cię potrzebować. Ale ja ci powiadam: w tych sprawach matka się nie liczy. Urodziłam się biedna, żyłam biednie i chcę umrzeć biedna. Co więcej, chcę ci powiedzieć od razu, że jeśliś jako ksiądz na nieść się stał bogaty, nigdy moja noga nie postanie w twoim domu. Zapamiętaj to sobie dobrze.

Ta stara wieśniaczka w czarnym szalu miała zdecydowany ton głosu i ogromną energię, która biła z jej twarzy. Ks. Bosko nigdy nie zapomniał o tych słowach.

Bardzo dziwny sen

Janek był już prawie zdecydowany, gdy wydarzył się pewien nieprzewidziany fakt. Po latach tak o nim pisał: « Na kilka dni przed moim wstąpieniem do klasztoru miałem bardzo dziwny sen. Wydawało mi się, że widzę tłum zakonników w porządzieranych habitach. Biegali naprzeciw siebie w

różnych kierunkach. Jeden z nich podszedł do mnie i powiedział mi: « Ty szukasz pokoju, ale tu tego pokoju nie znajdziesz. Bóg przygotowuje dla ciebie inne miejsce, inne żniwo ».

Sen — zwykła, nic nie znacząca sprawa. A jednak Janek musiał wziąć pod uwagę fakt, że dla niego sny były czymś ważnym, choć może często niewygodnym.

Zwierzył się Alojzemu Comollo i usłyszał od niego radę, typową dla tego świątobliwego chłopca o gorącej duchowości:

— Odpraw nowennę i napisz list do mojego wuja proboszcza, a potem bądź już ślepo posłuszny. « Ostatniego dnia nowenny — wspomina ks. Bosko — razem z Alojzym wypowiadałem się, przyjąłem Komunię św., potem wysłuchałem mszy św., a następnie służyłem do drugiej przy ołtarzu Matki Boskiej Łaskawej. Po powrocie do domu zastaliśmy list od ks. Comollo, wuja Alojzego, który pisał: « Biorąc wszystko pod uwagę, nie radziłbym twemu koledze wstępować do klasztoru. Niech zostanie klerykiem ».

« Dlaczego nie poradzisz się księdza Cafasso? »

Zostać klerykiem — znaczyło wstąpić do seminarium. A pieniądze? Evasio Savio, przyjaciel Jan-ka, powiedział mu:

— Idź do Turynu i poradź się ks. Cafasso. To najlepszy ksiądz, jaki urodził się w Castelnuovo. Józef Cafasso miał zaledwie 23 lata, ale uznawano

go za jednego z najlepszych kierowników dusz. Wiele osób wątpiących i zmartwionych zwracało się do niego z prośbą o radę. Mieszkał w Turynie, w konwikcie kościelnym, i uzupełniał studia teologiczne, a równocześnie opiekował się chorymi i więźniami.

Janek poszedł do niego i przedstawił mu swoje wątpliwości. Z wielkim spokojem i bez wahania ks. Cafasso powiedział:

— Skończ klasę retoryki i potem wstąp do seminarium. Boża Opatrzność objawi ci, czego od ciebie oczekuje. Jeżeli chodzi o pieniądze, bądź spokojny, ktoś o tym pomyśli.

W tej rozmowie Jan Bosko zetknął się z ważnym elementem równowagi dla swego życia. Jego gwałtowny temperament prowadził go zawsze wśród marzeń, projektów, wątpliwości, sukcesów i rozczarowań. Ks. Cafasso, spokojny i zrównoważony, stał się dla niego przyjacielem dyskretnym, mądrym doradcą i milczącym dobroczyńcą.



Sutanna i Seminarium

Obłóczyny kleryków w tamtych latach były ważnym wydarzeniem. Kandydat do stanu kapłańskiego zdejmował wówczas ubranie cywilne i zakładał długą, czarną sutannę. Miała ona przypominać: « pragnę zostać kapłanem i żyć tak, jak przystoi księdzu ».

25 października, niedziela. W kościele w Castelnovo przed sumą proboszcz ma ubrać Janka w sutannę. Jan Bosko zbliża się do ołtarza, niosąc przewieszoną przez ramię suknię klerycką.

« Gdy proboszcz, ks. Cinzano, polecił mi zdjąć ubranie cywilne przy słowach: "Pan niech cię rozbierze z człowieka starego, z jego przyzwyczajeniami i sposobem postępowania" — powiedziałem sobie w głębi serca: "Ileż starych rzeczy należy usunąć! Boże mój, zniszcz moje złe nawyki". Gdy potem dodał: "Niech Pan oblecze cię w człowieka nowego, stworzonego na obraz serca Bożego, w sprawiedliwości, prawdzie i świętości" — westchnęłam: "Boże mój, obym zaczął naprawdę nowe życie, zgodne z Twoją wolą. Maryjo, bądź moim ratunkiem!" ».

Siedem linijek, które dokonały przewrotu w życiu

Po mszy świętej — zaskoczenie. Ks. Cinzano prosi Janka, by towarzyszył mu na odpuszcie w miejscowości Bardella.

« Poszedłem, aby nie zrobić ks. Cinzano przykrości, ale niechętnie. Nie był to dla mnie właściwy moment. Czuję się jak nowo ubrana marionetka. Przygotowywałem się od tygodni w skupieniu do tego dnia, tymczasem znalazłem się na obiedzie pośród ludzi, którzy przyszli tu, by się pośmiać, porozmawiać, najęść, napić się i zabawić. Cóż wspólnego mógł mieć z tym ktoś, kto przed kilku godzinami przywdział szatę świętości, by całkowicie oddać się Bogu? »

W drodze powrotnej do domu proboszcz spytał mnie, dlaczego byłem taki zamyślony. Z całą szczerością odpowiedziałem, że to, co tam się działo, nie licowało zupełnie z ranną uroczystością. Widok księży, którzy zachowywali się niepoważnie pośród podpitych biesiadników, wywarł na mnie smutne wrażenie. Jeślibym miał stać się księdzem podobnym do tych — dodałem — wolałbym od razu zdjąć ten strój ».

Ostatnie cztery dni, które dzieliły Janka od wstąpienia do seminarium, spędził on w milczeniu i na rozmyślaniach. Sformułował sobie wówczas siedem postanowień, które oznaczały przewrót w jego dotychczasowym życiu. A oto one:

- 1 - Nie będę uczęszczał na zabawy, do teatrów i na przedstawienia publiczne.
- 2 - Nie będę już więcej kuglarzem i linoskoczkiem.

- 3 - Zachowam umiar w jedzeniu, picciu i odpoczynku.
- 4 - Będę czytał książki wyłącznie o treści religijnej.
- 5 - Będę zwalczał myśli, rozmowy, lektury przeciwne czystości.
- 6 - Każdego dnia odprawię choćby krótkie rozmyślanie i czytanie duchowne.
- 7 - Codziennie będę opowiadał wydarzenia i myśli, mogące wywrzeć dobry wpływ.

« Udałem się przed obraz Najświętszej Pani i przyrzekłem stanowczo, że wypełnię te postanowienia, nawet za cenę największych ofiar ».

Nie zawsze mu się to udawało, gdyż i on miał swoje ludzkie słabości, ale kierunek pracy został wytyczony.

« Słów tych nigdy nie zapomnę! »

30 października Janek miał stawić się w seminarium. W poprzedzający wieczór, w Sussambrino, do małego kufra pakował wyprawkę, którą przygotowała mu mama Małgorzata.

« Matka moja — pisze — patrzyła na mnie tak, jakby chciała mi coś powiedzieć. W pewnym momencie przywołała mnie na bok, mówiąc:

— Janku, przywdziałeś strój kapłański. Odczuwam ogromną radość, jaką matka może w związku z tym przeżywać. Pamiętaj jednak, że to nie strój rodzi szacunek ludzi, ale cnota. Jeżeli kiedyś miałbyś powątpiewać o twym powołaniu, na litość Boską,

nie splam tego stroju. Zdejmij go od razu. Wolę mieć syna biednego wiesniaka niż kapłana, który zaniedbywałby swoje obowiązki. Gdy urodziłeś się, oddałam cię Matce Bożej. Gdy rozpocząłeś naukę, poleciłam ci kochać tę naszą Matkę. Teraz polecam ci, byś całkowicie należał do Niej.

Płakałem, kiedy wzruszona kończyła mówić.

— Mamo — wyszeptałem — dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś dla mnie. Twoich słów nigdy nie zapomnę.

Wcześniej rano udałem się do Chieri i wieczorem tego samego dnia wstąpiłem do seminarium ».

Z wyżyn białego muru zegar słoneczny przesłał mu pierwsze pozdrowienie. Pod tarczą godzin widniał napis: « Afflictis lentae, celeres gaudentibus horae — Dla smutnych godziny płyną powoli, mijają szybko dla osób radosnych ». Była to dobra maksyma dla młodego człowieka, który wśród tych murów miał spędzić sześć lat.

Żelazny rozkład zajęć

W seminarium obowiązywał rozkład dnia — podany z dokładnością co do minuty. Wszystko zawierało się w regulaminie wywieszonym w kącie sali przy dzwonku. Cała litania godzin, półgodzin, kwadransów. Przy końcu każdego zajęcia dzwonnik zbliża się do dzwonka, potrząsa nim. Na ten głos cała wspólnota wychodzi, rozmawia, pogrąża się w milczeniu, studiuje, modli się. Pierwszą rzeczą, któ-

rej uczą się młodzi po przekroczeniu bramy seminarium, to przekonanie, że dzwon jest głosem Boga.

Rozkład zajęć, który obowiązywał w seminarium w Chieri, został ustalony bardzo rygorystycznie przez króla Karola Feliksa dla wszystkich szkół w królestwie. Nie przewidziano żadnych względów nawet dla książąt. Możemy przekonać się o tym przeglądając plan dnia, jaki musiał zachowywać następca tronu, książę Wiktor Emanuel, mający wówczas piętnaście lat i mieszkający w pałacu królewskim w Turynie.

« Pobudka o 5., Msza św. o 7. Lekcje od 9 do 12. Potem obiad. Od 14 do 19³⁰ zajęcia szkolne, kolacja. O 21 modlitwy wieczorne i spoczynek. W niedzielę dwie msze św.: przed śniadaniem "cicha" w kaplicy pałacowej, a po śniadaniu Suma w katedrze ».

Wyżywienie było bardzo proste. « Należy odżywiać się, by żyć, a nie odwrotnie ». Oto jedna z często powtarzanych maksym.

Chwilą, w której ci młodzi ludzie mogli rozluźnić się nieco, była rekreacja. Książdz Bosko przypomina sobie, jak zacięcie grywano w karty. « Nie byłem świetnym graczem, jednak wygrywałem prawie zawsze. Pod koniec miałem zazwyczaj pełne ręce pieniędzy, ale widząc kolegów smutnych z powodu przegranej, stawałem się jeszcze smutniejszy od nich. Poza tym, gdy miałem umysł ciągle zajęty kartami, w czasie nauki czy modlitwy często stawały mi przed oczyma to król treflowy, to znów walet. Z tego powodu w połowie drugiego roku filozofii postanowiłem z tym skończyć ».

Janek zdecydował się na to zasadnicze cięcie po dużej wygranej. Pewien kleryk, biedniejszy od

niego, uparcie domagał się rewanżu, ale ciągle przegrywał i w końcu będąc zupełnie « splukany » o mało nie zaczął płakać. Janek, zawstydzony, oddał mu całą wygraną i definitywnie zerwał z kartami.

Czwartkowy łyk tlenu

Był taki dzień, mianowicie czwartek, który przeżywał monotonię seminaryjnych zajęć. Po południu tego dnia — wspominając koledzy Janka — furtian dzwonił zawzięcie i wołał w dialekcie piemonckim:

— Bosch' d Castelneuv!

Również klerycy, którzy czekali tylko na najmniejszą okazję, by pośmiać się trochę, zgodnym chórem wołali:

— Bosch' d Castelneuv! Bosko z Castelnuovo!
Bois de Châteauneuf! ¹

Janek śmiał się z tego i cieszył, wiedział bowiem, że przy bramie czekają na niego członkowie Bractwa radości, którzy pragnęli zobaczyć się z nim, opowiedzieć mu nowinki. Przecież to przyjaciele, z którymi chodził do gimnazjum, chłopcy, których rozśmieszał swymi sztuczkami i opowiadaniem. Znow chcieli go mieć między sobą.

« Bardzo wielu chłopców — wspomina jeden z kleryków, z którym Janek dzielił sypialnię — ota-

¹ W języku włoskim słowo « bosco » oznacza « las », a « Castelnuovo » — « Nowy zamek », a więc wołano na Janka żartobliwie: Las z Nowego zamku!

czało go z radością. On spędzał z nimi wesoło czas, rozmawiał z każdym ». Po rozmowach, żartach, śmiechach — krótka chwila w kaplicy u stóp Madonny.

Czwartek stanowił dla Janka swoisty łyk tlenu: był to ciąg dalszy drogiego mu « oratorium » z lat gimnazjalnych.

Pośród zamożnej młodzieży

W okresie upałów prawie każdego lata wybuchła epidemia cholery. Wybuchła również w 1836 r. W Turynie zapanował strach. Jezuici przyspieszyli wyjazd swych wychowanków z kolegium « del Carmine » do zamku Montaldo, wspaniałego miejsca wypoczynkowego. Szukali zaufanego opiekuna sypialni, który byłby również korepetytorem języka greckiego. Ksiądz Cafasso posłał tam kleryka Bosko. « Będziesz mógł zarobić sobie parę lirów » — powiedział.

Od 1 lipca do 17 października Janek przebywał po raz pierwszy wśród młodzieży z zamożnych rodzin, obserwując z bliska zalety i wady młodych « paniczyków ». Doświadczył tam, « jak trudno uzyskać wśród nich taki autorytet, który pozwoliłby kapłanowi zrobić coś dla ich dobra ». Doszedł do wniosku, że Bóg wzywał go jedynie do pracy wśród chłopców biednych.

W przyszłości będzie głęboko przekonany, że tak, jak nie został powołany do wychowywania dziewcząt, tak nie został też powołany do wychowywania synów bogaczy.



24 czerwca — uroczystość św. Jana Chrzciciela. Dla Janka jest to co roku dzień imienin i początek długich, czteromiesięcznych wakacji.

Przebywa trakt, który prowadzi z Chieri do Castelnuovo, a potem ścieżką dochodzi do Sussambrino. W sumie dwanaście kilometrów, ładny kawał drogi. Zagroda brata wita go głośnym pianiem kogutów i nieśmiałym uśmiechem ślicznej bratanicy.

Józek ożenił się przed dwoma laty. W 1833 r. pojął za żonę dwudziestoletnią Marię Calosso, dziewczynę z Castelnuovo. Pierwsza ich córeczka Małgorzata żyła zaledwie trzy miesiące. Wiosną 1835 r. urodziła się Filomena, dziewczynka spokojna, która z zachwytem spogląda na wujka Janka. Ten hebluje, pracuje przy tokarce, w kuźni, przykrawa i szyje ubrania, robi dla niej śliczne szmaciane laleczki.

Na krzewach winnych widać już zielone grona, żyto bieleje na polach. Gdy Janek kończy pracę w swym prymitywnym warsztacie, bierze do ręki sierp i staje w długim szeregu żeńców. Pot sływa mu z czoła pod szerokim, słomkowym kapeluszem. Odczuwa wielką radość z tej pracy na świeżym po-

wietrzu, po ośmiu miesiącach tkwienia wśród ławek szkolnych.

3 listopada 1837 roku Janek rozpoczyna w seminarium studia teologiczne. Teologia jest nauką o Bogu i stanowi podstawową naukę dla kandydatów do kapłaństwa. Trwały one wówczas pięć lat.

Cavour, Mazzini i Garibaldi

W tym właśnie roku 1837 przyszli przywódcy « Risorgimento », ruchu, który miał wstrząsnąć Włochami, byli jeszcze rozproszeni po świecie.

Jan Mastai-Ferretti, który w 1846 r. zostanie wybrany papieżem jako Pius IX, był wówczas biskupem Imoli. Miał dopiero 45 lat i uznawany był za « biskupa bez przesądów », gdyż ganił wybryki policji papieskiej i był przyjacielem hrabiego Pasoliniego, najbardziej znanego w mieście liberała.

Kamil Cavour¹ miał 27 lat, i zarządzał majątkiem ziemskim w Leri. W długich butach, w kapełuszu słomkowym na głowie, wędrował niestrudzenie od rana do wieczora po polach, pastwiskach i ryżowiskach. W 1831 r. był młodym podporucznikiem.

¹ Cavour Kamil (1810-61), włoski mąż stanu, od 1852 premier królestwa Sardynii, pierwszy premier zjednoczonych Włoch, sojusznik Napoleona III w wojnie z Austrią (1859), liberał, przeciwnik rewolucji i idei republikańskich, zwalczał Kościół. Doprowadził do zjednoczenia Włoch (1861) bez Rzymu i Wenecji. Przyczynił się do ekonomicznego rozwoju kraju.

kiem w garnizonie genueńskim. Na wieść o ruchach rewolucyjnych, które wybuchły w Modenie i Bolonii, wołał: « Niech żyje republika! » Przeniesiono go do Valle d'Aosta; wówczas porzucił wojsko. Jego ojciec, komendant policji, zesłał go « na wygnanie » na wieś. Pomiędzy winobranieniem a zbiorem ryżu jeździł po Europie, podziwiał parlament w Paryżu i Londynie. Spotykał również włoskich uchodźców politycznych i określił ich jako « szajkę szalonych głupców i fanatyków, z których chętnie zrobiłby nawóz pod swoje buraki ».

Trzydziestodwuletni Mazzini został niedawno wydany ze Szwajcarii, skąd kierował spiskami rewolucyjnymi. Urządził się teraz w pewnym domu na peryferiach Londynu. Pisywał w gazetach, by zarobić na chleb. Zapuścił brodę i chodził ubrany na czarno po zamglonych ulicach miasta.

Józef Garibaldi,² który po nieudanej rewolucji Mazziniego w Sabaudii uciekł do Ameryki Południowej, wylądował w Brazylii. Miał 30 lat i był korsarzem na morzach południa, na służbie « rządu rewolucyjnego » w Rio Grando. Wkrótce ubrał swój « legion włoski » w legendarne czerwone koszule, kupując za bezcen w Montevideo cały zapas fartuchów przeznaczonych dla « saladeros », to jest rzeźników argentyńskich.

Siedemnastoletni Wiktor Emanuel mieszkał w pałacu królewskim w Turynie jak w surowych ko-

² Garibaldi Józef (1807-82), włoski bojownik o zjednoczenie państwa, przeciwnik państwa papieskiego, uczestnik wojen z Austrią w 1859 i 1866. W 1860 zdobył Sycylię i Neapol, jednocząc Włochy południowe z północnymi.

szarach. Musiał towarzyszyć ojcu w czasie uroczystości i balów arystokratycznych stojąc całymi godzinami przy jego boku. Jedyne chwile radości przeżywał w stajni. Rozmawiał w czystym dialekcie ze stajennymi, jeździł konno w sposób odważny i zawadiacki. Marzył o działaniu, uwielbiał wolność.

Blisko i daleko — historia toczyła się nieubłaganie. Wydarzenia, na przemian małe i duże, popychają stale naprzód dzieje ludzkości.

W 1836 r. Morse wynalazł telegraf elektryczny i system porozumiewania się przy pomocy kropek i kresek. Niedługo potem w świecie zaczęto przysyłać telegramy na prostokątnych kartkach papieru. Najpierw były one dostępne tylko dla rządzących i wielkich dzienników, potem dla wszystkich.

W 1837 r. w czasie epidemii cholery, w Torre del Greco umarł Jakub Leopardi. Miał wówczas tylko 39 lat. W Anglii objęła tron królowa Wiktoria. Zaczęła swoje bardzo długie panowanie, w ciągu którego Wielka Brytania stała się mocarstwem kolonialnym.

W 1838 r. zmarł markiz Tancredi di Barolo, eks-syndyk Turynu. Owdowiała żona postanowiła przekazać swój majątek na rzecz nieszczęśliwych kobiet. Dzięki temu na peryferiach Turynu zaczęła się rozwijać, obok dzieła Cottolengo, akcja pomocy dla kobiet przebywających w więzieniach i dla kobiet upadłych.

W 1839 r. Ferdynand II zbudował pierwszą linię włoskiej kolei żelaznej na trasie Neapol — Grattello, a Jacques Daguerre skonstruował pierwszy aparat fotograficzny. Temu skromnemu wynalazcy zawdzięcza coś również ks. Bosko: jest on jednym

z pierwszych świętych, których wierną podobiznę posiadamy dzięki fotografii.

« *Ale ludzie nie rozumieją* »

Wakacje roku 1838. Poproszono teologa Jana Bosko o wygłoszenie pierwszego kazania w Alfiano, na święto Matki Boskiej Różańcowej. Później tak o tym wspominał:

« Proboszcz, ks. Józef Pelato, był osobą wielkiej pobożności i mądrości. Poprosiłem go, by powiedział mi, co sądzi o moim kazaniu. Odrzekł:

— Bardzo ładne, poprawne. Zostanie ksiądz dobrym kaznodzieją.

— A czy ludzie je zrozumieli?

— Niewielu. Zrozumiał je mój brat ksiądz, ja i jeszcze kilka osób.

— Przecież to były rzeczy proste.

— To księdzu wydają się proste, ale lud pojmuje je z trudem.

— Cóż więc robić?

— Trzeba porzucić styl klasyków, mówić w dialekcie lub ostatecznie w języku literackim, ale w sposób przystępny, przystępny, przystępny! Zamiast rozumowanych wywodów, trzeba podawać budujące przykłady, robić porównania proste i praktyczne. Proszę zapamiętać sobie, że ludzie nie nadążają za mówcą i że prawdy wiary trzeba tłumaczyć w sposób możliwie najprostszy ».

Ksiądz Bosko pisze, że ta rada stała się jedną z najcenniejszych wskazówek w jego życiu. Pamiętał o niej w czasie kazań, katechizacji i przy pisaniu książek.

« Kapłan nie idzie do nieba sam »

26 maja 1841 r. diakon Jan Bosko zaczyna rekolekcje, które mają go przygotować do święceń kapłańskich. Na życzenie swego kierownika duchowego w tych dniach rozważa długo słowa psalmu: « Któż wstąpi na górę Pana i kto stanie w Jego miejscu świętym? Ten kto ma ręce niewinne i serce czyste ». Patrząc wstecz na swe życie widzi, że w cudowny sposób jego ręce, odkąd je Małgorzata zaczęła splatać w pierwszej modlitwie, pozostały czyste. W zeszyciku odnotowuje: « Ksiądz nie idzie do nieba sam, nie sam też idzie do piekła. Jeżeli czyni dobrze, pójdzie do nieba z duszami, które swym dobrym przykładem zbawił. Jeżeli popełnia zło, jeżeli sieje zgorszenie, pójdzie na zatracenie z duszami potępionymi z powodu tego zgorszenia. Dlatego dołożę wszelkich starań, by dochowywać następujących przyrzeczeń ». Widnieje potem dziewięć postanowień, które przyjął jako zasadnicze w swoim życiu. Po większej części są one powtórzeniem poprzednich poczynionych w momencie obłóczyn. Trzy natomiast stanowią charakterystyczne pogłębienie tego, co miało stać się « stylem kapłaństwa » księdza Bosko. Oto one:

— Mieć czas zawsze zajęty.

— Gdy chodzi o zbawienie dusz — cierpieć, działać, upokarzać się zawsze i we wszystkim.

— We wszystkim kierować się miłością i słodyczą św. Franciszka Salezego.

Kapłan na wieki

5 czerwca 1841 r. W kaplicy Pałacu Arcybiskupiego Jan Bosko, ubrany w białą albę, leży krzyżem na ziemi przed ołtarzem. Z organów płyną surowe tony melodii gregoriańskich. Obecni kapłani i seminarzyści wzywają po kolei wielkich świętych Kościoła: Piotra, Pawła, Benedykta, Bernarda, Franciszka, Katarzynę, Ignacego ...

Blady z emocji i wyczerpany ostatnimi dniami, Bosko wstaje i klęka u stóp arcybiskupa. Alojzy Fransoni wkłada na jego głowę swe ręce i wzywa Ducha Świętego, aby zstąpił i uczynił go kapłanem na wieki. W kilka minut później, dołączając swój głos do głosu arcybiskupa, Jan Bosko rozpoczyna swą pierwszą mszę św. koncelebrowaną. Zostaje « księdzem Bosko ».

« Moją pierwszą mszę św. — napisze później z prostotą — odprawiłem w kościele św. Franciszka z Assyżu, w asyście ks. Józefa Cafasso, mego wielbego dobrodzieja i kierownika. Oczekiwano mnie z niecierpliwością w mojej wsi (było to święto Trójcy św.), gdzie od wielu lat nie odbyła się żadna msza św. prymicyjna. Ale wolałem odprawić ją w Turynie, bez wrzawy, przy ołtarzu św. Anioła Stróża. Mogę nazwać ten dzień najpiękniejszym dniem mo-

jego życia. W modlitwie za zmarłych wspomniałem bliską mi rodzinę, dobrodziejów, szczególnie zaś ks. Calosso, którego zawsze uważałem za wielkiego i wspaniałomyślnego człowieka. Istnieje pobożne przeświadczenie, że Bóg zawsze udziela łaski, o którą prosi ksiądz, odprawiając swą pierwszą mszę św. Ja prosiłem gorąco o skuteczność słowa, aby móc dobrze czynić duszom ».

Swoją drugą mszę św. ks. Bosko odprawił przed ołtarzem « della Consolata » (M.B. Pocieszenia) w wielkim Sanktuarium Maryjnym w Turynie. Podnosząc oczy ku górze, ujrzał Panią, jaśniejącą jak słońce, która przed siedemnastu laty przemówiła do niego we śnie: « Stań się pokorny, silny, wytrwały ». Teraz rozpoczynał się okres, w którym « wszystko miał zrozumieć ».

Następnie w czwartek, w święto Bożego Ciała, ks. Bosko odprawił mszę św. w swej rodzinnej miejscowości.

Dzwony rozkołysały się radośnie. Wszyscy tłoczyli się w wielkim kościele. « Kochali mnie — wspomina ks. Bosko — i każdy radował się ze mną ».

Zdziwieni malcy dowiadywali się, że ten ksiądz był kiedyś małym kuglarzem. Dorośli przypominają go sobie jako towarzysza zabaw i kolegę szkolnego. Starzy ludzie z okolicznych wzgórz pamiętają, że widywali go wielokrotnie, jak biegł boso drogą, z książkami pod pachą.

W pamiętny wieczór matka Małgorzata znajduje chwilę, by pomówić z nim sam na sam. Mówi mu:

— Teraz jesteś księdzem, jesteś bliżej Jezusa.

Ja nie czytałam twoich książek, ale pamiętaj, że gdy ktoś zaczyna odprawiać mszę św., zaczyna cierpieć. Nie zauważysz może tego od razu, ale powoli przekonasz się, że twoja matka mówiła ci prawdę. Odtąd myśl jedynie o zbawieniu dusz. O mnie nie martw się zupełnie ».



Co będzie robił teraz ksiądz Bosko?

Jest inteligentny, chce pracować, jest biedny. Otrzymuje trzy oferty pracy. Pewna szlachecka rodzina z Genui pragnie, by został wychowawcą jej dzieci. W tamtych czasach wiele zamożnych rodzin, zamiast posyłać dzieci do szkół publicznych, wolało utrzymywać we własnym pałacu prywatnego nauczyciela, którego obowiązkiem było nauczanie i wychowywanie synów i córek. Prawie zawsze powierzano tę misję księżom, gdyż traktowali oni swe obowiązki na serio. Genuieńscy patrycjusze oferują księdzu Bosko honorarium w wysokości tysiąca lirów rocznie (doskonąła, jak naówczas, pensja).

Mieszkańcy rodzinnej miejscowości proszą go o przyjęcie obowiązków kapelana w Morialdo. Zapewniają, że otrzyma wynagrodzenie dwukrotnie wyższe od normalnie przewidzianego.

Proboszcz z Castelnuovo, ks. Cinzano, proponuje, by ksiądz Bosko został jego wikariuszem. Również i on zapewnia mu dobrą pensję. Dziwne, ale wszyscy mówią o pieniądzach, jak gdyby fakt, że został kapłanem, oznaczał równocześnie osiągnię-

cie dobrej pozycji, którą należy wykorzystać finansowo. Jedynie matka Małgorzata, kobieta, która zawsze musiała liczyć się z każdym groszem, by jakoś związać koniec z końcem, przypomina: «Jeżeli staniesz się bogaty, moja noga nie postanie w twoim domu».

Ksiądz Bosko udaje się do Turynu, do ks. Cafasso.

— Co mam robić?

— Niech ksiądz nie angażuje się nigdzie. Proszę przyjść tutaj, do konwiktu księżowskiego i uzupełnić własną formację kapłańską.

Ksiądz Cafasso potrafi patrzeć dalekosięźnie. Rozumie i wie, że zasobu wartości ludzkich i duchowych księdza Bosko nie należy wyczerpać w jednej tylko rodzinie czy na jednej tylko wsi. Turyn jest miastem i na jego terenie będzie można właściwie spożytkować duchowe bogactwo młodego księdza. Nowe dzielnice, nowe czasy, nowe problemy. Ksiądz Cafasso będzie musiał tylko powstrzymać księdza Bosko przed zbytnim angażowaniem się w różnorakie prace.

Pierwsze odkrycie: nędza na przedmieściach

Konwikt jest dawnym klasztorem, znajdującym się przy kościele św. Franciszka z Assyżu. W gmachu tym ks. Ludwik Guala, przy pomocy ks. Cafasso, przygotowuje 45 młodych księży do nowych obowiązków. Mają się oni stać «kapłanami na miarę czasów i społeczeństwa, wśród którego przyjdzie im żyć».

Przygotowanie trwa dwa lata (dla księdza Bosko wyjątkowo będą to trzy lata). Dwie konferencje — rano i wieczorem — stanowią dzienne ramy dla tych młodych księży. Pierwszą konferencję głosi ks. Guala, drugą ks. Cafasso. Resztę dnia księża spędzają na posługach w mieście: w szpitalach, więzieniach, instytutach dobroczynności, w pałacach, domach ludowych, na poddaszach. Głoszą kazania w kościołach, uczą katechizmu, opiekują się chorymi i starcami.

Od 1841 r. ks. Cafasso zostaje kierownikiem duchowym księdza Bosko, który odtąd stale spowiada się u niego, prosi o radę przed podjęciem każdej ważnej decyzji, mówi mu o swych projektach życiowych i spełnia jego polecenia.

Do tej pory ks. Bosko znał jedynie biedę wsi. Nie wiedział jak wygląda i co niesie ze sobą nędza na peryferiach miasta. Ks. Cafasso mówi mu: « Proszę pójść i rozejrzeć się ».

« Już od pierwszych niedziel — poświadczy później Michał Rua — ksiądz Bosko wyszukiwał zaułki, by zobaczyć, jak żyją młodzi chłopcy ».

Ogarnęło go przerażenie. Przedmieścia, przesiąknięte niejako fermentem i buntem, były siedliskiem rozpaczki. Młodzież włóczyła się po ulicach bez pracy, nieszczęśliwa, zdolna do najgorszych rzeczy.

Rynek młodych rąk do pracy

Obok głównego rynku miasta ks. Bosko odkrył prawdziwy « rynek młodych rąk ». Część miasta,

położona w pobliżu Porta Palazzo — pisze ks. Lemoyne — roiła się od młodocianych wędrownych handlarzy, sprzedawców zapalek, czyścibutów, kominiarzy, chłopców stajennych, pomocników sprzedawców rynkowych — pędzących nędzny żywot z dnia na dzień ».

Dzieci ubogich rodzin, często bezrobotnych, szukały jakiegokolwiek zajęcia, byle tylko zarobić na łyżkę stawy. Były to pierwsze skutki tłumnego napływu szukających pracy migrantów, którzy niby jakiś czarny żywy pierścień otaczali miasto.

Ks. Bosko spotykał tu wdrapujących się na rusztowania pomocników murarskich, podrostków szukających pracy w sklepie czy oferujących usługi kominiarskie. Widywał ich, jak grali o pieniądze na rogach ulic, z twarzami zaciętymi, zdecydowani na wszystko, byleby zdobyć jakikolwiek środek do utworzenia sobie drogi w życiu. Gdy zbliżał się do nich, oddalali się, patrząc na niego podejrzliwie i z pogardą. To nie były dzieci, jakie widywał w Becchi — ci tutaj nie czekali na jego opowiadania czy sztuczki kuglarskie. To były « wilki » — dzikie zwierzęta z chłopięcych snów Janka, chociaż w ich oczach malował się raczej strach niż dzikość.

Rewolucja przemysłowa

Wszyscy ci chłopcy, błąkający się po ulicach Turynu, byli smutnym owocem wydarzeń, które zaczęły wstrząsać światem — owocem rewolucji przemysłowej.

W 1769 r. w Glasgow w Anglii James Watt opatentował maszynę parową. Wykorzystując energię cieplną, wprowadził w ruch dźwignie i pasy transmisyjne. Jedna maszyna Watta o mocy 100 koni rozwijała siłę równą sile 880 ludzi. Instalując kilka takich maszyn, jedna tylko przędzalnia mogła wyprodukować tyle przędzy, ile dotąd musiałyby produkować 200 tysięcy osób. A do obsługi tych przędzalni wystarczało 750 ludzi.

Zaczęła się epoka fabryk i robotników-proletariuszy. Dotąd ludzie byli wieśniakami, handlarzami, rzemieślnikami. Wśród rzemieślników byli również tacy, którzy przędli wełnę i bawełnę we własnych warsztatach, wykorzystując siłę własnych rąk. Ułatwiona produkcja fabryczna obniżyła gwałtownie cenę materiałów i ogromnie poszerzyła rynek. Równocześnie nastąpił silny wzrost zużycia żelaza (do produkcji maszyn, krosien, szyn) i wydobywania węgla w kopalniach, co pozwalało na zastosowanie maszyn parowych i na większą obróbkę żelaza. Zaczęto budować na szeroką skalę koleje żelazne, parowce i inne środki transportu.

W tych samych latach, dzięki stopniowym osiągnięciom medycyny i higieny na polu walki ze śmiertelnościami epidemiami, jak dżuma czy ospa, wzrosła znacznie ilość mieszkańców Europy. Ze 180 milionów w 1800 r. do 260 milionów w 1850 r.

Gwałtowne zwiększanie się ilości fabryk spowodowało kryzys rzemiosła. Masy ludzi, poszukujących pracy, zaczęły przenosić się ze wsi do miast. Fabryki stawały się ośrodkami, w których wielka ilość robotników wykonywała tę samą pracę na rzecz jednego właściciela.

W Anglii powstały miasta węgla, miasta żelaza, miasta przemysłu włókienniczego. Zaczęła się wielka rewolucja przemysłowa. Zrodzona w Anglii, szybko przeniosła się do Francji, Niemiec, Belgii, w końcu do Ameryki.

Według opinii historyków, rewolucja ta spowodowała największe i najbardziej radykalne zmiany, jakie wydarzyły się kiedykolwiek w dziejach człowieka.

Pierwsza taka «rewolucja» dokonała się w zamierzchłych epokach. Ludzie stanowili wówczas rozproszone grupy myśliwych, brutalnych i prymitywnych. W wyniku «rewolucji neolitycznej» przekształcili się w rolników hodowców bydła. Ta pierwsza zasadnicza przemiana w historii ludzkiej dokonywała się w ciągu tysięcy lat i człowiek miał czas, by stopniowo się do niej przyzwyczaić.

Druga wielka rewolucja — przemysłowa — owoładnęła glob ziemski, wstrząsnęła jego egzystencją w ciągu zaledwie 150-200 lat. Wyważyła drzwi do świata zupełnie nowego, do nowych, nieznanych źródeł energii: do węgla, ropy naftowej, dynamitu, elektryczności, atomu. Rezultaty osiągnęte w przemyśle są niewyobrażalnie wielkie. Nigdy dotąd nie znano też takiego dobrobytu, jakie przyniosło uprzemysłowienie.

Liczba ludności świata zaczęła gwałtownie wzrastać: 750 milionów w roku 1750, miliard 200 milionów w 1850, a w 1950 liczba ta urosła do dwóch i pół miliarda.

Całkowitej i nagłej zmianie uległy zwyczaje, poglądy, wykształcenie, modele rodziny. Nowe generacje stanęły wobec ogromnych problemów, ta-

kich jak: niekontrolowany przyrost naturalny, coraz to straszliwsze bronie, konieczność podnoszenia poziomu wykształcenia, problem zanieczyszczeń, problemy ludzi w podeszłym wieku.

Z drugiej strony — dzięki industrializacji — ludzkość zdołała ujarzmić w szerokim zakresie przyrodę, przekreśliła odległości, zerwała wiele z tych pęt, które ją krępowały przez tysiąclecia.

Cena postępu

Nagły postęp, szczególnie w pierwszych stu latach, pociągnął za sobą zastraszające koszty. « Nieliczna mniejszość ludzi bardzo bogatych, narzuciła prawdziwe niewolnictwo nieskończonej rzeszy proletariuszy » — pisał papież Leon XIII w encyklice « *Rerum novarum* ».

W nowej rzeczywistości — zagadnienia robotnicze zaczynają wysuwać się na pierwszy plan. W skupiskach przemysłu tworzy się nowa klasa — klasa robotnicza, której jedynym bogactwem są własne ręce i ręce dzieci. Warunki życia tych ludzi są straszliwe.

W 1850 r. połowa ludności angielskiej mieszka w miastach. Ale mieszkania robotników — to najczęściej cuchnące ściekami i wilgocią piwnice, w których gnieździ się w jednej izbie cała rodzina, bez powietrza i światła.

W fabrykach nie respektuje się żadnych przepisów higieny, żadnego regulaminu, poza tym, który narzuca właściciel. Wynagrodzenie jest głodowe, zupełnie niewystarczające. Często za pokarm służą

gotowane pokrzywy. Rozpadają się rodziny, szerzy się alkoholizm, prostytutka, przestępczość, choroby spowodowane rodzajem i warunkami pracy (gruźlica, pylica płuc itp.).

Pracują nie tylko mężczyźni i kobiety. Pracują również dzieci, których życie przekształca się w męczarnię. Zmęczenie (muszą stać przez cały czas pracy), przepracowanie, senność powodują częste wypadki przy pracy. Życie tych nieszczęśliwych istot jest bardzo krótkie.

Około 1850 r. proletariaty: francuski, belgijski, niemiecki znalazły się w warunkach podobnych do proletariatu angielskiego. Rodziny robotnicze z trudnością wegetują. Brak pieniędzy na lekarza, na lekarstwa i odzież. Średnia życia robotnika między 1830 a 1840 wynosi 17 - 19 lat! W tym właśnie okresie, jak już o tym była mowa, robotnicy Lyonu i Paryża występują z żądaniami poprawy warunków, ale bunt zostaje krwawo stłumiony.

Sytuacja społeczna we Włoszech

Do Włoch rewolucja przemysłowa dotarła z opóźnieniem, z powodu braku kapitału i surowców. Pierwsze warsztaty tkackie, które przekształciły się w duże zakłady, zlokalizowane były w okręgu lombardzko-weneckim, należącym do Austrii (przędzalnia wełny Rossi w Schio — 1817; Marzotto w Valdagno — 1836). Przemysł mechaniczny powstał w 1846 r. w Mediolanie. Rozwój przemysłu włoskiego był powolny i trudny.

Rudolf Morando tak opisuje życie w fabrykach włókienniczych w Lombardii: « W wielkich przędzalniach jedwabiu, które zatrudniały 100-200 robotników, pracowało bardzo dużo dzieci. Powierzano im zajęcia tak dalece zmechanizowane, że w ciągu krótkiego czasu te dzieci stawały się zupełnie otypałe. W zimie praca trwała trzynaście godzin dziennie, latem piętnaście lub szesnaście. Pomieszczenia były wilgotne, niezdrowe. Bardzo wczesne wstawanie, praca przez długie godziny w bardzo niewygodnej pozycji, często powodowały gruźlicę, krzywicę, nowotwory. Ponad 15.000 dzieci i młodych ludzi w ten sposób spędzało swe najpiękniejsze lata ».

Do Turynu rewolucja przemysłowa dotarła dopiero w 1841 roku. Były to lata gwałtownego rozwoju miasta. W dziesięcioleciu 1838-1848 ludność wzrosła ze 117.000 do 137.000 (czyli o 17%). Rozrastało się budownictwo. W tych właśnie dziesięciu latach zbudowano 700 nowych domów, w których zamieszkało 7.000 rodzin. Ruch migracyjny dopiero się zaczynał — apogeum osiągnął w roku 1849/50. Mówiono wówczas o 50.000 a nawet o 100.000 przybyłych z całego kraju.

Przybywają tu nie tylko całe zrujnowane rodziny, ale i pojedyncze młode osoby z Val Sesia, z Valli di Lanzo, z Monferratu i Lombardii. Na placach budowy ks. Bosko widzi « dzieci od ośmiu do dwunastu lat, żyjące z dala od swoich wsi, pomagające murarzom, spędzające dni na niebezpiecznych rusztowaniach, na słońcu i wietrze, wchodzące po stromych schodach z wiadrami pełnymi wapna, ce-

gieł, pozbawione wszelkiej pomocy wychowawczej, narażone na ordynarne wyzwiska i bicie ».

Wieczorem rodziny robotnicze wracają na poddasza. Są to jedyne pomieszczenia o czynszach dostępnych dla ich pensji. Ks. Bosko odwiedza również te mieszkania. Stwierdza, że są « niskie, ciasne, nędzne i brudne. Jednocześnie służą za sypialnie, kuchnie, a często też za warsztat pracy ».

Trzeba im pomóc

Gromady młodzieży wałęsają się beczynnie po ulicach i wzdłuż brzegów Padu przede wszystkim w niedzielę. Przypatrują się osobom bogatym, zadowolonym z życia, które przechodzą obok nie dostrzegając ich proleteriackiej nędzy.

Ksiądz Bosko szybko wyciąga wnioski. Ci chłopcy potrzebują szkoły i pracy — to zapewniłoby im jaśniejszą przyszłość. Trzeba stworzyć im takie warunki, by mogli być naprawdę dziećmi, by mogli biegać i skakać po zielonych łąkach, a nie wegetować na chodnikach. Muszą spotkać się z Bogiem, by odkryć i zrealizować własną godność.

Ksiądz Bosko nie jest ani jedynym, ani pierwszym człowiekiem, który to zrozumiał. Karol Albert także dostrzegł wówczas konieczność pomocy dla najniższych warstw społecznych. Ale był zaniepokojony przede wszystkim inną rewolucją, która wisiała w powietrzu, rewolucją polityczną. Wybuchnąć miała ona w 1848 roku. Nie spuszczać z oczu Austrii, nieprzyjaciółki wszelkich ustępstw na rzecz

swobód obywatelskich, ostrożnie przesuwając się z pozycji absolutyzmu ku pozycjom umiarkowanych liberałów. Ta długa droga doprowadziła go w końcu do tego, że stał się protagonistą¹ pierwszego « Risorgimento ».

Karol Albert martwił się również warunkami społecznymi, jakie panowały w jego królestwie, i popierał wszelkie akcje dobroczynne i oświatowe na rzecz ludu.

Księża i politycy dzielili się wówczas na zwolenników i przeciwników poglądów liberalnych. Wszyscy jednak walczyli wspólnie z nędzą materialną i moralną. Wtedy to właśnie powstało w Turynie około dwudziestu szkół dla dorosłych robotników.

Ksiądz Bosko natomiast pochłonięty był problemami młodzieży. Ksiądz Cafasso widział to i postanowił bez reszty wciągnąć go do tej pracy.

¹ Grający pierwszą rolę, główny przywódca.



Mieszkańcy Turynu nazywają księdza Cafasso « kapelanem szubienicy », wędruje on bowiem po więzieniach i pociesza więźniów. Jeżeli któryś z nich zostaje skazany na śmierć — ksiądz kapelan towarzyszy mu aż na miejsce stracenia i wspiera go duchowo.

Wychodząc kiedyś na zwykły obchód, ksiądz Cafasso zabiera ze sobą księdza Bosko.

Ciemne korytarze, czarne, wilgotne mury, smutni i bladzi więźniowie robią na nim przygnębiające wrażenie. Wszystko się w nim buntuje.

Chłopcy za kratami

Największy ból sprawiają mu przestępcy małoletni. Pisze: « Ogarnęło mnie przerażenie na widok dużej liczby chłopców w wieku od 12 do 18 lat, zdrowych, silnych, rozgarniętych, którzy tkwili tam beczynnie, zżerani przez insekty, pozbawieni chleba duchowego i materialnego ».

Powracał tu wiele razy z księdzem Cafasso i sam. Starał się rozmawiać z młodocianymi więźniami nie tylko prowadząc lekcje katechizmu, które były nadzorowane przez strażników, ale także podczas spotkań indywidualnych. Na początku reakcje chłopców nie były zachęcające. Musiał nieraz przełknąć ciężkie obelgi, lecz z wolna niektórzy wyzbywali się nieufności i mógł z nimi rozmawiać po przyjacielsku.

Poznał smutne koleje ich życia, ich rozgoryczenie, nienawiść, która doprowadzała ich do okrucieństwa. Najczęstszym przestępstwem były kradzieże. Z głodu, z chęci zdobycia czegoś więcej ponad głodowe utrzymanie, a także z zazdrości względem bogatych, którzy wyzyskiwali pracę młodocianych i pogrążali ich w nędzy.

Pożywienie chłopców stanowił czarny chleb i woda. Musieli ślepo słuchać strażników więziennych, którzy bali się tych wyrostków i dlatego bili ich pod lada pretekstem. Zamykano ich w dużych, wspólnych pomieszczeniach. Tam najgorsi stawali się dla reszty « nauczycielami życia ».

« Najbardziej przerażał mnie fakt — pisze ks. Bosko — że wielu z nich wychodząc na wolność, było zdecydowanych prowadzić się lepiej, a przecież wkrótce znów kończyli za kratkami ».

Ksiądz Bosko starał się zrozumieć przyczynę tego zjawiska. Doszedł do wniosku, że chłopcy « byli pozostawieni sami sobie ». Albo nie mieli rodziny, albo krewni wyrzekli się ich, gdyż więzienie okryło ich hańbą. « Mówiłem sobie: ci chłopcy powinni znaleźć na wolności jakiegoś przyjaciela, który opiekowałby się nimi, który nauczyłby ich czegoś,

zaprowadził w niedzielę do kościoła. Wówczas nie powracaliby do więzienia ».

Powoli udało mu się pozyskać zaufanie kilku aresztantów. « W miarę jak ukazywałem im godność ludzką — wspomina — odczuwali radość w sercu, postanawiali poprawić się ». Często jednak gdy powracał do nich, wszystko znów było obrócone w niwecz. Twarze zacięte, głosy przesiąknięte sarkazmem i przekleństwami.

Ksiądz Bosko nie zawsze potrafił zwalczyć rozgoryczenie. Pewnego dnia wybuchnął płaczem. Moment konsternacji.

— Dlaczego ten ksiądz płacze? — pyta się ktoś.

— Bo nas kocha. Moja matka też płakałaby, widząc mnie tutaj.

Niewzruszona decyzja

Wychodząc z więzienia, ks. Bosko powziął niewzruszoną decyzję: « Trzeba za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by ci młodzi chłopcy dostawali się za kraty. Muszę stać się wybawcą tej młodzieży ».

« Powiadomiłem o tym księdza Cafasso — pisze — i za jego radą szukałem sposobów, by to pragnienie urzeczywistnić ».

Również inni księża w Turynie szukali rozwiązania problemów młodzieży, m. in. ks. Jan Cocchi, kapłan pochodzący z prowincji, z Druent. Został on wyświęcony w 1836 r., gdy ksiądz Bosko dopiero zaczynał seminarium. W Moschino, nędznej i o złej

reputacji osadzie w pobliżu Vanchiglia, założył w 1841 roku pierwsze niedzielne oratorium Turynu i oddał je pod opiekę Anioła Stróża.

Ksiądz Bosko, po tragicznych doświadczeniach więziennych, również myślał o oratorium, ale codziennym. Pragnął założyć ośrodek, w którym by chłopcy opuszczeni przez rodziny znaleźli przyjaciela, gdzie młodzi eks-więźniowie otrzymaliby pomoc i podporę. Oratorium, które byłoby otwarte nie tylko w niedzielę na katechizm, ale przez cały tydzień: ośrodek przyjaznych spotkań, opieki, zabawy, pracy.

Na początek jedno « Zdrowaś Maryjo »

Nieśmiały początek realizacji tego zamierzenia przypadł na dzień 8 grudnia 1841 r. Było to w trzydzieści pięć dni po przybyciu ks. Bosko do konwiktu. On sam opisuje ten fakt w sposób subtelny i prosty zarazem:

« W uroczystym dniu Niepokalanego Poczęcia Maryi właśnie wkładałem ornat by odprawić mszę św., gdy kleryk-zakrystian, Józef Comotti, widząc stojącego w kącie chłopca, poprosił go, by służył mi do mszy.

— Nie umiem — odpowiedział zmieszany chłopak.

— Chodź — powtórzył zakrystian — będziesz służył do mszy św.

— Nie umiem, nigdy nie służyłem.

— Cymbale jeden — powiedział rozgniewany zakrystian. — Jeżeli nie umiesz służyć do mszy św., to po co przychodzisz do zakrystii?

Mówiąc to, chwycił kij odkurzacza i zaczął nim bić chłopca po głowie i ramionach. Gdy chłopiec zaczął uciekać, krzyknąłem głośno:

— Co robisz? Dlaczego go bijesz?

— Bo przychodzi do zakrystii, a nie umie służyć do mszy.

— Nie wolno go za to bić.

— A co on księdza obchodzi?

— To jest mój przyjaciel. Proszę go natychmiast zawołać. Muszę z nim pomówić.

Chłopiec wrócił zmartwiony. Miał krótko ostrzyżone włosy i marynarkę powalaną wapnem. Młody imigrant. Prawdopodobnie jego bliscy powiedzieli mu: Gdy będziesz w Turynie, idź na mszę św. Przyszedł, ale nie śmiał wejść do kościoła, pomiędzy porządnie ubranych ludzi. Spróbował więc wejść do zakrystii, jak to było w zwyczaju w wielu wsiach, w których mężczyźni i chłopcy uczestniczyli we mszy św. stojąc w zakrystii.

Spytałem go serdecznie:

— Czy wysłuchałeś już mszy św.?

— Nie.

— Chodź więc teraz ze mną. Potem chcę z tobą pomówić o sprawie, która sprawi ci przyjemność.

Przyrzekł, że zostanie. Po odprawieniu mszy św. i po dziękczynieniu zaprowadziłem go na boczny chór i pogodnie go zapytałem:

— Mój kochany przyjacielu, jak się nazywasz?

- Bartłomiej Garelli.
- A z jakiej miejscowości pochodzisz?
- Z Asti.
- Kim jesteś?
- Murarzem.
- Twój ojciec żyje?
- Nie, umarł.
- A twoja matka?
- Ona też nie żyje.
- Ile masz lat?
- Szesnaście.
- Umiesz czytać i pisać?
- Nie.
- Umiesz śpiewać?

Chłopiec, ocierając sobie oczy, spojrzął na mnie zdziwiony i odpowiedział:

- Nie.
- Umiesz gwizdać?

Bartłomiej roześmiał się. O to właśnie mi chodziło. Zaczynaliśmy być przyjaciółmi.

- Byłeś u Pierwszej Komunii św.?
- Jeszcze nie.
- A spowiadałeś się już?
- Tak, gdy byłem mały.
- Chodzisz na katechizm?
- Nie śmiem, młodsi chłopcy wyśmiewają się ze mnie.
- A gdybym prowadził dla ciebie katechizm oddzielnie, przyszedłbyś?
- Bardzo chętnie!
- Nawet tutaj?
- Byle mnie nikt nie bił.

— Bądź spokojny, teraz już jesteś moim przyjacielem i nikt cię nie uderzy. Kiedy chcesz, byśmy zaczęli?

— Kiedy ksiądz zechce.

— Choćby od razu?

— Z przyjemnością! »

Ksiądz Bosko ukląkł i odmówił Zdrowaś Maryjo. Czterdzieści pięć lat później mówił do swych salezjanów: « Wszystkie błogosławieństwa, jakie spłynęły na nas z nieba, są owocem tego pierwszego Zdrowaś Maryjo, odmówionego żarliwie i w dobrej intencji! »

Skończywszy modlitwę, ks. Bosko kazał chłopcu na początek przeżegnać się, ale spostrzegł że Bartłomiej nie żegna się, lecz robi gest, który tylko mgliście przypomina znak krzyża św. Wówczas łagodnie pokazał mu, jak należy to czynić. I tłumaczył w dialekcie (pochodzą przecież obaj z prowincji Asti), dlaczego nazywamy Boga « Ojcem ». W końcu powiedział:

— Chciałbym, Bartłomieju, byś przyszedł również w najbliższą niedzielę.

— Dobrze, przyjdę.

— Ale nie przychodź sam. Przyprawdź twoich kolegów.

Bartłomiej Garelli, murarczyk z Asti, został pierwszym ambasadorem ks. Bosko wśród młodych robotników swej dzielnicy. Opowiedział kolegom o spotkaniu z sympatycznym księdzem, « który potrafił gwizdać », i o zaproszeniu. W cztery dni później, w niedzielę, do zakrystii przyszło dziewięciu chłopców. Przyszli « szukać ks. Bosko ». Tak narodziło się oratorium.

« Natychmiast »

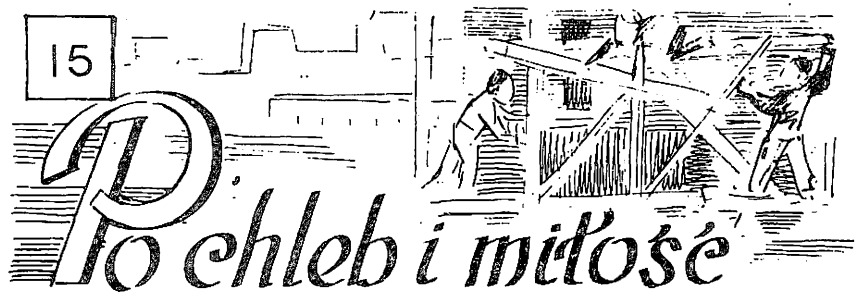
Po rozmowie z Bartłomiejem Garelli padło słowo « natychmiast » Wydaje się ono być jednym z wielu. Tymczasem podobne jest do ziarna, które wysiane — daje roślinę.

W tamtym okresie (1841 r.) słowo « natychmiast » było hasłem całej grupy księży turyńskich. W okresie niepewności, wywołanej pierwszą rewolucją przemysłową, wobec niemożności znalezienia pięknych i gotowych planów i programów działania, ci księża wszystkie swoje energie poświęcali, by zrobić coś « od razu », « natychmiast », dla biednych chłopców i dla ludzi pogrążonych w nędzy.

Ale to « natychmiast » stało się w szczególności sposób charakterystyczny dla ks. Bosko, a potem dla jego salezjanów, którzy wyspecjalizowali się w « natychmiastowej pomocy » świadczonej opuszczonej młodzieży. Konieczność, niemożność czekania — przynaglała księdza Bosko do czynu.

« Trzeba zrobić coś n a t y c h m i a s t » — pisał — gdyż biedna młodzież nie może sobie pozwolić na luksus wyczekiwania na reformy, na plany organiczne, na rewolucję systemu. Rzecz oczywista, że to « natychmiast » nie wystarcza. Mówi się słusznie, że « jeżeli spotkasz kogoś głodnego, zamiast dać mu rybę, naucz go łowić ». Ale prawdziwe jest również odwrócenie tej sentencji: « jeżeli spotkasz kogoś, kto umiera z głodu, daj mu rybę, by mógł potem nauczyć się łowić ». Nie wystarcza « od razu » pomoc bezpośrednia, ale nie wystarcza również przygotowywanie lepszej przyszłości, gdyż w międzyczasie biedni zginą z nędzy.

Ksiądz Bosko i jego pierwsi salezjanie skoncentrują się na tej « natychmiastowej » interwencji. Nauczą chłopców katechizmu, dadzą im chleb, wykształcenie, zawód chroniony uczciwą umową o pracę. I czekać będą na to, by inni katolicy, wspólnie z socjalistami, komunistami, anarchistami, przygotowali plany i wymusili konieczne reformy u ówczesnych władz, które obłudnie odseparowały się od konfliktów robotniczych, pozwalając, by bogacze byli wszechwładni, a biedni ciemieni.



Na ambonie w kościele św. Franciszka młody ksiądz z zapalem głosi kazanie. Przy bocznym ołtarzu, siedząc na stopniach balustrady, kilku chłopców, czeladników murarskich drzemie, jeden oparty o ramię drugiego.

Ksiądz Bosko przechodzi przez kościół i dotyka pierwszego z nich. Wszyscy budzą się zawstydzeni. A ksiądz uśmiecha się i pyta po cichu:

— Dlaczego śpicie?

— Nic nie rozumiemy z kazania — szepcze najstarszy.

— Ten ksiądz nie mówi przecież do nas — dodaje jego sąsiad.

— Chodźcie ze mną!

Prowadzi ich do zakrystii.

« Wśród tych chłopców byli Karol Buzzetti, Jan Gariboldi i Germano » — opowiadał ze wzruszeniem ks. Bosko swym pierwszym salezjanom. Mali murarze lombardzcy, którzy przez trzydzieści, czterdzieści lat będą mu towarzyszyć, a których na Val-

docco wszyscy dobrze poznali. « Wówczas byli to zwykli czeladnicy, teraz wszyscy są majstrami ».

Do zakrystii przyszedł również Bartłomiej ze swymi kolegami. Liczba chłopców powiększa się. Ksiądz Bosko pomaga im modlić się, mówi wyłącznie dla nich małe kazania, mówi w sposób ożywiony, w formie dialogu, przeplatanego faktami i ciekawymi wiadomościami. Potem wszyscy siadają w ławkach, by wysłuchać odprawianej przez niego mszy św.

Przedpołudnie jest długie. Po mszy św. i po śniadaniu chłopcy mają ochotę pobawić się. Pierwsze takie zabawy odbywają się na podwórzu konwiktu.

Obrazki i bułki

Gdy pogoda na to pozwala, po południu ks. Bosko prowadzi chłopców na wzgórze, nad rzekę, albo do sanktuariów Maryjnych.

Tej pierwszej zimy postanawia zbierać jedynie chłopców najbardziej zagrożonych, a szczególnie tych, którzy wyszli z więzienia. Ale w całym swym życiu nigdy nie potrafi odprawić nikogo, kto chciałby być razem z nim. W krótkim czasie tworzy się grupa złożona z cieśli, murarzy, sztukatorów, brukarzy, którzy przychodzili do miasta z odległych miejscowości, a w tzw. martwym sezonie (grudzień — marzec) nie mogli powrócić do domu.

Ksiądz Guala i ks. Cafasso spowiadają ich, rozmawiają z nimi, pomagają księdzu Bosko. Do-

ceniając później tę przyjacielską pomoc, ks. Bosko zauważył z pewnym zakłopotaniem: « Chętnie dawali mi dla chłopców obrazki, książeczki, medaliki ». Jego młodzi murarze i eks-więźniowie bardziej jednak od obrazków i medalików potrzebowali innych rzeczy. To miał na myśli ks. Bosko gdy wspominał: « Dano mi środki, by ubrać kilku najbardziej potrzebujących, niektórym dawano nawet przez kilka tygodni chleb, dopóki sami nie zarobili sobie na niego ».

W ciągu tygodnia stałym zajęciem ks. Bosko stało się poszukiwanie pracy dla chłopców, którzy byli jej pozbawieni, oraz starania o polepszenie warunków pracy dla tych, którzy już byli zatrudnieni.

« Odwiedzałem ich w czasie pracy w warsztatach i na budowach. Cieszyło to bardzo moich chłopców — wspomina — szczególnie gdy widzieli, że ktoś po przyjacielsku zajmuje się nimi. Również pracodawcy byli zadowoleni i chętnie zatrudniali u siebie młodych robotników, pozostających pod stałą opieką tak w dni powszednie, jak i w świąteczne ».

Byli więźniowie stanowili szczególnie delikatny problem. Ksiądz Bosko starał się umieszczać każdego z nich u jakiegoś uczciwego rzemieślnika. Potem chodził i odwiedzał ich w ciągu tygodnia. Rezultaty były dobre: « Zaczynali żyć uczciwie, zapominali o przeszłości, stawali się dobrymi chrześcijanami i uczciwymi obywatelami ».

W każdą sobotę ks. Bosko szedł do gmachu więzienia i kontynuował tam najtrudniejsze apostołstwo. « Udawałem się do więzienia — pisze — mając kieszenie wypchane bądź tytoniem, bądź

owocami, to znów bułkami. Celem moim było świadczenie dobra tym małym nieszczęśnikom, którzy się tam dostali, pozyskanie ich przyjaźni i zachęta, by przyszli do oratorium, gdy tylko opuszczą miejsce kary ».

Chłopczyk z Caronno

Wiosna. Mali murarze, którzy na okres zimy powrócili do swych miejscowości, znów są w mieście. Grupa chłopców księdza Bosko powiększa się z każdym tygodniem. Z Caronno Ghiringhello (dziś Caronno Varesino) przybył również Józef Buzzetti, młodszy brat Karola. Ma dopiero dziesięć lat. Przywiązuje się do ks. Bosko z wiernością dozgonną. Nie opuszcza go nigdy. Od wiosny 1842 r. aż do świtu 31 stycznia 1888 roku, gdy ksiądz Bosko umiera, Józef Buzzetti zawsze mu towarzyszy, stając się świadkiem cichym i spokojnym ludzkich i Bożych losów tego kapłana, « który go kocha ». Wiele wydarzeń z życia ks. Bosko zakwalifikowano by do legend w naszych nieufnych czasach, gdyby nie patrzyły na nie proste oczy murarczyka z Caronno, który był ciągle tuż obok, o dwa kroki od « swego » księdza Bosko.

« Gdybym miał tylko jeden kawałek chleba... »

Tym, co przywiązuje tak bardzo chłopców do księdza Bosko, jest jego dobroć, pełna serdeczności i głębi. Czują oni tę dobroć i widzą ją w konkre-

tnych czynach, we wzruszających gestach. O każdej porze dnia ks. Bosko jest do ich dyspozycji.

Gdy chcą się nauczyć czytać i liczyć, ks. Bosko albo sam znajduje na to czas albo angażuje chętne osoby, które się tym zajmują. Gdy mają złego chlebobodawcę albo gdy są bez pracy — natychmiast stara się zaradzić, prosi swych przyjaciół, by pomogli zapewnić chłopcom odpowiednie miejsce i uczciwego pracodawcę. Nawet gdy gwałtownie potrzebują pieniędzy, wiedzą, że ks. Bosko gotów jest oddać im całą zawartość swej portmonetki.

Gdy dzień jest szary, smutny, mówią mu: « Niech ksiądz do nas przyjdzie ». I ksiądz przychodzi. Wchodzi do warsztatów i na place budowy. Już samo jego pojawienie się i rozmowa z nim przynoszą ulgę.

Jedno ze zdań, które często chłopcom powtarza i które oni zachowują w pamięci jak skarb, brzmi: « Kocham cię tak bardzo, że gdybym któregoś dnia miał tylko jeden kawałek chleba, podzieliłbym się nim z tobą! »

Gdy musi kogoś upomnieć, nigdy nie robi tego przy innych, by nie upokarzać delikwenta. Gdy coś przyrzeka, gotów rzucić się w ogień, by tylko dotrzymać obietnicy.

Chłopcy kochają go, przywiązują się do niego bezgranicznie. Spotkanie z tym księdzem jest radosnym wydarzeniem.

Na via Milano, w pobliżu ratusza, spotyka chłopca, który wraca z zakupów. Chłopiec niesie butelkę oliwy i naczynie z octem, ale gdy tylko

zauważa ks. Bosko, biegnie mu naprzeciw, wołając:

— Dzień dobry, księżu Bosko!

Oliwa i ocet chlupoczą niebezpiecznie w naczyniach. Ksiądz Bosko śmieje się widząc jego radość i żartuje:

— Założę się, że nie potrafisz zrobić tego, co ja zrobię! I zaczyna klaskać. Uradowany spotkaniem chłopiec nie rozumie żartu. Bierze naczynia pod pachę i klaszcze w dłonie krzycząc:

— Niech żyje ksiądz Bosko!

Niestety — butelka i naczynie wyślizgują się i tłuką. Chłopak staje zmartwiony.

— O ja biedny, w domu mama sprawi mi łanie...

— Bądź spokojny, jakoś zaradzimy!

Wchodzą do sklepu i ksiądz Bosko kupuje chłopcu oliwę i ocet.

Przewodnictwo dla papieża — szpada dla Karola Alberta

W 1843 r. w Brukseli wygnaniec z Piemontu Wincenty Gioberti¹ wydaje książkę, która wywołuje wielką wrzawę: « Del primato morale e civile

¹ Gioberti Wincenty (1801-52), ksiądz, 1825-33 profesor teologii i filozofii na Uniwersytecie Turyńskim, 1848-49 premier królestwa Sardynii, jeden z przywódców powstania 1848. Był zwolennikiem zjednoczenia Włoch pod duchową władzą papieża i militarną króla, gorliwy obrońca Kościoła.

degli Italiani » (O prymacie moralnym i cywilnym Włochów). Na stronach tej książki zawarte są podstawowe idee umiarkowanie liberalnego reformizmu, nazwanego później neogwelfizmem. Wielkość Włoch — twierdzi Gioberti — związana jest nierozłącznie z wielkością papieżstwa. Niepodległość Włoch należy więc zrealizować przy pomocy federacji państw włoskich pod przewodnictwem papieża. Przewodnictwo należy do papieża, a szpada do Karola Alberta — to zdanie staje się hasłem neogwelfów. Karol Albert jest z tego zadowolony, ale z obawą spogląda na Austrię.

« Sutanna jest zbyt cienka »

30 kwietnia 1842 r. w Chieri umiera kanonik Cottolengo. W jego Małym Domu znajduje się kilkuset nieuleczalnie chorych. Parę lat wcześniej za-
wezwał go minister finansów.

— Ksiądz jest dyrektorem Małego Domu Bożej Opatrzności?

— Nie, ja jestem jedynie zwykłym robotnikiem Opatrzności.

— Niech tak będzie. Ale skąd ksiądz bierze środki na utrzymanie tych wszystkich chorych?

— Już panu powiedziałem, od Opatrzności. Minister, przyzwyczajony do « chodzenia po ziemi », do analizowania przychodów i rozchodów, i wszelkiego rodzaju bilansów, stracił cierpliwość.

— Ale pieniądze, dobrodzieju, pieniądze! Skąd je ksiądz bierze?

— No, masz ci los! Przecież już panu dwukrotnie powiedziałem. Boża Opatrzność zaopatruje nas we wszystko, nigdy nam niczego nie brakowało. Ja umrę, pan, panie ministrze, też umrze, ale Opatrzność będzie nadal troszczyć się o biednych z Małego Domu.

Tak było rzeczywiście. Po śmierci kanonika Cottolengo jego funkcje przejął kanonik Anglesio i Mały Dom spokojnie funkcjonował pomiędzy głównym rynkiem miasta a domami należącymi do markizy Barolo.

Ksiądz Bosko przypomniał sobie w tamtych dniach swoje pierwsze spotkanie z ks. Cottolengo. Przyjechał wówczas dopiero co do Turynu i poszedł zobaczyć Mały Dom. Kanonik spytał go o nazwisko, skąd pochodzi, a potem żartobliwie i wesoło — jak to było jego zwyczajem — powiedział:

— Robi ksiądz wrażenie bardzo uczciwego. Niech ksiądz przyjdzie popracować w Małym Domu. A pracy tu nie brak.

Ksiądz Bosko rzeczywiście często zaglądał do Małego Domu, spowiadał chorych i spędzał całe godziny z chłopcami kalekami. Któregoś dnia Cottolengo spotkał go znów (był wówczas przy tym spotkaniu chłopiec Dominik Bosso), ujął palcami brzeg sutanny ks. Bosko i stwierdził:

— Jest za cienka! Niech ksiądz postara się o mocniejszą, gdyż wielu będzie chciało się jej chwycić!

Co to będzie za radość!

Rzeczywiście, chłopcy lgnęli do tej sutanny. W miarę jak mijały miesiące, liczba chłopców rosła. Było ich już ponad stu. Potrzebowali nie tylko chleba i pracy, ale i wiary, która syci, gdy chleba brakuje. Ksiądz Bosko, który był nie tyle filantropem, ile nade wszystko księdzem, troszczył się głównie o to, by chłopcy mogli swobodnie spotykać się z Bogiem.

« Było to dla mnie wielkie przeżycie — pisze — gdy w ciągu tygodnia, a specjalnie w dni świąteczne, widziałem wokół mego konfesjonału czterdziestu lub pięćdziesięciu chłopców, którzy wyczekiwali, nieraz nawet długo, by móc się wyspowiadać ».

A chłopcom niełatwo było się spowiadać. Ksiądz Bosko pouczał ich, sugerując proste zasady: « Jeżeli nie umiesz wyrazić się, poproś spowiednika, by ci pomógł. Jemu to wystarczy, pomoże ci, da ci kilka pytań i wszystko się załatwi ».

Naturalnym ukoronowaniem spowiedzi była Komunia św., do której wielu jego wychowanków przystępowało co tydzień.

Również w czasie zwykłych rozmów, pośród zabaw i przechadzek, ks. Bosko mówił spokojnie o Bogu. Przebywając wśród swych urwisów swobodnie przechodził od wesołych przekomarzań się i żartów do rozmów o niebie. W chwilach wielkiej radości, patrząc na chłopców, mówił:

— Co to będzie za radość, gdy wszyscy znajdziemy się w niebie!

Czasami dyskutowano o dobru, o złu, o życiu, o wieczności. Niektórzy pytali go:

— A czy ja będę zbawiony?

Na to ks. Bosko:

— Chciałbym ja to widzieć, jak idziesz do piekła! Sądzisz, że Bóg po to stworzył niebo, by pozostawało puste? Pewnie, wdrapanie się aż tak wysoko wymaga ofiar, ale chcę, byśmy wszyscy spotkali się tam w górze. Co to będzie za radość!



Lato 1844 r. Minął już trzeci rok pobytu księdza Bosko w konwikcie.

Ksiądz Cafasso udaje się w okolice Valdocco i odwiedza ks. Borela, ojca duchownego Schroniska, założonego przez markizę Barolo.

— Chciałbym przysłać tu dzielnego księdza. Potrzebny jest mu pokój i jakieś wynagrodzenie.

— Ale tutaj nie ma pracy nawet dla mnie. Co on tu będzie robił?

— Proszę zostawić mu wolną rękę. Jeżeli niepokoi księdza sprawa wynagrodzenia, ja o tym pomyślę. Ksiądz ten nazywa się Jan Bosko. Mieszka teraz w konwikcie i pracuje w oratorium dla biednych chłopców. Jeżeli nie znajdziemy mu stałej pracy w mieście, arcybiskup wyśle go jako wikariusza do jakiejś wsi, a jego chłopcy wrócą na ulicę. Byłaby to wielka szkoda!

— A więc dobrze. Pomówię o tym z markizą. Ksiądz Cafasso powraca do konwiktu i mówi do ks. Bosko:

— Niech ksiądz się spakuje i uda się do Schroniska. Będzie tam ksiądz pracował razem z ks. Borelem, a równocześnie opiekował się swymi chłopcami.

Włosiennica pod eleganckim strojem

Julia Franciszka Colbert zajmowała wówczas jedno z pierwszych miejsc wśród turyńskiego towarzystwa. Uciekła z Francji przed rewolucją i poślubiła markiza Karola Tancreda Falletti di Barolo, który w 1825 r. był syndykiem Turynu.

Markiz umarł w 1838 r., zostawiając bezdzietnej wdowie ogromny spadek. Markiza liczyła wówczas 53 lata. Pod eleganckimi sukniemi nosiła włosienicę i cały czas poświęcała pracy wśród biednych. Przez wiele miesięcy spędzała trzy godziny dziennie w więzieniu dla kobiet. Znosiła rozmaite zniewagi, upokorzenia, byle tylko móc coś dobrego dla nich zrobić. Uzyskała w końcu od władz pozwolenie na oddzielenie ich więzienia od więzienia dla mężczyzn. Przeniosła więźniarki do budynku zdrowszego, specjalnie dla nich przygotowanego. Zorganizowała również sierocińce i « rodziny » dla młodych robotnic.

Na Valdocco w pobliżu Małego Domu księdza Cottolengo, markiza założyła Schronisko dla kobiet z ulicy, które pragnęły na nowo rozpocząć życie. Tuż obok otworzyła dom o nazwie « Magdalenki » dla zagrożonych moralnie dziewcząt, nie mających jeszcze czternastu lat.

W 1844 r. rozpoczęła trzecią z kolei akcję: budowę Szpitalika św. Filomeny (Ospedaletto di Santa Filomena) dla chorych lub kalekich dziewczynek.

Zajmowała się wszystkimi tymi dziełami miłosierdzia osobiście, nie przestając być przy tym kobietą elegancką i pełną życia. W jej salonie zbierali się najbardziej znani intelektualiści tamtych czasów. Silvio Pellico był jej sekretarzem i w jej pałacu napisał « Moje więzienie ». Również Kamil Cavour należał do jej przyjaciół i powierników.

Ksiądz Borel udał się do markizy.

— Znalazłem ojca duchownego dla Szpitalika. Nazywa się ks. Bosko i do tej pory pracował w konwikcie.

— Dobrze, ale Szpitalik jest dopiero w budowie. Pomówimy o tym za pół roku.

— O nie, markizo. Jeżeli nie weźmiemy księdza Bosko od razu, zostanie posłany gdzie indziej. Ksiądz Cafasso bardzo mi go polecał. Mówił mi o oratorium, założonym przez tego księdza. Twierdzi, że byłaby wielka szkoda, gdyby przestało ono istnieć.

Markiza poprosiła o dalsze informacje. Potem zupełnie już przekonana wyasygnowała dla ks. Bosko 600 lirów rocznie i przydzieliła mu pokój obok mieszkania ks. Borela, w pobliżu Schroniska.

Również ksiądz Bosko, przy pierwszym spotkaniu z markizą, poprosił o wyjaśnienia i gwarancje. Zgadzał się na pracę w Schronisku, ale pod warunkiem, że nie będzie musiał opuścić swych chłopców. Prosił również, by chłopcy, gdy zechcą, mogli w ciągu tygodnia przychodzić do niego bez żadnych ograniczeń.

Prawie sześćdziesięcioletnia markiza była ciągle jeszcze bardzo energiczna i żywotna. Zadowolona była z tej rozmowy. Pozwoliła młodemu księdzu gromadzić swych chłopców na terenie, który graniczył ze Szpitalikiem, będącym w budowie. Przynęła również, że gdy tylko to będzie możliwe, odda księdzu Bosko do dyspozycji dwa pokoje w nowym budynku. Będą mogły zostać zamienione na kaplicę.

Wszystko więc jako tako zaczynało się układać.

Baranki zamieniają się w pasterzy

Sobota 12 października 1844 r. Książd Bosko jest zamyślony. Nazajutrz musi zawiadomić swych chłopców, że oratorium zostanie przeniesione na przedmieście Valdocco. Jest niespokojny o jego dalszą przyszłość. « Tej nocy miałem znów sen — pisze — który wydał mi się uzupełnieniem snu z Becchi, gdy miałem dziewięć lat ».

Widzi w nim całą gromadę wilków. Chce uciekać, ale « jakaś Pani, w stroju pasterki, daje mi znak, bym poszedł za stadem, które ona prowadziła. Trzykrotnie zatrzymywaliśmy się. Na każdym postoju wiele z tych zwierząt zmieniało się w baranki. Byłem bardzo zmęczony i chciałem usiąść, lecz pasterka prosiła by iść dalej. I oto znaleźliśmy się na obszernym dziedzińcu, wokół którego biegł krążanek, a na końcu stał kościół. Liczba baranków powiększała się bardzo. Przyszło też wielu pasterzy, by zająć się nimi. Zatrzymywali się jednak krótko.

I wówczas stało się coś cudownego. Wiele baranków zmieniło się w pasterzy, którzy zaczęli opiekować się stadem. Pasterka poprosiła, bym spojrział w stronę południa. Zobaczyłem jakieś pole... « Spójrz jeszcze raz » — powiedziała do mnie. Zobaczyłem wspaniały i wysoki kościół... Wewnątrz tego kościoła biegł biały pas, na którym ogromnymi literami było napisane: *Hic domus mea, inde gloria mea*, to znaczy: Tutaj jest mój dom, stąd wyjdzie moja chwała ».

Ksiądz Bosko kończy relację uwagą: « Nie bardzo w to wierzyłem, ale zrozumiałem wszystko, w miarę jak sen się urzeczywistniał. Co więcej, ten sen posłużył mi za program w podejmowaniu decyzji ».

« Gdzie jest ksiądz Bosko? Gdzie jest oratorium? »

Niedziela 13 października. Ksiądz Bosko zawiadamia chłopców o przeniesieniu oratorium w okolice Schroniska. Zapanowała konsternacja. Wówczas zaryzykował przyjąć za prawdziwe to, co widział we śnie i obwieścił wesoło: « Tam czeka na nas duże pomieszczenie, całe dla nas, gdzie będzie można śpiewać, biegać, skakać ». Ucieszyli się. Każdy niecierpliwie czekał, by zobaczyć te nowości.

Niedziela 20 października. Grupki chłopców przechodzą przez rogatki i schodzą ku niżej położonej części Valdocco. Aż po prawy brzeg Dory ciągną się łąki i pola, a wśród nich rozsiane są domostwa. Mały Dom księdza Cottolengo i Schroni-

sko pani Barolo znajdują się blisko oberży i większych zabudowań, w których żyją spokojni ludzie. Chłopcy nie wiedzą, gdzie mają wejść. Pukają do drzwi i wołają:

— Księżę Bosko! Gdzie jest ksiądz Bosko? Gdzie jest oratorium?

Mieszkańcy, którzy często widują tu bandy chłopaków, posądzają ich o złośliwe żarty i mówią:

— Jakie oratorium! Jaki ksiądz Bosko! Wynoscie się stąd. Biegiem! Bo przepędzimy was widłami!

« Słyszając wrzawę, wyszedłem z domu razem z ks. Borelem. Zrobiło się cicho i chłopcy przybiegli do nas » — pisze ks. Bosko we « Wspomnieniach ».

Było tu wiele miejsca do zabaw i biegów. Ale nie było odpowiedniego miejsca do modlitwy, do słuchania spowiedzi i do odprawiania mszy św.

— Obszerny lokal, który wam przyrzekłem, nie jest jeszcze ukończony, ale kto chce, może przyjść do mego pokoju lub do pokoju ks. Borela.

W rezultacie — w tę niedzielę i w ciągu następnych, aż do grudnia, tłoczyli się jak śledzie w beczce. « Pokój, korytarz, schody, wszystko to było zapchane chłopcami. Było nas dwóch do słuchania spowiedzi, ale tych, którzy chcieli się wyświadczyć, było dwustu. A któż utrzyma w spokoju dwustu czekających chłopaków? Jeden chciał zapalić ogień, inny chciał go ugasić. Ktoś układał drzewo, ktoś inny rozlewał wodę. Wiaderko, szczypcy do ognia, szufelka, dzbanek, miska, krzesła, buty, książki — wszystko to było w okropnym nieładzie, gdyż wszyscy chcieli zrobić porządek ».

Jest w tym opisie księdza Bosko trochę radosnej przesady, ale ktoś, kto przez dłuższy czas prze-

bywał z chłopcami, wie dobrze, jak niewiele odbiega w nim od prawdy.

Przez sześć niedziel dwustu chłopców, niczym małe wojsko, ustawiało się rankiem przy księdzu Bosko, aby udać się na mszę św. do « Monte dei Cappuccini », do kościoła Matki Boskiej Pocieszenia albo do « Sassi ».

Często towarzyszył im, bezpośredni i bardzo popularny ks. Borel, z powodu niskiego wzrostu nazywany « małym ojcem ». Był on niestrudzonym pracownikiem. Wziął pod swe opiekuńcze skrzydła młodego księdza Bosko i wspierał go serdeczną przyjaźnią, a wielokroć też i pieniędzmi z własnej kieszeni. Kazania « małego księdza » bardzo przypadły chłopcom do gustu. Mówił je w dialekcie z okolic Porta Palazzo, okraszonym przysłowiami, dowcipami, żartobliwymi zdaniami. Ktoś nawet zwrócił mu uwagę, że powinien mówić je w sposób bardziej dostojny, a on na to odpowiedział: « Świat jest rubaszny, trzeba też odpowiednio przepowiedać ».

Płatki śniegu syczą na piecyku

8 grudnia. Wreszcie gotowe są dwa pokoje, które przerobiono na kaplicę. W sam raz, bo od nocy pada gęsty śnieg.

Rano śniegu jest już bardzo dużo, zrobiło się też bardzo zimno. Do kaplicy wniesiono piecyk. Józef Buzzetti przypomina sobie, że gdy piecyk przenoszono przez podwórze, spadające na niego płatki śniegu topniały sycząc.

Mimo nie pogody stawili się wszyscy chłopcy. W kaplicy znaleźli mały ołtarzyk, małe tabernakulum, kilka ławek. « Odprawiona została msza św. — pisze z prostotą ks. Bosko — wielu chłopców przystąpiło do spowiedzi i Komunii św., a ja płakałem, gdyż wydawało mi się, że oratorium uzyskało stałe podstawy ».

Myli się. Przyjdzie mu znów zapłakać, ale nie z radości, a ze zmartwienia, nim znajdzie ostateczne, definitywne miejsce.

Ale od pamiętnego dnia 8 grudnia 1844 r. oratorium księdza Bosko zyskuje jednak coś trwałego: nazwę. Nazywać się odtąd będzie: Oratorium św. Franciszka Salezego. Ksiądz Bosko pisze o przyczynach nadania takiej właśnie nazwy: « Markiza kazała wymalować obraz tego świętego u wejścia do kaplicy. Ponieważ nasza działalność wymagała dużego spokoju i łagodności, oddaliśmy się pod opiekę św. Franciszka Salezego, by wyprosił nam swą nadzwyczajną łagodność ».

Chcąc sprawić chłopcom radość, ks. Bosko kupuje im do zabawy kulki, płytki, kule. Piłki nożnej jeszcze wówczas nie znano. W dalszym ciągu wspomaga najbiedniejszych żywnością, obdarowuje ubraniami, butami.

Teraz, gdy ma własny pokój, myśli o tym, by zacząć naukę z bardziej uzdolnionymi chłopcami. Wieczorami, kradnąc po kilka godzin snu, chłopcy przychodzą do niego grupkami. Twarze ich często są czarne od sadzy, schlapane wapnem. Noszą peleryny, mające ich ochronić od dokuczliwego zimna. Cieszą się z tej nauki.

Ale potrzebne są pieniądze na książki, na odzież na godziwą rozrywkę. Ksiądz Bosko czuje się zakłopotany. Wstydzi się prosić bogate rodziny o wsparcie. Wtedy ks. Borel namawia go:

— Jeżeli ksiądz rzeczywiście kocha swych chłopów, musi się zdobyć i na tę ofiarę.

Ksiądz Bosko zdobywa się na nią. Pierwszą zamożną rodziną, do której zwraca się o pomoc, jest rodzina hrabiego Conella. ks. Borel zresztą przygotował ją na tę wizytę. Ksiądz Bosko czerwieni się, wyciągając rękę po pierwsze trzysta lirów.

W czterdzieści dwa lata później, gdy poprosi pewnego dyrektora salezjańskiego, by poszedł odebrać ofiarę, usłyszy, że « brak mu śmiałości ». Ks. Bosko wówczas powie z powagą:

— Ty nie wiesz, ile mnie zawsze kosztowała prośba o jałmużnę!

Nigdy nie pozbędzie się tego zażenowania, nigdy też nie wyrzeknie się swej godności. Nie był ani nieśmiały, ani nahałny. Ci, do których wypadło mu pójść po pieniądze, mówili potem:

— Wydawało się nam, że do domu wchodził anioł.

Niepowodzenie u św. Piotra w Okowach

Wielki Post 1845. Na codzienny katechizm (obowiązujący wówczas wszystkie dzieci w adwencie i poście) najstarsze klasy oratorianów gromadziły się w kościele pod wezwaniem św. Piotra w Okowach. Obok kościoła znajdował się cmentarz, w którym

już od dziesięciu lat nie chowano nikogo. Cmentarz ten (do dnia dzisiejszego istniejący w okolicy Valdocco) posiadał przedsiónek i obszerny dziedziniec otoczony krążgankami.

Spotkania katechetyczne przebiegały jak należy, a kapelan cmentarza, ks. Tesio, był przyjacielem księdza Bosko. Ponieważ Szpitalik dla dziewcząt był już wtedy praktycznie wykończony i oratorium musiało poszukać sobie innego miejsca, w maju tego roku ks. Bosko poprosił ks. Tesio o pozwolenie przeniesienia całego oratorium do kościoła i na dziedziniec św. Piotra w Okowach.

25 maja, w niedzielę, ks. Tesio musiał wyjechać z Turynu i dlatego zaproponował:

— Przyjdź z twoimi chłopcami w tę niedzielę. Zastąpisz mnie i odprawisz mszę św.

Kapelan prawdopodobnie błędnie wyobrażał sobie co najmniej dwie sprawy. Sądził, że oratorium ks. Bosko składa się jedynie z tych kilkunastu spokojnych i uważnych chłopców, których widywał w czasie katechizmu wielkopostnego. Myślał poza tym, że tak jak bywało podczas innych spotkań z chłopcami, po mszy św. powrócą oni do swych domów, najwyżej może zjedzą coś na dziedzińcu.

Tymczasem odbyło się inaczej. W niedzielę gospodyni kapelana zobaczyła tłum chłopaków, którzy wypełnili cały kościół. Po mszy św. wszyscy ci chłopcy « w locie » łapali przygotowane bułki i z ogromnym hałasem rozbiegli się po dziedzińcu i krążgankach. Gospodyni, która w tych krążgankach hodowała kilka kur, najpierw zaniemówiła, a potem wybuchła okropnym gniewem. Zaczęła krzy-

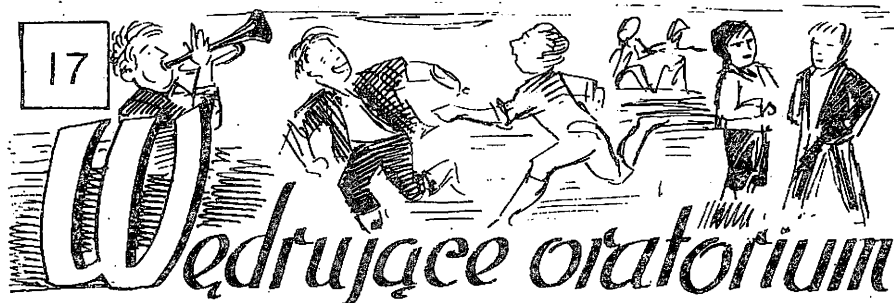
czeń, biegać, wymachiwać miotłą; przestraszone kury uciekały z gdakaniem. Dopadła wreszcie księdzka Bosko i z wymyślała go. Nazwała go « profanatorem świętych miejsc ». Było to zresztą najłagodniejsze określenie, na jakie się zdobyła...

Ksiądz Bosko zrozumiał, że najlepiej będzie wycofać się. « Stwierdziłem — pisze — że należy przerwać rekreację. Wyszliśmy stamtąd w nadziei, że w większym spokoju powrócimy tam w następną niedzielę ».

Banalny incydent — gdyby nie towarzyszyły mu przedziwne okoliczności. Ksiądz Rua na procesie beatyfikacyjnym ks. Bosko pod przysięgą zeznał: « Opowiadał mi po wielu latach niejaki Melanotte z Lanzo, który był obecny przy tej scenie, że ksiądz Bosko, nie okazując zdenerwowania ani gniewu z powodu tych wyzwisk, zwrócił się tylko do chłopców i powiedział: Biedaczka! Każe nam opuścić to miejsce, a sama na następną niedzielę będzie już pochowana ».

Gdy ks. Tesio powrócił, owa kobieta w tak dramatyczny sposób przedstawiła całą sprawę, że kapelan, nie chcąc osobiście cofnąć danego ks. Bosko słowa, napisał do magistratu, aby zabronił wszelkich zabaw w obrębie cmentarza.

« Przykro mi powiedzieć — pisze zmartwiony ks. Bosko — ale to był ostatni list księdza Tesio ». W ciągu tygodnia nieoczekiwanie umarł i on i jego gospodyni.



Po nieudanym eksperymencie u św. Piotra w Okowach chłopcy gromadzili się znów w Schronisku. Markiza nie miała nic przeciwko temu, przypominała jednak ks. Bosko, że 10 sierpnia nastąpi otwarcie Szpitalika. Od tego dnia naturalnie drzwi Szpitalika będą dla chłopców zamknięte.

12 lipca 1845 r. ks. Bosko otrzymał z zarządu miasta list. Na prośbę arcybiskupa powiadomiono go, że « może przeprowadzać katechizację chłopców w kaplicy "Molini di città" od dwunastej w południe do godziny trzeciej po południu ».

Miał więc do dyspozycji kościół na trzy południowe godziny w każdą niedzielę. Nie był to pałac królewski, ale zawsze jakiś lokal. « Wzięliśmy ławki, klęczniki, świeczniki, kilka krzeseł, obrazy i obrazki — wspomina — i każdy niósł to, co był w stanie unieść. Wędrując tak, poszliśmy założyć naszą kwaterę główną w miejscu wyżej wymienionym ».

« Molini di città », nazywane powszechnie przez mieszkańców Turynu « Molassi », znajdowały się na wielkim placu Emanuela Filiberta, po prawej stro-

nie, idąc ku rzece Dorze. Dziś jeszcze ten obszerny plac spełnia rolę różnobarwnego, codziennego targowiska miejskiego, gęsto wypełnionego rzędami straganów.

List z poważnymi oskarżeniami

Ksiądz Bosko nie był zadowolony z nowego miejsca, chłopcy również. Musieli bawić się na ulicy albo na placyku przed kościołem, gdzie ciągle przejeżdżały wozy i konie.

Ksiądz Bosko wydzierżawił jeden pokój na parterze budynku i tam odbywał się katechizm i inne lekcje.

Kłopoty zaczęły się już po kilku niedzielach. Z sekretariatu « Molini » wysłano do zarządu miasta list z całą litanią ciężkich oskarżeń, mianowicie: że chłopcy wyrządzają poważne szkody w kościele i w pobliskich budynkach, że stanowią « zgromadzenie, które może być wykorzystane w celach rewolucji » (oskarżenie bardzo niebezpieczne w tamtych czasach), że są « rozsadnikami niemoralności ».

Na zarządzenie syndyka udała się na miejsce komisja, by zbadać stan faktyczny. Znalazła to, czego można się było spodziewać: chłopcy hałasowali, jakiś mur był porysowany gwoździem. Nie stwierdzono natomiast żadnych oznak ani « rewolucji », ani « niemoralności ». Jedyne poważniejszy zarzut (był to zresztą prawdziwy powód listu) stanowiła irytacja mieszkańców pobliskich domów,

gdyż śpiewy, wrzawa i głośnie zabawy przekreślały ich niedzielny wypoczynek.

Oszczerstwa bardzo zmartwiły księdza Bosko, wiedział bowiem, że zawsze zostawiają one jakiś ślad. Mniej natomiast zmartwiła go decyzja, jaką mu zakomunikowano. Zarząd miasta nie odebrał wprawdzie poprzednio danego pozwolenia, ale nie chciał go przedłużyć na rok następny. Oficjalny list z wypowiedzeniem miał być dostarczony w listopadzie. Tymczasem proszono księdza, by « był rozsądny ».

Ksiądz Bosko dokładał więc starań, by ten « rozsądek » zachować. Od momentu otrzymania listu kościół « dei Molini » służył mu jedynie jako punkt zbiórki. Prowadził potem swych chłopców na łąki, leżące odłogiem wzdłuż Dory. Natomiast na modlitwy udawali się razem do kościoła « Madonna del Pilone », do « Sassi » i do « Madonna di Campagna ». « W kościołach tych — pisze — odprawiałem mszę św., objaśniałem ewangelię. Wieczorem uczyłem trochę katechizmu, trochę opowiadałem, śpiewaliśmy pieśni. A potem urządzaliśmy spacer i wędrowki, aż do momentu rozejścia się do domów. Wydawało się, że ta krytyczna sytuacja przekreśli wszelką ideę oratorium, tymczasem liczba chłopców zwiększała się w sposób nadzwyczajny ».

« Weź Michasiu, weź! »

W pobliżu « Molini » we wrześniu ksiądz Bosko przeżył jedno z najważniejszych spotkań swego życia. Chłopcy pchali się wokół niego, by otrzymać

medaliki. Z boku stał blady ośmioletni chłopczyk, z czarną opaską na lewym ramieniu. Przed dwoma miesiącami umarł mu ojciec. Nie mógł docisnąć się przed innymi. Medaliki skończyły się i on nie dostał żadnego. Wówczas ksiądz Bosko zbliżył się do niego i uśmiechając się powiedział:

— Weź Michasiu, weź!

Ale co miał wziąć? Ten dziwny ksiądz, którego widział tego dnia po raz pierwszy, nic mu przecież nie dawał. Wyciągał jedynie do niego lewą rękę, udając równocześnie, że prawą ją przepoławia. Chłopczyk zdziwiony spojrzał na niego. A ksiądz powiedział:

— My obaj będziemy robić wszystko po połowie.

Co widział w tym momencie ks. Bosko? Nigdy tego nie powiedział, lecz ten chłopiec miał się stać potem jego « prawą ręką » i pierwszym jego następcą w kierowaniu Zgromadzeniem Salezjańskim.

Nazywał się Michał Rua i nie rozumiał powiedzenia ks. Bosko ani wówczas, ani przez wiele następnych lat. Ale przywiązał się bardzo do tego księdza, w obecności którego wszyscy czuli się weseli i pełni ciepła.

Michał mieszkał na terenie Królewskiej Fabryki Broni, gdzie pracował kiedyś jego ojciec. Czterech jego bracia umarli bardzo młodo, on sam też był bardzo wątpliwy. Z tego powodu matka nie pozwalała mu często chodzić do oratorium. Ale spotykał księdza Bosko u Braci Szkół Chrześcijańskich, gdzie uczęszczał do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Opowiadał później: « Ksiądz Bosko przychodził od-

prawić nam mszę św. i wygłosić kazanie. W momencie, gdy wchodził do kaplicy, wydawało się, że prąd elektryczny przebiega przez zgromadzone dzieci. Wstawaliśmy na palce, wychodziliśmy z miejsc, cisnęliśmy się wokół niego. Potrzeba było wiele czasu, by mógł dojść do zakrystii. Dobrzy bracia tolerowali ten pozorny nieporządek. Gdy przychodzili inni księża, nic podobnego się nie działo ».

Książki za cenę snu

W październiku miało miejsce ważne wydarzenie. Ukazała się «Historia Kościoła na użytek szkół». Był to pierwszy podręcznik, jaki ks. Bosko napisał dla swych chłopców. Pisał go piśmem bardzo nieczytelnym, przy lampie naftowej, w wielkim pośpiechu, w godzinach przeznaczonych na sen. « Historia Kościoła » nie jest jakimś dziełem naukowym. Żadna z książek księdza Bosko nim nie będzie. Przeciwnie, jest napisana popularnie, w sposób przystosowany do poziomu umysłowego i kulturalnego chłopców. W « Historii » opowiada autor o papieżach, o najważniejszych wydarzeniach w dziejach Kościoła, kreśli sylwetki świętych, opisuje dzieła miłosierdzia, jakie na przestrzeni wieków krzewiły się wśród ludu Bożego. Po tej pierwszej książce ukazały się dalsze: « Historia Święta » w 1847 r., « Dziesiętny system metryczny » w 1839 r., « Historia Włoch » w 1855 r. Ks. Bosko znajdzie jeszcze czas, by oprócz podręczników szkolnych, napisać wiele innych książek i broszur: będą to żywoty świętych, wesołe opowiadania, książeczki do nabo-

żeństwa i podręczniki do nauki religii. Żadna z tych książek nie jest arcydziełem, ale stanowi dowód jego miłości do chłopców, do prostych ludzi, do Kościoła. Wiele z tych prac stało się potem przyczyną rozmaitych kłopotów: doszło nawet do tego, że pewne osoby w bardzo drastyczny sposób chciały zmusić księdza, aby zaniechał pisania.

Trzy pokoje w domu Moretta

W listopadzie nadszedł list z zarządu miasta. Nastawa wilgotna i chłodna jesień. « Okres ten — pisze ks. Bosko — nie nadawał się już na przechadzki i na wyprawy za miasto. W porozumieniu z ks. Borelem wydzierżawiliśmy trzy pokoje w domu księdza Moretta ».

Obecnie ten dom nie istnieje. Ostatnia jego ściana została włączona w mury kościoła filialnego parafii M.B. Wspomożenia Wiernych.

« W trzech pokojach domu Moretta — notuje — spędziliśmy cztery miesiące, w ciasnocie, ale zadowoleni że można zebrać chłopców, uczyć ich i stworzyć im dogodne warunki do wypowiedzania się ».

Ks. Bosko wspomina z uśmiechem, że w tych pokojach musiał sprzeniewierzyć się drugiemu ze swych postanowień seminaryjnych. Aby zająć chłopców w pomieszczeniu tak ciasnym, zaczął pokazywać im swe dawne sztuczki kuglarskie. I już nie zaniechał tego, gdyż rezultaty przeszły wręcz jego oczekiwanie.

Zaczął również, z pomocą księdza Carpano, regularny kurs szkoły wieczorowej, różniący się znacznie od dorywczych lekcji, jakie dotąd przeprowadzał.

Czarne chmury nad oratorium

Grudzień. Ksiądz Bosko zaczyna zapadać poważnie na zdrowiu. Jest wciąż kapelanem Szpitalika, gdzie znalazły schronienie dziewczynki od trzech do dwunastu lat. Chodzi do więzienia, odwiedza Mały Dom ks. Cottolengo i miejskie instytucje wychowawcze. Pracuje w swym oratorium, uczy w szkole wieczorowej, wizytuje chłopców w miejscach ich pracy. A zima 1845/46 zapowiada się bardzo sroga.

Zima przychodziła do Turynu późno, ale zasypywała wąskie ulice zwałami śniegu, który niósł ze sobą dokuczliwe i przykre zimno.

W tych zimowych miesiącach płuca ks. Bosko wykazują zatrważająco zły stan. Gdy zauważył to ks. Borel, zaraz powiadomił o tym markizę Barolo. Markiza wręczyła księdzu Bosko sto lirów na potrzeby oratorium i zaleciła mu « zaprzestanie wszelkiej działalności, aż do zupełnego wyzdrowienia ».

Ksiądz Bosko posłusznie przerwał wszelkie zajęcia, za wyjątkiem prowadzenia oratorium. Korzyści zdrowotne, jakie uzyskał w ten sposób, były nieznaczące i wnet się o tym ks. Bosko przekonał. Ale zaniepokojenie złym stanem zdrowia było dla niego niczym wobec czarnych chmur, jakie zaczynały gromadzić się nad oratorium. Ksiądz Bosko

wspominał: « W tym właśnie czasie rozeszły się dość dziwne wieści. Niektórzy nazywali ks. Bosko rewolucjonistą, inni uważali go za obłąkanego ».

Wyrok w Aleksandrii

W roku 1846 pewien młody 22-letni człowiek, z którym ks. Bosko zaprzyjaźnił się w więzieniu, został skazany na śmierć razem ze swym ojcem. Egzekucja miała odbyć się w Aleksandrii. Gdy zmartwiony ks. Bosko poszedł go odwiedzić, chłopak rozplakał się i prosił, by zechciał towarzyszyć mu w ostatniej drodze. Księdzu Bosko zabrakło odwagi, czuł, że nie jest w stanie spełnić tej prośby.

Skazańcy zostali tymczasem odesłani do Aleksandrii. Ksiądz Cafasso miał pojechać tam dylizansem, by towarzyszyć im w ostatnich godzinach. Gdy dowiedział się, że ks. Bosko zrezygnował z jazdy, zawezwał go do siebie i upomniął go słowami:

— Czy ksiądz nie rozumie, że niespełnienie prośby skazanego na śmierć jest czymś okrutnym? Niech ksiądz się przygotuje. Pojedziemy razem.

— Nie zdołam znieść tego widoku.

— Niech się ksiądz pospieszy, dylizans nie będzie czekał!

Przyjechali do Aleksandrii w przeddzień egzekucji. Chłopak, widząc wchodzącego do celi księdza Bosko, zarzucił mu ręce na szyję i wybuchnął płaczem. Ksiądz Bosko również rozplakał się. Razem spędzili ostatnią noc modląc się i rozmawiając o Bogu. O drugiej nad ranem udzielił mu rozgrzeszenia, odprawił dla niego w celi mszę św., udzielił mu

komunii św. odmówił wspólnie modlitwy dziękczynne.

Dzwon katedry obwieścił zbliżanie się godziny egzekucji. Drzwi celi otwały się, weszli strażnicy i kat, który — jak było w zwyczaju — ukląkł przed skazańcem, prosząc go o przebaczenie. Potem związał mu ręce i zarzucił mu pętlę na szyję.

Po kilku minutach z bramy więziennej wyjechał wóz ze skazanym i z księdzem Bosko. Zaraz za nim jechał drugi, wiozący ojca chłopca i ks. Cafasso. Wielu ludzi w milczeniu stało wzdłuż ulic.

Gdy w głębi ukazało się podium z przygotowanymi szubienicami, ks. Bosko zbladł i upadł zemdłony. Widząc to, ks. Cafasso kazał zatrzymać wozy, by go znieść i ocucić.

Tragiczny orszak znów ruszył naprzód i dotarł wkrótce do podwyższenia. Wyrok został wykonany. Gdy ks. Bosko przyszedł do siebie, było już po wszystkim. Przejęty bólem powiedział do ks. Cafasso:

— Tak mi przykro ze względu na tego chłopca. Miał takie zaufanie do mnie...

— Zrobił ksiądz to, co było w jego mocy. Resztę pozostawmy Bogu.

Znów wypędzeni

Marzec 1846. Ksiądz Moretta, uczciwy kapłan, udaje się do ks. Bosko:

— Nie gniewaj się, księżę Janie, ale nie mogę nadal wydzierżawiać ci tych trzech pokoi.

— Dlaczego?

— Popatrz!

W ręce trzymał plik listów. « Lokatorzy — wspominał ks. Bosko — przerażeni wrzawą, ciągłym hałasem wchodzących i wychodzących chłopców, zagrozili, że się wyprowadzą, jeżeli natychmiast nie skończą się nasze spotkania ».

Ksiądz Bosko poczuł narastający w sercu bunt. Czyż to możliwe, by nikt nie potrafił zrozumieć młodzieży? Czyż ci dorośli nie byli kiedyś także dziećmi? W końcu jednak poklepał przyjaciela po ramieniu i powiedział:

— Bądź spokojny, odejdziemy stąd.

Nie wiedział wprawdzie dokąd, ale na szczęście nadchodziła wiosna i nie trzeba było już koniecznie przebywać pod dachem.



Księdzu Bosko udało się wynająć ogrodzoną łąkę. Znajdowała się w pobliżu domu Moretty, o jakieś pięćdziesiąt kroków od niego. Idąc dziś ulicą Maria Ausiliatrice, po prawej stronie, przed skrzyżowaniem z Via Cigna, napotykamy na kompleks budynków, które sąsiadują z wydawnictwem SEI.¹ Tam właśnie znajdowała się łąka braci Filippich.

Pośrodku łąki, w szałasie, przechowywano przyrządy do zabaw. Co niedzielę bawiło się tu i biegało trzystu chłopców. Siedząc gdzieś z boku na ławce, ks. Bosko spowiadał.

Około godziny dziesiątej uderzano w bęben wojskowy i chłopcy ustawiali się. Potem odzywała się trąbka i cała kolumna ruszała w kierunku kościoła M.B. Pocieszenia, albo na Monte dei Cappuccini. Tam ks. Bosko odprawiał mszę św. i rozdziałał komunię św., a potem jedzono śniadanie.

¹ Skrót nazwy « Società Editrice Italiana »: Włoskie Towarzystwo Wydawnicze.

Paweł C., czeladnik murarski, który dopiero co przyjechał ze wsi, pewnego dnia przyłączył się do maszerującej na Monte dei Cappuccini gromady. Oto co opowiada:

« Odbyła się msza św. Wielu chłopców przystąpiło do komunii św., potem wszyscy udali się na podwórze klasztoru, by tam zjeść śniadanie. Wydało mi się, że nie mam do niego prawa i dlatego stanąłem na uboczu, chcąc przyłączyć się później do grupy. Ale ks. Bosko zobaczył mnie i zbliżył się do mnie.

— Jak ci na imię?

— Paweł.

— Jadłeś już śniadanie?

— Nie, bo nie wyspowiadałem się, ani nie przyjąłem komunii św.

— Ale przecież nie trzeba się spowiadać i komunikować, by otrzymać śniadanie!

— A co trzeba zrobić?

— Trzeba mieć apetyt.

Zaprowadził mnie do koszyka i dał mi dużo chleba i owoców. Potem razem z nim udałem się na łąkę i bawiłem się tam aż do nadejścia nocy. Od tego dnia przez wiele lat uczęszczałem do oratorium, do drogiego ks. Bosko, który wyświadczył mi wiele dobra ».

Pewnego niedzielnego wieczoru, podczas gdy chłopcy bawili się, ks. Bosko zauważył stojącego za płotem wyrostka, może piętnastoletniego. Zawołał go:

— Wejdz do środka. Skąd jesteś? Jak się nazywasz?

Chłopiec nie odpowiadał. Ksiądz Bosko na to:

— Co ci jest? Czy źle się czujesz?

Chłopiec zawahał się. Potem z wysiłkiem powiedział tylko:

— Jestem głodny.

Koszyk był pusty. Ksiądz Bosko posłał po chleb do pobliskiej rodziny i pozwolił chłopcu najeść się do syta. Po jakimś czasie chłopak sam zaczął mówić, by zrzucić ciężar z serca.

— Jestem rymarzem, ale właściciel warsztatu zwolnił mnie, gdyż nie potrafię dobrze pracować. Moja rodzina została na wsi. Dzisiejszej nocy spałem na stopniach katedry, a rano z głodu chciałem coś ukraść. Ale bałem się. Próbowałem prosić o wsparcie, ale powiedziano mi: « Jesteś zdrowy i silny, idź do roboty! » Potem usłyszałem wasze głosy i przyszedłem aż tutaj.

— Słuchaj — powiedział ks. Bosko — pomyślę o dzisiejszym wieczorze i nocy. A jutro pójdziemy do uczciwego rzemieślnika i zobaczysz, że cię zatrudni. Jeżeli potem zechcesz przychodzić tu w dni świąteczne, zrobisz mi dużą przyjemność.

— Przyjdę chętnie!

Za czasów « łąki braci Filippich » dziwne wieści, jakie rozsiewano o księdzu Bosko, przyczyniły się do wzbudzenia niechęci władz cywilnych wobec oratorium i ugruntowały przeświadczenia, że być może, ks. Bosko jest umyślowo chory. Z tego powodu główni współpracownicy opuścili go. W konsekwencji groziło to likwidacją całej działalności.

Były to lata rewolucji, i trzystu chłopaków, którzy wchodzili uformowaną kolumną w bramy miasta, przy głoście trąby i bębna, niepokoiło zwierzchnika policji.

« Nie byli to tylko mali chłopcy — pisze ks. Lamoyne — ale również chłopcy starsi, silni, zuchwali, którzy nie omieszkali nosić przy sobie nieodłącznego noża ».

Markiz Michał Cavour (ojciec Kamila i Gustawa), naczelnik policji, kazał ławezwać księdza Bosko. Rozmowa toczyła się najpierw w sposób dyplomatyczny, potem przybrała charakter gwałtownych spięć. Nakazano ks. Bosko ograniczyć liczbę podopiecznych, unikać prowadzenia ich uformowanymi kolumnami, wykluczyć najstarszych jako najniebezpieczniejszych.

Ksiądz Bosko nie zgodził się. Wówczas Cavour zaczął krzyczeć:

— Dlaczego księdzu tak zależy na tych łobuzach? Niech zostaną w swoich domach. Proszę nie brać na siebie tej odpowiedzialności, bo wynikną stąd kłopoty dla wszystkich!

— Ja tych biednych chłopców uczę katechizmu — odpowiedział zdecydowanie ks. Bosko — i to nie może sprawiać nikomu kłopotu. Zresztą robię to wszystko za wiedzą arcybiskupa.

— Arcybiskup wie o tym? a więc dobrze! Pomożę sam z Fransonim, i to on położy kres temu wszystkiemu!

Monsignor Fransoni nie położył kresu niczemu, co więcej, wziął w obronę księdza Bosko. Od tego dnia na skraju łąki, gdzie bawili się chłopcy, zaczęły patrolować strażę z komendy policji. Ksiądz Bosko jednocześnie śmiał się z tego, ale i niepokoił. Gdyby bowiem stwierdzono choćby najmniejsze objawy nieporządku, oratorium przestałoby istnieć. Cavour był przecież wówczas potęgą.

Czy ksiądz Bosko jest umysłowo chory?

Mimo woli sam ks. Bosko przyczynił się do szerzenia się wieści o jego rzekomej chorobie psychicznej. Aby dodać otuchy chłopcom podczas przymusowych przenosin z cmentarza do młyna, z chatki na łąkę, zaczął im opowiadać o swych snach. Mówił o wielkim, przestronnym oratorium, o kościele, domach, szkołach, laboratoriach, o tysiącach młodzieży i o kapłanach oddanych wyłącznie do jej dyspozycji. Wszystko to kłóciło się z żalosną, codzienną rzeczywistością.

Chłopcy byli jedynymi osobami, które potrafiły śnić z otwartymi oczyma. Wierzyli księdzu Bosko. Powtarzali w domach, w miejscach pracy to, co im opowiadał. Naturalnie, ludzie zaczęli komentować: « Biedak, coś mu się przywidziało. Żyjąc ciągle pośród tego wrzasku — skończy w domu wariatów! »

Nie była to wcale złośliwość propagowana przez jednostki, ale powszechne przekonanie. Michał Rua wspomina:

« Skończyłem dopiero co służyć do mszy św. w Fabbrica d'Armi i przygotowywałem się do wyjścia, gdy kapelan spytał mnie: « Dokąd idziesz? » « Do księdza Bosko, dzisiaj niedziela ». « Czy nie wiesz, że on jest chory i że z tej choroby rzadko kto może się wyleczyć? » Wiadomość ta ugodziła mnie w samo serce, powodując ból niewymowny. Gdybym usłyszał, że zachorował mój ojciec, nie zmartwiłbym się bardziej. Pobiegnę do oratorium, ale ze zdziwieniem zobaczyłem tam księdza Bosko uśmiechniętego jak zwykle ». « Tak bardzo zaprzętał sobie głowę chłopcami, że zwariował! » — mówiono w tamtych czasach w Turynie.

Ksiądz Borel, współpracownik i przyjaciel ks. Bosko, starał się przekonać go, by zaniechał opowiadania swych snów.

— Mówisz o jakimś kościele, o domu, o placu zabaw. Ale gdzie są te wszystkie rzeczy?

— Nie wiem, ale istnieją, bo ja je widzę — zapewniał ks. Bosko.

Pewnego dnia, po kolejnej nieudanej próbie przemówienia przyjacielowi « do rozsądku », ks. Borel wybuchnął płaczem. Wyszedł z pokoju powtarzając: « Biedny mój ksiądz Bosko, rzeczywiście się wykończył! »

Podobno nawet kuria wysłała obserwatora, by sprawdził stopień równowagi psychicznej księdza Bosko. Wówczas dwaj jego dobrzy przyjaciele, ks. Wincenty Ponzati i ks. Ludwik Nasi, wspólnie postanowili wybawić go z tej przykrew sytuacji. Prawdopodobnie uprzednio załatwili wizytę lekarską i badania w szpitalu psychiatrycznym, po których

miała nastąpić odpowiednia kuracja (za pomocą środków podobnych do tych, jakie dziś stosuje się na wsiach w głębi afrykańskiego buszu).

Pewnego razu, gdy ks. Bosko był zajęty nauczaniem katechizmu, zajechał zamknięty powóz. Wysładli z niego ks. Ponzati i ks. Nasi. Poprosili księdza Bosko, by udał się z nimi na przechadzkę.

— Jesteś zmęczony. Trochę powietrza dobrze ci zrobi.

— Chętnie. Wezmę tylko kapelusz i pójdę z wami.

Jeden z przyjaciół otworzył drzwiczki powozu.

— Wejź!

Ale ks. Bosko zorientował się, co się święci.

— Wejść ostatni.

Aby nie zepsuć wszystkiego, ostatecznie zgodzili się wsiąść jako pierwsi. Gdy znaleźli się w powozie, ks. Bosko szybkim ruchem zatrzaskał drzwiczki i rozkazał woźnicy:

— Do szpitala psychiatrycznego, szybko! Tam już oczekują na te dwie osoby.

Szpital znajdował się w pobliżu. Pielęgniarze już wcześniej uprzedzeni spodziewali się zobaczyć jednego księdza. Tymczasem ujrzeli dwóch, i to bardzo zdenerwowanych. Obezwładnili ich. Musiał dopiero interweniować kapelan szpitala, by ich uwolnić.

Co tu dużo mówić: podstęp okazał się bardziej przykry dla nich niż dla księdza Bosko. Ksiądz Ponzati i ks. Nasi w pierwszym momencie poczuli się bardzo urażeni. Po pewnym czasie jednak zapomnie-

li o wszystkim. Zwłaszcza ks. Nasi stał się później wielkim krzewicielem muzyki w oratorium.

Tymczasem jednak wszyscy opuścili księdza Bosko. Pisał wtedy z goryczą: «Wszyscy oddalili się ode mnie. Moi współpracownicy zostawili mnie samego pośród około czterystu chłopców».

Były to chwile, w których rozsądek ludzki łamał się. Zadawano sobie pytanie: Czy ksiądz Bosko jest święty, czy niespełna rozumu? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Było to do pewnego stopnia powtórzenie sytuacji, w jakiej Franciszek z Assyżu rzucił ubranie swemu ojcu i odszedł nagi ze słowami: «Teraz mogę powiedzieć: Ojciec nasz, który jesteś w niebie»; było to też niejako powtórzenie sytuacji, w której Cottolengo wyrzucił ostatnie grosze przez okno, mówiąc z zadowoleniem: «Teraz będzie można stwierdzić, czy Mały Dom jest dziełem moim, czy dziełem Bożym». Któż może oskarżyć małych ludzi, kierujących się roztropnością i zdrowym rozsądkiem, że uznawali tamtych za szalonych?

Agonia na łące

W tym to właśnie czasie na łąkę przyszli właściciele (a może przysłał ich markiz?). Patrzyli na trawę, stratowaną niemiłosiernie przez osiemset drewniaków i butów. Zawołali księdza Bosko:

— Ależ tu robi się pustynia!

— Jeżeli tak dalej pójdzie, nasza łąka stanie się bitym gościńcem!

— Niech ksiądz wybaczy, lecz dalej tak być nie może. Zwalniamy księdza z zapłacenia dzierżawy, ale musimy się pożegnać!

Zostawili mu dwa tygodnie na zlikwidowanie wszystkiego. Dla księdza Bosko był to cios straszliwy. Do upokarzających przeżyć tamtych dni dołączyła się troska o szybkie znalezienie innej łąki. Tym razem jednak ksiądz nic nie znalazł. Któż bowiem zechce cokolwiek wydzierżawić pomyślniowi?

5 kwietnia 1846 r., ostatnia niedziela na łące braci Filippich, była jednym z najczarniejszych dni w jego życiu.

Poszedł z chłopcami do kościoła Madonna di Campagna. W czasie mszy św. przemówił do nich, ale nie stać go było na ani jedno pogodne zdanie. Powiedział, że patrzy na nich tak, jak patrzy się na ptaki, którym ktoś chce zniszczyć gniazdo. Zachęcił ich do modlitwy do Matki Bożej. Wszystko było przecież w Jej rękach.

W południe spróbował jeszcze raz porozmawiać z braćmi Filippi. Bez skutku. Czyż naprawdę miał pożegnać swych chłopców?

« Pod wieczór tego dnia — pisał potem — patrzyłem na tę gromadę rozbawionej młodzieży. Byłem sam, bez sił, ze zrujnowanym zdrowiem. Odszedłem na bok, zacząłem przechadzać się samotnie i nie potrafiłem powstrzymać łez. Boże mój! — wołałem — powiedz mi, co mam czynić! »

Nędzny szczep, z którego zrodziło się wszystko

Wtedy nadszedł wcale nie archanioł, ale jakiś jękający się człowieczek. Nazywał się Pankracy Soave, fabrykant sody i proszków do prania.

— Czy to prawda, że ksiądz szuka miejsca na laboratorium?

— Nie na laboratorium, ale na oratorium.

— Nie wiem, jaka jest różnica między tymi słowami, ale miejsce jest. Niech ksiądz przyjdzie i zobaczy. Właścicielem pomieszczenia jest uczciwy człowiek, pan Franciszek Pinardi.

Ksiądz Bosko przebiegł w pośpiechu około dwustu metrów i znalazł się przed « jednopiętrowym domkiem ze schodami i balkonem z drzewa stoczonego przez korniki, stojącym pośród ogrodów, łąk i pól. Chciałem wejść po schodach — pisze — ale Pinardi i Soave powiedzieli mi: Miejsce przeznaczone dla księdza znajduje się za domem. Była to szopa ».

Osoby zwiedzające Turyn, które przechodzą przez podwórze obok bazyliki M.B. Wspomożenia Wiernych, mogą zobaczyć ją jeszcze w głębi, w kącie wśród budynków: nędzna, mała sadzonka, z której rozwinęło się całe gigantyczne dzieło księdza Bosko. Widnieje na niej wielki napis: « Kaplica Pinardi », bowiem tutaj znajduje się teraz maleńka kaplica, bogato przyozdobiona malowidłami i ornamentami. Salezjanie urządzili ją na nowo w 1929 roku.

Ale gdy ksiądz Bosko przyszedł tam 5 kwietnia 1846 r., była to jedynie nędzna, niska szopa, oparta

o północną ścianę domu Pinardiego. Mur biegnący wokoło stwarzał pozory baraku. Szopa zbudowana była niedawno i służyła jako warsztat kapelusznika oraz magazyn dla praczek (w pobliżu płynął kanał, który uchodził do Dory). Szopa miała 15 m długości i 6 m szerokości. Obok niej znajdowały się dwa mniejsze pomieszczenia.

Ksiądz Bosko chciał zrezygnować.

— Jest za niska, nie odpowiada mi.

— Przerobię ją tak, jak ksiądz zechce — powiedział Pinardi. — Obniżę poziom podłogi, zrobię schodki, zmienię podłogę. Ale zależy mi na tym, by ksiądz tu urządził swoje laboratorium.

— To nie ma być laboratorium, ale oratorium — powtórzył ks. Bosko. Mały kościół, w którym zbieraliby się chłopcy.

Nieporozumienie było wywołane faktem, że w pobliżu rzeki budowano wówczas wiele warsztatów i różnych pracowni. Właściciel przez chwilę zastanawiał się, ale szybko dorzucił:

— Tym lepiej. Umiem śpiewać i przyjdę księdzu pomóc. Przyniosę dwa krzesła, jedno dla mnie, drugie dla żony.

Ksiądz Bosko był wciąż jeszcze niezdecydowany. Wreszcie powiedział:

— Jeżeli zapewni mi pan obniżenie poziomu podłogi o pół metra, zgodzę się.

Nie chciał już płacić dzierżawy miesięcznie. Zapłacił trzysta dwadzieścia lirów za cały rok z góry (ponad połowę swego rocznego uposażenia w Szpitaliku). Mógł odtąd dysponować szopą i okalającym ją pasmem ziemi. Tam chłopcy będą mogli się bawić.

Przyszedł do nich i powiedział:

— Co za radość! Najdrożsi! Znaleźliśmy oratorium! Będziemy mieli kościół, szkołę, podwórze, gdzie będzie można skakać i grać. Pójdziemy w niedzielę tam, gdzie dom Pinardiego!

Była to niedziela palmowa. Następna była niedziela Wielkanocna.

Gdy rozdzwoniły się dzwony

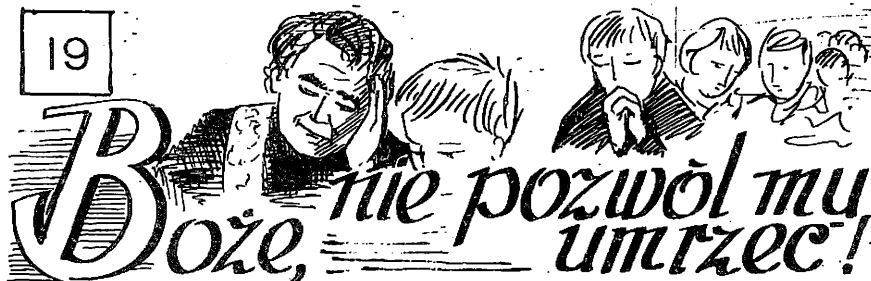
Franciszek Pinardi dotrzymał słowa. Wkrótce przyszli murarze, obniżyli poziom, wzmocnili mury i dach. Stolarze przerobili podłogę, pokrywając ją drewnianymi deskami. W sobotę wieczorem odnowione pomieszczenie było gotowe. Na skromnym ołtarzyku ksiądz Bosko umieścił świeczniki, krzyż, lampkę i mały obrazek św. Francisza Salezego.

Dzień 12 kwietnia stał się pamiętny dla wszystkich. W poranek Wielkanocny dzwony miasta rozkołysały się radośnie. W szopie Pinardiego nie było żadnego dzwonu, ale za to było bijące serce księdza Bosko, który wzywał swych chłopców do Valdocco.

Przychodzili falami. Wypełnili kościółek, okoliczne tereny i pobliskie łąki. W skupieniu i ciszy uczestniczyli w poświęceniu kaplicy i we mszy św., którą zaraz potem dla nich odprawił. Na koniec, w biegu porywając bułki rozproszyli się po łąkach. Rozsadzała ich radość. Radość, że mają wreszcie dom wyłącznie dla siebie.



Dom powstały z przebudowanej posiadłości Pinardiego



« Wczesnym rankiem otwierano kościół — pisze ks. Bosko, wspominając rozkład dnia, jaki obowiązywał w pierwsze niedziele — i rozpoczynało się słuchanie spowiedzi, które trwało aż do początku mszy św. »

Po mszy św. ksiądz Bosko opowiadał w odcinkach Historię Świętą, w typowy dla siebie sposób, żywy i interesujący. A potem, kto chciał, mógł brać udział w zajęciach szkolnych, które trwały aż do południa. O pierwszej po południu (ks. Bosko miał najwyżej godzinkę czasu na obiad i wypoczynek) zaczynały się zabawy: grano w kule, walczono na drewniane strzelby i szable, uprawiano gimnastykę. O wpół do trzeciej zaczynały się lekcje katechizmu. Następnie odmawiano różaniec, dopóki chłopcy nie nauczyli się śpiewać nieszporów. Potem było krótkie kazanie, śpiew litanii i błogosławieństwo eucharystyczne. Po wyjściu z kościoła był już czas wolny. Jedni dalej uczyli się katechizmu, inni śpiewali, jeszcze inni czytali. Większość bawiła się, biegając i skacząc aż do wieczora.

« Wszystkie te beztroskie rozrywki ułatwiały mi kontakt z każdym z osobna — wspomina ks. Bosko. — Słowkiem szepniętym do ucha — temu zalecałem większe posłuszeństwo, tamtemu większą punktualność na katechizmie, jeszcze innemu sugerowałem spowiedź itd... »

Był księdzem

Ksiądz Bosko bawił się, chodził po linie (mówi o tym wyraźnie), ale przede wszystkim był księdzem. W razie potrzeby potrafił postępować bardzo stanowczo. Dowodem tego jest m.in. taki fakt:

Pewien chłopiec, kilkakrotnie zachęcany przez ks. Bosko do wypełnienia obowiązku spowiedzi wielkanocnej, zawsze przyrzekał, ale nie dotrzymywał słowa. Któregoś popołudnia, gdy biegął z zapalem, ks. Bosko zatrzymał go i polecił mu udać się do zakrystii: « Chciał pójść tak jak stał — w koszuli.

— Nie — powiedziałem — włóż marynarkę i chodź!

Po przyjściu do zakrystii rozkazałem mu:

— Uklęknij na tym klęczniku.

— Czego ksiądz ode mnie chce?

— Chcę cię wyspowiadać.

— Nie jestem przygotowany.

— Wiem, przygotuj się, a potem cię wyspowiadam.

— Dobrze ksiądz zrobił przyprowadzając mnie tutaj, w przeciwnym razie nigdy bym się na to nie zdecydował.

Podczas gdy odmawiałem brewiarz, chłopak przygotował się jak umiał. Potem wypowiedział się i odprawił dziękczynienie. Odtąd już regularnie wypełniał swe obowiązki religijne ».

Pożegnanie na rondzie

Przed nadejściem nocy wszyscy gromadzili się w kaplicy na wieczorne modlitwy, kończące się zawsze pieśnią. A potem następowała piękna i wzruszająca scena pożegnania.

« Po wyjściu z kościoła — pisze ks. Bosko — każdy po tysiąc razy mówił dobranoc, nie mogąc rozstać się z kolegami. Na nic zdało się wielokrotne powtarzanie: Idźcie do domu, nadchodzi noc i wasze rodziny czekają na was!!! Musiałem pozwolić, by wszyscy zgromadzili się wokół mnie, a potem sześciu najsilniejszych chłopaków tworzyło z rąk rodzaj krzesła, na którym jak na tronie musiałem usiąść. Reszta ustawiała się w długim szeregu i niosąc mnie na tym fotelu z rąk, szła śpiewając, śmiejąc się i żartując aż do ronda (skrzyżowanie Corso Regina, nazywanego wówczas S. Massimo). Tam śpiewano jeszcze jakąś pieśń. Potem zapadało głębokie milczenie i mogłem życzyć wszystkim pomyślnego tygodnia i dobrej nocy. Wszyscy zaś, tak głośno, jak tylko potrafili, odpowiadali mi: dobranoc! Wówczas schodziłem z mego tronu, każdy wracał do swej rodziny, a kilku najstarszych z gromady odprowadzało mnie do domu, ledwie żywego ze zmęczenia ».

Wielu chłopców zwracało się z prośbą: « Księżę Bosko, niech ksiądz nie zostawia mnie samego w ciągu tygodnia. Niech mnie ksiądz odwiedzi! » I od poniedziałku murarze z placów budowy w Turynie byli świadkami dziwnego widowiska: jakiś ksiądz podciągał sutannę i wchodził na rusztowanie pomiędzy wiadra z wapnem i góry cegieł. Po spełnieniu swej posługi w Szpitaliku, w więzieniu i w szkołach miejskich, ks. Bosko wchodził na rusztowania, by odwiedzić swoich wychowanków. Było to dla nich prawdziwe święto. Rodzina, do której powracali wieczorem, w wielu przypadkach składała się nie z matki i ojca, którzy pozostali na wsi, ale z jakiegoś stryja czy innego krewnego, lub też z mieszkańców tej samej wsi. Czasami była to wręcz rodzina pracodawcy, pod opiekę której oddawano synów. Jednak chłopcy znajdowali tam mało ciepła. Stąd wielką radością było dla nich spotkanie z prawdziwym przyjacielem, który kochał ich i pomagał im.

Właśnie dlatego, że chciał ich dobra, ks. Bosko zatrzymywał się, by zamienić też parę słów z pracodawcami. Dowiadywał się o wynagrodzenie chłopców, o czas ich odpoczynku, o możliwość święcenia niedzieli. Należał do tych, co jako pierwsi domagali się zawarcia regularnych kontraktów z młodymi uczniami i pilnowali, by te kontrakty były respektowane.

Spotykał swych starych przyjaciół i szukał nowych. « Odwiedzał fabryki — poświadcza ks. Rua — gdzie było wielu terminatorów, i wszystkich zapraszał do swego oratorium. Zwracał się przede wszystkim do młodych przybyszów ze wsi ».

Ksiądz Bosko był jednak tylko człowiekiem. A siły ludzkie mają swoje granice. Po wiosennych napięciach psychicznych, z nastaniem ciepła jego zdrowie zaczęło pogarszać się niepokojąco.

Markiza Barolo, która bardzo ceniła księdza Bosko, zawezwała go na początku maja. Przy rozmowie tej był również obecny ks. Borel. Położyła przed księdzem Bosko zawrotną sumę pięciu tysięcy lirów (równowartość wynagrodzenia za okres 8 lat) i powiedziała stanowczo:

— Niech ksiądz weźmie te pieniądze i uda się, dokąd zechce, na absolutny wypoczynek.

Ksiądz Bosko odpowiedział:

— Dziękuję pani. Jest pani bardzo wspaniałomyślna, ale ja nie po to zostałem księdzem, by jeździć na kuracje.

— Niemniej, nie po to, by siebie zabijać! Dowiedziałam się, że ksiądz pluje krwią, że ma zrujnowane płuca. Jak długo może ksiądz tak ciągnąć? Proszę przestać chodzić do więzień i do domu Cottolengo. Przed wszystkim proszę zostawić na jakiś czas swych chłopców. Ksiądz Borel o nich pomyśli.

Ksiądz Bosko dopatrzył się w tym poleceniu znów, którejs już z rzędu, próby rozdzielenia go ze swymi podopiecznymi. Zareagował stanowczo:

— Na to nigdy się nie zgodzę.

Markiza straciła cierpliwość.

— Jeżeli nie chce ksiądz zgodzić się po dobroci, będą musiała postąpić inaczej. Ksiądz potrzebuje moich pieniędzy, by związać koniec z końcem. Wie

ksiądz, co powiem? Albo proszę pozostawić oratorium i odpocząć trochę, albo ja zwolnię księdza.

— Dobrze. Pani może znaleźć wielu księży na moje miejsce, ale moi chłopcy nie mają nikogo. Nie mogę ich opuścić.

Wypowiadając te heroiczne słowa, ksiądz Bosko mylił się. Pozornie wyglądało, że markiza tyranizuje go, a tymczasem to ona miała rację. Miały to potwierdzić najbliższe miesiące.

Ksiądz Bosko jest kapłanem świętym, ale jeszcze bardzo młodym (ma 31 lat) i do tego upartym. Nie potrafi właściwie ocenić granic swych możliwości. Podeszła wiekiem, bo już 61-letnia markiza okazuje się roztropniejsza od niego. Musiała być kobietą świątobliwą, jeżeli po tym wybuchu gniewu «*ukłękła przed ks. Bosko i poprosiła go o błogosławieństwo*», jak relacjonował ks. Giacomelli, dodając: «*nigdy tak ze mną nie postąpiła!*»

Ksiądz Bosko rzeczywiście pluł krwią i prawdopodobnie miał wysięk gruźliczy w płucach. A mimo to myślał o przyszłości. 5 czerwca 1846 r. wydzierżawił dla oratorium trzy pokoje na pierwszym piętrze w domu Pinardiego, za piętnaście lirów miesięcznie.

W tym okresie znów dał znać o sobie markiz Cavour. Każdej niedzieli wysyłał pół tuzina strażników, którzy mieli za zadanie śledzić ks. Bosko. W 1877 r. Jan Bosko powie do księdza Barberisa: «*Szkoda, że nie miałem wówczas aparatu fotograficznego. Byłoby przyjemnie zobaczyć teraz te setki młodych, zasłuchanych w moje słowa, podczas gdy sześciu umundurowanych strażników, stojąc po*

dwóch w trzech różnych punktach kościoła, z rękami założonymi przysłuchiwało się kazaniu. Przydali się bardzo do pilnowania chłopców, chociaż znajdowali się tam, by mnie pilnować. Niektórzy ukradkiem wierzchem dłoni ocierali sobie łzy. Dobrze by było mieć teraz fotografie tych strażników, klęczących pośród młodzieży wokół mego konfesjonału, wyczekujących na swoją kolej. Kazania bowiem głosiłem bardziej dla nich niż dla młodzieży. Mówiłem o grzechu, o śmierci, o sądzie, o piekle... »

« Boże, nie pozwól mu umrzeć! »

Pierwsza niedziela lipca 1846 r. Po morderczym dniu, spędzonym w oratorium w straszliwym upale, wracając do swego pokoju w Schronisku, ks. Bosko zemdłał. Zaniesiono go nieprzytomnego do łóżka. « Kaszel, stan zapalny, nieustanne ślady krwi ». Słowa te przypuszczalnie oznaczały zapalenie opłucnej, z wysoką gorączką, krwotoki gruźlicze — bardzo niebezpieczne choroby w tamtych czasach, zwłaszcza dla tego, kto miał już poprzednio podobne stany.

Po kilku dniach wydawało się, że ks. Bosko dogorywa. Przyjął sakrament ostatniego namaszczenia i wiatyk. Po rusztowaniach, wśród małych murarczyków i w warsztatach między młodymi mechanikami rozeszła się lotem błyskawicy wiadomość: « Książd Bosko umiera! » Wieczorami do pokoiku w Schronisku, gdzie leżał niemal w agonii, przychodziły grupy biednych, wystraszonych chłopców. Mieli na sobie zabrudzone, robocze ubrania, twarze ich

były białe od wapna. Bez kolacji — biegli na Valdocco. Płakali i modlili się:

— Boże, nie pozwól mu umrzeć!

Lekarz zakazał wszelkich wizyt i pielęgniarsz, posłany natychmiast do ks. Bosko przez markizę, nie pozwalał nikomu wejść do pokoju chorego. Chłopcy rozpaczali:

— Proszę mi pozwolić popatrzeć tylko na niego!

— Nie będę nic mówił!

— Chcę mu tylko powiedzieć jedno słowo, tylko jedno!

— Gdyby ksiądz Bosko wiedział, że tu jestem, na pewno kazałby mnie wpuścić.

Przez osiem dni ks. Bosko znajdował się między życiem a śmiercią. Byli tacy, którzy w ciągu tych ośmiu dni, pracując na palącym słońcu, nie wypili ani jednego łyku wody, by wyprosić u nieba łaskę jego powrotu do zdrowia. W sanktuarium M.B. Pocieszenia mali murarzczy modlili się w dzień i w nocy. Zawsze ktoś klęczał przed Madonną. Czasami oczy zamykały się im z wielkiego zmęczenia (przyszli po dwunastu godzinach pracy), ale dzielnie trwali na modlitwie. Niektórzy — z rozbijającą dla młodych wspaniałomyślnością — przyrzekli Matce Boskiej, że będą przez całe życie odmawiać codziennie różaniec, inni — że będą pościć o chlebie i wodzie przez jeden rok.

W sobotę nastąpił kryzys. Ksiądz Bosko nie miał zupełnie sił i najmniejszy ruch wywoływał krwotok. W nocy obawiano się końca. Stało się inaczej. Nastąpiło polepszenie — łaska wybłagana u Madonny przez chłopców, którzy nie mogli pozostać bez ojca.

Pod koniec lipca, w niedzielne popołudnie, opierając się na lasce, ks. Bosko udał się w kierunku oratorium. Chłopcy wybiegli mu naprzeciw. Najstarsi zmusili go, by usiadł na krześle, unieśli go na ramionach i w tryumfie zanieśli aż na podwórze. Śpiewali i płakali ze szczęścia ci jego mali przyjaciele. Płakał również i on sam. Weszli do kapliczki i wspólnie podziękowali Bogu za powrót do zdrowia. W ciszy pełnej napięcia ksiądz Bosko zdołał powiedzieć jedynie parę słów:

— Życie moje wam zawdzięczam. Bądźcie pewni, że odtąd je w całości wam poświęcę!

Są to najwspanialsze słowa, jakie ks. Bosko w ogóle wypowiedział. Są one « uroczystym ślubowaniem », mocą którego oddał się bez reszty młodzieży. Wyłącznie jej. Inne wielkie słowa (będące kontynuacją tych pierwszych) wypowiedział na łożu śmierci: « Powiedzcie moim chłopcom, że wszystkich ich oczekuję w niebie ».

Słabiutkie siły, jakimi dysponował tego dnia ksiądz Bosko wykorzystał na rozmowę z każdym wychowankiem z osobna, by — jak mówił — « zmienić w rzeczy możliwe do wykonania te śluby i przyrzeczenia, które wielu z nich uczyniło bez właściwej rozwagi, gdy groziła mi śmierć ». Jakże delikatny był ten gest!

Lekarze przepisali mu długa rekonwalescencję w absolutnym spokoju. Ksiądz Bosko udał się do Becchi, do domu brata i matki. Ale przyrzekł chłopcom:

— Gdy liście zaczną opadać, będę znów tutaj pośród was!

« Sakiewka albo życie! »

Podróżował jadąc na osle. Zatrzymał się w Castelnuovo, « zrzucony tam przez osiołka », i pod wieczór dotarł do Becchi.

Na podwórzu powitała go głośna radość bratanków. Antoni, który zbudował sobie mały domek naprzeciw tego, w którym mieszkali w dzieciństwie, miał pięcioro dzieci: 14-letniego Franka, 12-letnią Małgosię, 9-letnią Tereskę, 6-letniego Janka i 3-letnią Franję. Również Józef zbudował sobie, naprzeciw domu ojcowskiego, swój dom, w którym mieszkał z matką Małgorzatą i czworgiem dzieci. Filomena miała już jedenaście lat, Róża-Dominika osiem, Franek pięć, a Ludwiczek kwilił sobie jeszcze w kołysce.

Ksiądz Bosko zatrzymał się u Józefa. Doskonałe powietrze, milcząca miłość matki, coraz dłuższe spacerzy, które robił pod wieczór wśród winnic, gdzie winogrona zaczynały już różowieć, przywracały mu zdrowie i siły.

Co jakiś czas pisał do ks. Borela, aby uzyskać świeże wieści o swych chłopcach. W sierpniu, w czasie przechadzki, dotarł aż do Capriglio. W drodze powrotnej w małym lasku zatrzymał go ostry głos:

— Albo sakiewka, albo życie!

Ksiądz Bosko wystraszył się.

— Jestem księdzem Bosko. Pieniądzy nie posiadam.

Spojrzał na mężczyznę, który wychylił się zza drzew,

wymachując sierpem, i zmienionym głosem powiedział:

— Cortese, to ty chcesz odebrać mi życie?

Poznał, patrząc na tę zarośniętą twarz chłopaka, z którym zaprzyjaźnił się w więzieniu w Turynie. Również chłopak rozpoznał go i ze wstydu chętnie zapadłby się pod ziemię.

— Księżę Bosko, niech mi ksiądz przebaczy. Jestem bardzo nieszczęśliwy!

Opowiedział gorzką, ale jakże typową historię. Gdy zwolniono go z więzienia, w domu nie chciano o nim słyszeć: « Nawet matka odwróciła się ode mnie! Powiedziała, że przynoszę wstyd rodzinie. Pracy ani na lekarstwo. Gdy tylko usłyszano, że wyszedłem z więzienia, zamykano przede mną drzwi ».

Nim doszli do Becchi, ksiądz Bosko wypowiedział go i powiedział:

— Teraz chodź ze mną.

Przedstawił go swym krewnym:

— Spotkałem tego dobrego znajomego. Dziś zje z nami kolację.

Rano, po mszy św., dał mu list polecający do pewnego proboszcza i do kilku rzemieślników w Turynie. Uściskał go na pożegnanie.

Październik. W czasie długich, samotnych przechadzek, ks. Bosko stopniowo obmyślał sobie plany na najbliższą przyszłość. A więc gdy wróci do Turynu, zamieszka w mieszkaniu wydzierżawionym u Pinariego. Tam też powoli umieszczać będzie bezdomnych chłopców. Miejsce to jednak nie jest odpowiednie dla samotnego księdza. Niedaleko znajduje się karczma « Ogrodniczka », w której pijacy hałasują

do późnej nocy. Powinien zamieszkać z kimś, kto chroniłby go przed złośliwymi językami. Pomyślał o matce. Ale jak jej to powiedzieć? Małgorzata ma 58 lat i w Becchi wszyscy odnoszą się do niej jak do królowej. Jak wyrwać ją z tego domu, spośród wnuków, z pogodnych codziennych przyzwyczajzeń? Trochę rozgrzesza go myśl o trudnym okresie, jaki przeżywa wieś. W 1846 r. plony były nędzne, a na 1847 r. zapowiadały się jeszcze gorsze.

— Mamo — mówi do niej któregoś wieczoru, zdobywszy się na odwagę. — Czy mama nie zechciałaby zamieszkać trochę u mnie? Wydzierżawiłem na Valdocco trzy pokoje i wkrótce ulokuję tam opuszczonych chłopców. Kiedyś mi mama powiedziała, że jeżeli stanę się bogaty, nigdy mama nie przyjedzie do mnie. Tymczasem jestem biedny i mam mnóstwo długów, a mieszkanie w pojedynkę w tej dzielnicy jest trochę ryzykowne dla księdza.

Małgorzata zamyśliła się. Nie spodziewała się takiej propozycji. Ksiądz Bosko delikatnie nalega:

— Nie chciałybyś zostać matką moich chłopców?

— Jeżeli uważasz, że taka jest wola Boża — mówi — przyjadę.

Obcy i biedni

Wtorek 3 listopada. Liście spadały z drzew przy podmuchach wiatru. Ksiądz Bosko wybrał się do Turynu. Pod pachą dźwigał mszał i brewiarz. Obok niego szła matka Małgorzata. W koszyku niosła trochę bielizny i pożywienia.

Ksiądz Bosko listownie zawiadomił o swych decyzjach księdza Borela i « mały ojciec » był tak domyślny, że postarał się o przeniesienie paru mebli przyjaciela z pokoju w Schronisku do domu Pinardiego.

Dwoje pielgrzymów przebyło tę długą drogę pieszo. Gdy dotarli do ronda, pewien kapłan, przyjaciel ks. Bosko, rozpoznał ich i podszedł, by się przywitać. Byli zakurzeni i zmęczeni.

— Witaj, drogi księże Bosko! Jak się czujesz?

— Dziękuję, jestem zdrow. Zabrałem ze sobą matkę.

— Ale dlaczego przyszliście pieszo?

— Bo brak nam tego... — i uśmiechając się, zrobił wymowny gest palcami.

— A gdzie zamieszkasz?

— Tutaj, w domu Pinardiego.

— Ale jak wyżyjecie bez dochodów?

— Nie wiem. Opatrzność pomyśli o nas!

— Zawsze jesteś taki sam — powiedział znajomy, kiwając głową. Wyciągnął z kieszeni zegarek (wówczas przedmiot drogocenny i rzadki) i wręczył go księdzu Bosko.

— Chciałbym być bogaty, by ci pomóc. Na razie mogę zrobić tylko tyle.

Małgorzata weszła jako pierwsza do swego nowego domu. Trzy pokoiki, puste i nędzne, w których znajdowały się dwa łóżka, dwa krzesła i kilka garnków. Uśmiechnęła się i powiedziała do syna:

— W Becchi musiałam codziennie wiele się napracować, by wszystko uporządkować, wytrzeć

kurze, umyć garnki. Tutaj będę miała życie o wiele lżejsze.

Odetchnęli trochę, potem spokojnie zabrali się do pracy. Podczas gdy Małgorzata przygotowywała kolację, ksiądz Bosko zawiesił na ścianie krzyż, obrazek Matki Boskiej, pościelił łóżka na noc. Wspólnie z matką zaczął śpiewać:

« Guai al mondo — se ci sente
forestieri — senza niente ».

« Biada światu — jeśli usłyszysz nas
obcych i pozbawionych wszystkiego ».

Posłyszał ich jeden z chłopców, Stefan Castagno, i lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, przekazywana z ust do ust wśród młodych z Valdocco:

— Ksiądz Bosko powrócił!



Następnej niedzieli, 8 listopada, odbyła się wielka uroczystość. Ksiądz Bosko musiał usiąść pośród chłopców na fotelu, przyniesionym na łąkę, by wysłuchać ich śpiewów i życzeń.

Ksiądz Cafasso był przeciwny tak jego wczesnemu, sprzecznemu z zaleceniami lekarzy, powrotowi do pracy. Postarał się nawet, by arcybiskup wystąpił w tej sprawie.

« Pozwolono mi powrócić do oratorium — pisał ks. Bosko — lecz zakazano mi głosić kazania przez dwa lata ». Ale zaraz wyznaje: « Nie posłuchałem ».

Początki szkoły

Pierwszą troską księdza Bosko było ponowne otwarcie i poszerzenie szkoły wieczorowej. « Wydzierżawiłem jeszcze jedno pomieszczenie — mówi. — Uczyliśmy w kuchni, w moim pokoju, w zakry-

stii, na chórze i w kościele. Wśród uczniów nie brakowało również dzikich łobuzów, którzy niszczyli i przewracali wszystko. Po kilku miesiącach udało mi się wynająć dalsze dwa pokoje ».

Świadkowie tamtych dni wspominają: « Przyjemnie było popatrzeć, gdy wieczorem w oświetlonych pokojach kręciło się wielu chłopców, młodszych i starszych. Stali przed tablicami z książką w ręku, siedzieli w ławkach pisząc uważnie, siedzieli też na ziemi, gryzmołąc w zeszytach ogromne, koślawe litery ».

Księża Carpano, Nasi, Trivero, Pacchiotti powrócili i pomagali w oratorium. Sprawa « urojeń » księdza Bosko zupełnie ucichła w czasie jego choroby i długiej rekonwalescencji. Okazało się, że jeżeli ks. Bosko coś sobie postanowi, to nawet kosztem zdrowia i plucia krwią potrafi swój zamysł zrealizować.

Kontrakt z markizą Barolo wygaś w sierpniu i nie został już odnowiony. Ksiądz Bosko od czasu do czasu udawał się jeszcze do Szpitalika, by wygłosić kazanie dla chorych dziewcząt. A markiza, za pośrednictwem ks. Borela i ks. Cafasso, aż do roku 1864, to jest do swej śmierci, przekazywała zawsze hojne ofiary dla jego łobuzów.

Te drobne sprawy były niczym wobec groźnych wydarzeń, które wisały w powietrzu. Jedyłą rzeczywiście ważną rzeczą była ustabilizowanie oratorium i całkowite odzyskanie zdrowia. Tymczasem w powietrzu wisała wielka burza polityczna.

Papież Mastai-Ferretti przybiera imię Piusa IX

W 1846 r. Turyn podobny był do prochowni przed eksplozją.

W czerwcu papieżem został wybrany, pochodzący z Imoli, wolny od przesądów, kardynał Mastai-Ferretti. Przybrał on imię Piusa IX. Był to człowiek bardzo pobożny i prostolinijny. Nie był politykiem, nie sprzyjał też ideom liberałów. Był natomiast wielkim humanistą, dlatego wprowadzał w życie pewne reformy, na które od lat czekano w państwie kościelnym. Uznano je mylnie za reformy liberalne i stąd wynikły różne nieporozumienia.

W kilka dni po wyborze na papieża, pomimo sprzeciwu wielu kardynałów, Pius IX ogłosił szeroką amnestię polityczną. Wielu więźniów, których jedyną winą była przynależność do ruchów wolnościowych, odzyskało wolność. W następnych miesiącach przyhamował nadużycia policji i zmanifestował zdecydowane żądanie, by natrętna dyplomacja austriacka respektowała w większym stopniu niezależność Stolicy Apostolskiej.

Wiosną 1847 r. przyznał słuszną wolność prasie, ustanowił Konsultę Państwową (Consulta di Stato) z udziałem świeckich, zaproponowanych oddolnie, co do pewnego stopnia przypominało parlament. Pozwolił też na utworzenie Gwardii Cywilnej.

W atmosferze gorączkowych oczekiwań, zainicjowanych ukazaniem się książki Giobertiego pt. « Prymat », Pius IX wydał się liberałom bardzo oczekiwanym papieżem neogwelfickim. Wierzano, że papież Mastai doprowadzi do zjednoczenia Włoch,

do ich niepodległości w duchu liberalizmu. Wszędzie przyjmowano go z entuzjazmem, organizowano defilady i pochody z pochodniami ku jego czci.

Nie tylko zresztą liberałowie odnosili się w ten sposób do Piusa IX. Również przedstawiciele lewicy demokratycznej byli nim zafascynowani. Nawet Metternich, słynny kanclerz austriacki, żandarm absolutyzmu i konserwatyzmu, miał wykrzyknąć zmartwiony: « Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie papieża liberała! »

Pius IX nie był papieżem liberałem, choć przez prawie dwa lata wypadki i okoliczności zdawały się za tym przemawiać.

Latem 1847 r., aby zabezpieczyć się przed « papieżem liberałem », Metternich nakazał garnizonowi austriackiemu zająć miasto papieskie Ferrarę. Liberałowie interpretowali to posunięcie jako definitywne zerwanie stosunków pomiędzy Austrią a Stolicą Świętą oraz uznali za powód zdolny wywołać wojnę o niepodległość. Karol Albert oddał do dyspozycji papieża swoje wojsko, a Garibaldi, zaciągnięty w Ameryce, swój legion ochotników. Mazzini z Londynu pisał do Piusa IX płomienny list.

I tak Pius IX stał się symbolem wolności narodowej. Nigdy nie myślał o sprowokowaniu wojny, to okoliczności tak się dziwnie ułożyły. Wojna niepodległościowa, usankcjonowana jego imieniem, zawiła w powietrzu.

Po Rzymie — Turyn stał się ośrodkiem manifestacji ku czci Piusa IX i jego « liberalnych » poczynań.

Równoległe do wielkiej historii, w dolnym Valdocco toczy się skromna historia dnia powszedniego: bezustannie podejmowany trud dla dobra chłopców, milcząca walka z długami.

Ksiądz Bosko, któremu udało się w grudniu 1846 r. odnająć od Pankracego Soave wszystkie pokoje w domu Pinardiego oraz okoliczne tereny (za 710 lirów rocznie), kazał naprawić murek wokół łąki do zabaw i zbudować na dwóch jego krańcach bramę i furtkę. Dzięki temu mętne typy, które w niedzielę okupują «Ogrodniczka» i okoliczne domy, nie będą mogły już wchodzić na podwórze oratorium i przeszkadzać bawiącym się chłopcom. Część łąki (gdzie dzisiaj znajduje się sklepik z dewocjonaliami) ksiądz Bosko przekształca w ogród. Chłopcy nazywają go «ogrodem mamy Małgorzaty». Z powodu wydatków na dzierżawę i zapomogi dla najbiedniejszych — ciągle brakuje pieniędzy na żywność. Małgorzata, wiejska kobieta, stara się temu zaradzić sadząc ziemniaki i sałatę.

W niedzielę na okolicznych łąkach spotykają się również bandy wyrostków. Grają o pieniądze, piją wino, które kupują w wielkich ilościach w gospodarstwie, przeklinają, obrzucają wyzwiskami wchodzących do oratorium. Ksiądz Bosko cierpliwie stara się ich pozyskać. Czasami siada z nimi i gra w karty. Powoli udaje mu się nawet wielu przyciągnąć do siebie. Zdarza się jednak, że gdy prowadzi katechizm na dworze, jego wychowankowie muszą uciekać do kaplicy przed gradem kamieni. Ksiądz Bosko

wiedział dobrze, że nawet pięciuset chłopców, których zbierał w swym oratorium, było niczym wobec tych wyrostków, pozbawionych wiary i chleba, włączających się beczynn timer po mieście.

Osada Vanchiglia, leżąca w pobliżu Valdoco, stała się przystanią band chuliganów, którzy dawali się we znaki karabinierom okolicznej ludności. Bandy te utrzymywały się z kradzieży pieniędzy i pakunków należących do ludzi powracających z targu. Często też dochodziło między bandami do walk na kamienie, a nawet na noże.

Przechodzący tamtędy ksiądz Bosko nieraz wkraczał pomiędzy walczące strony, starając się rozdzielić je szturchańcami i pięściami. Przy takiej okazji ktoś uderzył go drewniakiem w twarz. « Nie szturchańcami... » — powiedziano mu we śnie, ale przecież i w zakresie snów obowiązują wyjątki...

Ksiądz — « złodziej »

Jednym ze sposobów, stosowanym przez księdza Bosko dla przyciągnięcia chłopców do oratorium, było odwiedzanie sklepów, w których pracowali. Zwracał się wówczas do właściciela z zapytaniem:

— Czy mógłby mi pan wyświadczyć pewną grzeczność?

— Jeżeli tylko będę mógł.

— Jasne, że będzie to możliwe! Proszę przysłać mi chłopców w niedzielę do oratorium na Valdocco. Będą mogli nauczyć się trochę katechizmu i staną się lepsi.

— O, tego im bardzo potrzeba. Niektórzy są leniwi, niegrzeczni.

— Ależ nie! Czyż nie wyglądają na dżentelmenów? A więc umowa stoi: w niedzielę czekam na nich w oratorium. Razem pobawimy się i pogramy.

Wobec innych stosował taktykę odmienną.

Podczas gdy ks. Borel pilnował oratorium, ksiądz Bosko szedł na place i ulice odległych dzielnic miasta. Grupki wyrostków grały na chodnikach o pieniądze. Karty krążyły od jednego do drugiego, a banknoty (czasami piętnaście, dwadzieścia lirów) leżały zebrane pośrodku na chusteczce. Ksiądz Bosko, najpierw dobrze oceniwszy sytuację, w pewnym momencie gwałtownym ruchem porwał chusteczkę i zaczynał z nią uciekać. Zaskoczeni gracze rzucali się z krzykiem w pogoń:

— Pieniądze! Oddaj nam pieniądze!

Wszystko już widzieli ci biedni chłopcy, ale księdza złodzieja nigdy jeszcze nie spotkali. Ksiądz Bosko gnał co sił w kierunku oratorium, wołając:

— Oddam je, jeżeli mnie dogonicie. No dalej, biegnijcie!

Przez bramę wpadał na łąkę, potem do kaplicy, a oni tuż za nim. Na ambonie stał wówczas ksiądz Carpano albo ks. Borel, przemawiając do tłumnie zebranej młodzieży. Zaczynało się przedstawienie. Ksiądz Bosko udawał, że jest wędrownym handlarzem, podnosił chusteczkę i wołał:

— Nugaty, nugaty! Kto kupi nugaty? Kaznodzieja udawał, że traci cierpliwość.

— Wynocha stąd! Nie jesteśmy na rynku!

— Ale ja muszę sprzedać nugaty! Jest tu tylu chłopców! Czy nikt się nie zgłasza?

DIALOG prowadzony był w dialekcie piemonckim i chłopcy śmiali się do rozpuku. Nowi przybysze stali w osłupieniu. Gdzież to się znaleźli?

Tymczasem księża wesoło się przekomarzali. Powoli zaczęli skierowywać rozmowę na temat pieniędzy, klątw, mówili o radości płynącej z przyjaźni z Bogiem. Wreszcie i ci, którzy przybiegli tu za « złodziejem », zaczęli się śmiać i interesować poruszonymi sprawami.

W końcu zaczynał się śpiew litanii. Speszeni hazardziści, przeciskając się do księdza Bosko, pytali:

— A pieniądze ksiądz nam odda?

— Za chwilę, po błogosławieństwie.

Gdy wychodzili na podwórze, zwracał im zawartość chusteczki i częstował podwieczorkiem. Kazał sobie przyrzec, że « odtąd na zabawy będą tutaj przychodzić ». Wielu z nich rzeczywiście przychodziło potem do oratorium.

Przykre sąsiedztwo

Stefan Castagno, wówczas młody chłopak, tak później opowiadał: « Ksiądz Bosko był zawsze pierwszy we wszystkich zabawach, był duszą rekreacji. Nie wiem jak to robił, ale znajdował się w każdym zakątku podwórza, pośród wszystkich grup młodzieży. Wszystkich nas miał na oku. Byliśmy rozczochrani, często brudni, natrętni, kapryśni. A

on lubił przebywać z najbiedniejszymi. Najmłodszym okazywał matczyną miłość. Często wszczynaliśmy kłótnię, biliśmy się. Wtedy nas rozdzielał, podnosił rękę, jakby nas chciał uderzyć, ale nigdy nikogo nie tknął, odciągał tylko siłą, biorąc za ramiona ».

Józef Buzzetti wspomina: «Poznałem setki chłopców, którzy przychodzili do oratorium bez żadnej ogłady i uczuć religijnych, a zmieniali postępowanie w bardzo krótkim czasie. Przywiązywali się tak bardzo do naszego oratorium, że już nie odchodził z niego nigdy, przystępowali do spowiedzi i komunii św. w każdą niedzielę ».

Mocno dawała się we znaki, szczególnie latem, «Ogrodniczka », pobliska, bardzo uczęszczana gospoda. W kaplicy, gdy okna i drzwi były otwarte, słyhać było pijackie śpiewy i wrzaski. Bywało, że wściekłe kłótnie zagłuszały głos kaznodziei. Niejednokrotnie ks. Bosko był zmuszony zejść z ambony, zdjęć komżę i stułę i udać się do gospody, by uciszyć pijaków, grożąc przywołaniem karabinierów.

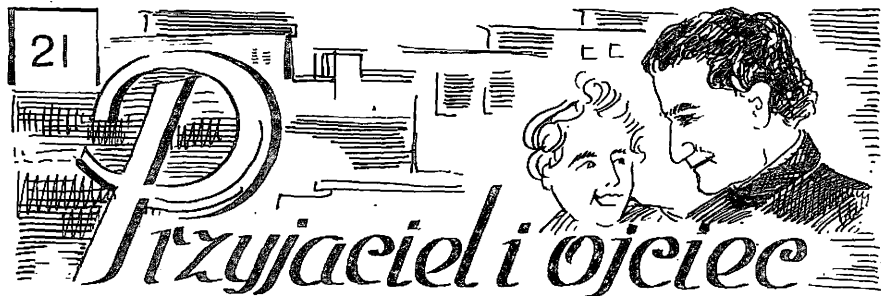
Młodzi nauczyciele i pomocnicy świeccy

Oratorium coraz bardziej potrzebowało współpracowników. Księża Borel, Carpano i inni w niedzielę często zajęci byli gdzie indziej. Skąd wziąć wychowawców, katechetów i nauczycieli, zwłaszcza do szkoły wieczorowej?

Ksiądz Bosko przypomniał sobie, że we śnie «wiele baranków zmieniło się w pasterzy ». Zaczął

więc szukać pomocników pomiędzy swoimi chłopcami. Wybrał spośród najstarszych tych najlepiej sprawujących się i zaczął ich szkolić oddzielnie. « Ci młodziutcy nauczyciele — pisze ks. Lemoyne — ośmiu lub dziesięciu na początku — okazali się doskonali, co więcej, niektórzy z nich zostali później wspaniałymi kapłanami ».

Przyszli z pomocą także ludzie świeccy z miasta: złotnik, dwóch kupców, sklepikarz, pośrednik handlowy oraz cieśla.



W zimie 1846/47 zdarzył się dramatyczny wypadek.

Czternastoletniemu chłopcu, który od dawna uczęszczał do oratorium, ojciec sklepikarz, notoryczny pijak, zakazał brać udziału w tych spotkaniach. Ten nie posłuchał ojca i w dalszym ciągu tam przychodził. Ojciec zagroził synowi, że go zabije, jeżeli jeszcze raz się to powtórzy.

Pewnego niedzielnego wieczoru chłopak wyszedł z oratorium później niż zwykle. W domu czekał już na niego kompletnie pijany rodzic, z siekierą w ręce. Niósł ją, krzycząc:

— Byłeś u księdza Bosko!

Chłopiec przerażony zaczął uciekać. Ojciec pobiegł za nim wołając:

— Zabiję cię jak psa!

Drzewo i mgła

Obecna przy tej scenie matka pobiegła za mężem, by go powstrzymać. Dzięki młodemu wiekowi i sprawnym nogom chłopca udało mu się przybiec

do oratorium szybciej od ojca, ale zastał bramę zamkniętą. Pukał rozpaczliwie, aż wreszcie wyczerpany z sił nie słysząc, by ktoś nadchodził otworzyć, wspiał się na wielką morwę, stojącą opodal. Bezlistne drzewo nie dawało bezpiecznego schronienia, ale na szczęście noc była ciemna i mglista.

Po chwili przybiegł zasapany pijak ze swoją siekierą. Głośno dobijał się do bramy. Małgorzata, która przypadkiem dostrzegła przez okno wdrapującego się na morwę chłopca, uprzedziwszy najpierw o wszystkim ks. Bosko, poszła otworzyć furtkę. Gdy tylko ją uchyliła, pijak wpadł na schody i wtargnęwszy do pokoju księdza Bosko, krzyczał groźnie:

— Gdzie jest mój syn?

Ksiądz Bosko zdecydowanie powiedział:

— Tutaj waszego syna nie ma.

— Musi tu być! — Zaczął otwierać szafy i drzwi. — Znajdę go i zabiję!

— Powiedziałem już panu — ostro zareagował ksiądz Bosko — że tu go nie ma. A nawet gdyby był — ten dom jest mój i nie ma pan żadnego prawa, by tu wchodzić. Albo pan wyjdzie, albo zawezwę karabinierów.

— Niech się ksiądz nie trudzi. To ja zaraz pójde do karabinierów i ksiądz będzie mi musiał oddać syna.

— Świetnie, wobec tego idziemy razem. Mam też co nieco do zakomunikowania im o pańskim postępowaniu. Nadarza się dobra okazja.

Człowiek ten miał się z czym kryć, dlatego wolał wycofać się, grożąc jednak nieustannie. Gdy odszedł, ks. Bosko z matką podeszli pod morwę. Ksiądz

po cichu zawołał na chłopca. Żadnej odpowiedzi. Powtórzył głośniej:

— Zejdź już, kochany, nie ma tu już nikogo. Żadnego znaku życia. Zaniepokojony tą ciszą, wszedł po drabinie na drzewo i zobaczył skulonego nieruchomo zbiega, z wybałuszonymi ze strachu oczyma. Potrząsnął nim. Jakby zbudzony z koszmarnego snu, chłopak zaczął krzyczeć i wyrwać się gwałtownie. Niewiele brakowało, by obaj spadli z drzewa. Ksiądz Bosko musiał go mocno ścisnąć, szepcząc jednocześnie:

— Nie ma tu twego ojca. To ja jestem. Nie bój się!

Powoli chłopiec uspokoił się i zaczął cicho płakać. Wtedy ksiądz pomógł mu zejść z morwy i zaprowadził do kuchni. Matka Małgorzata przygotowała coś gorącego do zjedzenia, a ks. Bosko rozłożył obok pieca siennik, by chłopiec mógł się przespać w ciepłe. Następnego dnia, dla ochrony przed złością ojca, wysłał go do pewnego gospodarza, mieszkającego w pobliskiej osadzie. Chłopak mógł powrócić do domu dopiero po dłuższym czasie.

To właśnie wydarzenie — być może — jeszcze bardziej pogłębiło troskę ks. Bosko, jaką nosił w sercu wiedząc, że niektórzy jego wychowankowie wieczorem nie mieli gdzie się podziać. Spali pod mostami albo w posępnych schroniskach publicznych. Już od dłuższego czasu ksiądz przemyślał nad tym, jakby przyjąć do swego domu tych najbardziej potrzebujących.

Pierwszy krok w tym względzie uczynił pewnego kwietniowego wieczoru 1847 r. Po prawej stro-

nie domu Pinardiego, patrząc na niego od frontu, znajdowała się mała szopa na siano (obecnie przejście do wielkiego podwórza tylnego). Tam właśnie ks. Bosko pozwolił tego wieczoru przespać się sześciu chłopcom. Spotkało go rozczarowanie. Następnego ranka goście zniknęli, zabierając koce, które pożyczyła im Małgorzata.

Ksiądz Bosko powtórzył próbę po kilku dniach. Skończyła się jeszcze gorzej: chłopcy skradli mu również siano i słomę. Ale ksiądz Boso nie zniechęcił się.

Zmoknięty i skostniały chłopiec

Majowy zmierzch. Leje jak z cebra. Ksiądz Bosko i jego matka dopiero co skończyli kolację, gdy ktoś zapukał do bramy. Był to chłopiec, mający może piętnaście lat, zupełnie zmoknięty i skostniały z zimna.

— Jestem sierotą. Przychodzę z Valsesia. Jestem murarzem, ale nie znalazłem pracy. Jest mi zimno i nie wiem dokąd mam pójść...

— Wejdz — powiedział ks. Bosko. — Stań przy ogniu, bo tak przemoczony możesz łatwo rozchorować się.

Matka Małgorzata przygotowała mu coś do zjedzenia, a potem zapytała:

— A teraz dokąd zamierzasz pójść?

— Nie wiem. Miałem trzy liry, gdy przyszedłem do Turynu, ale wydałem już wszystko. — Zaczął cicho płakać. — Proszę, nie wyrzucajcie mnie!

Małgorzata myśląc o kocach, które jej skradziono, powiada:

— Mogłabym cię zatrzymać, ale kto mnie zapewni, że nie skradniesz mi garnków?

— O nie, proszę pani! Jestem biedny, ale nigdy nic nie ukradłem.

Ksiądz Bosko wyszedł tymczasem pomimo deszczu i przyniósł kilka cegieł. Ustawił cztery podpórki, na których położył deski. Potem ze swego łóżka zdjął siennik i rozłożył go na tak przygotowanym pościeliu.

— Będziesz spał tutaj. I zostaniesz, jak długo będzie to konieczne. Ksiądz Bosko nie wyrzuci cię stąd.

We « Wspomnieniach » dodaje: « Moja dobra matka zachęciła go do modlitwy.

— Nie umiem się modlić — odpowiedział,

— Pomódlisz się razem ze mną — zdecydowała.

A potem powiedziała mu jeszcze krótkie kazanko na temat pracy, wierności, religii ».

Salezjanie w tym kazanku matki Małgorzaty dopatrują się pierwszego « słówka wieczornego » na dobranoc (kilka zdań, wypowiedzianych przez przełożonego domu), jakim zamyka się dzień w zakładach wychowawczych ks. Bosko, a które on sam uważał za « klucz moralności, dobrego postępu i sukcesu ».

Matka Małgorzata widocznie nie była zbyt przeświadczona o skuteczności swych słów, skoro ks. Bosko zanotował: « Aby wszystko właściwie zabezpieczyć, kuchnia została zamknięta na klucz, aż do następnego rana ».

Był to pierwszy sierota, który wszedł do domu księdza Bosko. Do końca roku było ich siedmiu. W przyszłości miały być tysiące.

Drugim był dwunastoletni, bezdomny chłopiec z rozbitej rodziny. Ksiądz Bosko spotkał go na Viale San Massimo (dzisiaj Corso Regina Margherita). Stał płacząc, z głową opartą o drzewo. Nie miał już ojca, matka umarła mu poprzedniego dnia. Właściciel domu wyrzucił go z mieszkania, zatrzymując całe mienie jako rzekomą należność za niezapłacony czynsz. Tego chłopca ksiądz też zaprowadził do matki Małgorzaty. Potem wyszukał mu pracę ekspedienta w sklepie. Powoli chłopcu udało się wyrobić dobrą pozycję. Pozostał na zawsze przyjacielem swego dobroczyńcy.

Jako trzeci zamieszkał Józef Buzzetti, murarczyk z Caronno Ghiringhello. Zaprosił go sam ksiądz Bosko. Pewnego niedzielnego wieczoru, gdy żegnał się z oratorianami, ujął Józefa za rękę.

— Chciałbyś mieszkać ze mną?

— Chętnie.

— Pomówię o tym z Karolem.

Jego starszy brat Karol, już szósty rok uczęszczał do oratorium. Zgodził się na wysuniętą propozycję. Przez piętnaście lat Józef pracował jako murarz w mieście, ale dom matki Małgorzaty stał się jego domem.

Mały fryzjerczyk drżał jak listek

Potem dołącza się Karol Gastini. Pewnego dnia 1843 r. ks. Bosko wszedł do fryzjera. Stanął przy nim mały uczeń, by namydlić mu twarz.

— Jak się nazywasz? Ile masz lat?

— Na imię mi Karol. Mam jedenaście lat.

— Świetnie, Karolu namydlij mnie ładnie. A twój tatuś jak się czuje?

— Nie żyje. Mam tylko mamusię.

— Biedaku, tak mi przykro!

Terminator skończył namydlenie.

— Teraz śmiało weź brytwę i bierz się do golenia.

Nadbiegał zaaferowany właściciel.

— Wielebny księżę, chłopiec nie umie jeszcze golić. On tylko namydla klienta.

— Przecież kiedyś musi zacząć to robić, prawda? Wobec tego niech zacznie ode mnie. No, Karolku, do dzieła!

Chłopiec golił księdza Bosko drząc przy tym jak listek. Gdy brzytwą zaczął skrobać podbródek, cały się spocił. Wprawdzie przydarzyło mu się jakieś małe skaleczenie klienta, ale ostatecznie doznał szczęśliwie do końca.

— Doskonale, Karolku! — uśmiechnął się ksiądz Bosko. — Sądzę, że od dziś będziemy przyjaciółmi i chciałbym byś przyszedł mnie czasem odwiedzić.

Gastini zaczął rzeczywiście uczęszczać do oratorium i bardzo zaprzyjaźnił się z księdzem Bosko.

Latem tego samego roku ks. Bosko spotkał go płaczącego w pobliżu zakładu fryzjerskiego.

— Co się stało?

— Umarła moja mamusia, a szef wypowiedział mi pracę. Mój starszy brat jest w wojsku, a ja nie mam gdzie się podziać.

— Chodź ze mną!

Gdy wchodzili do Valdocco, Karol Gastini posłyszał zdanie, które usłyszy później bardzo wielu chłopców. Nie zapomni go nigdy: « Widzisz, jestem biednym księdzem, ale choćbym miał kiedyś tylko jeden kawałek chleba, podzielę się nim z tobą! »

Matka Małgorzata przygotowała jeszcze jedno łóżko. Karol pozostał w oratorium ponad pięćdziesiąt lat. Wesoły, żywy, stał się świetnym organizatorem rozmaitych uroczystości. Jego pełne zdrowego humoru scenki wywoływały wiele wesołości. Ale gdy opowiadał o księdzu Bosko, płakał jak dziecko, mówiąc: « On mnie naprawdę kochał! » Często śpiewał refren, który wszyscy znali na pamięć:

« Io devo vivere — per settant'anni
a me lo disse — papà Giovanni! »

« Muszę przeżyć siedemdziesiąt lat
powiedział mi to tatuś Jan! »

Była to jedna z wielu « przepowiedni », które na w pół serio, na w pół żartem ks. Bosko obwieszczał swym chłopcom. Karol Gastini umarł 28 stycznia 1902 r. Miał wówczas siedemdziesiąt lat i jeden dzień.

Dla przygarniętych sierot trzeba było dwa sąsiadujące ze sobą pokoje przekształcić w sypialnię. Osiem łóżek, krzyż, obrazek Matki Bożej i napis: « Bóg cię widzi! »

Wcześniej rano ks. Bosko odprawiał mszę św., w której wszyscy uczestniczyli, odmawiając następnie modlitwy poranne i różaniec. Potem brali bułkę do kieszeni i szli do miasta, do pracy. Wracali na obiad, a później na kolację. Pierwsze danie było zawsze obfite. Drugie natomiast uzależnione

było od rodzaju jarzyn w ogrodzie matki Małgorzaty i od pieniędzy w sakiewce gospodarza domu.

W tych pierwszych miesiącach pieniądze zaczęły się stawać dramatycznym problemem dla księdza Bosko. Zresztą pozostały problemem do końca jego życia. Pierwszą dobrodziejką była nie hrabina, ale matka. Ta biedna wieśniaczka kazała przysłać z Becchi swoją wyprawę ślubną, pierścioneł, kolczyki, korale, które dotąd zazdrośnie przechowywała. Od śmierci swego męża nigdy już ich nie nosiła. Sprzedała wszystko, by móc wyżywić przygarnięte sieroty.

Mitra arcybiskupa

Ten załazek pierwszego domu salezjańskiego został nazwany przez księdza Bosko « domem należącym do oratorium św. Franciszka Salezego ».

W maju tego samego roku ks. Bosko założył dla chłopców z oratorium « Towarzystwo św. Alojzego ». Należący do Towarzystwa przyjmowali na siebie trzy zobowiązania, mianowicie: przyrzekali świecić dobrym przykładem, unikać złych rozmów, uczęszczać do sakramentów świętych. Towarzystwo w krótkim czasie skupiło grupę młodzieży, dążącej do ciągłego postępu w dobrym i wspierającej się wzajemnie na tej drodze.

Miesiąc później, 21 czerwca, po raz pierwszy uroczystie obchodzono dzień patronalny św. Alojzego, którego osobę ks. Bosko zawsze stawiał młodym za wzór czystości. Przybył też wtedy arcybiskup i

udzielił bierzmowania tym spośród chłopców, którzy jeszcze nie przystąpili do tego sakramentu.

« To przy tej okazji — wspomina ks. Bosko — arcybiskup, w momencie gdy włożono mu na głowę mitrę, zapominając, że nie znajduje się w katedrze, szybko uniósł się i zawadził nią o sufit kapliczki. Uśmiechnęliśmy się wszyscy, on również ». Monsignor Frasoni powiedział po cichu: « Trzeba okazać szacunek chłopcom księdza Bosko i kazanie wygłosić bez nakrycia głowy ».

We wrześniu ksiądz Bosko kupił pierwszą figurkę Matki Bożej. Kosztowała 27 lirów. Znajduje się dotąd w kapliczce Pinardiego. Wchodząc do kaplicy, można ją zobaczyć po prawej stronie. Chłopcy obnosili ją w procesji po okolicy, gdy odbywały się wielkie uroczystości ku czci Madonny. Ta « okolica » sprowadzała się do kilku domostw, do « Ogrodniczki » z hałasującymi zawsze pijakami, dwóch małych kanałów nawadniających ogrody i pola, oraz do maleńkiej kapliczki obrośniętej morwami (Via della Giardiniera), przecinającej wzdłuż średnicy obecne podwórze obok Bazyliki Matki Boskiej Wspomożycielki.

« Gdy w ulu roją się pszczoły »

W tych samych miesiącach 1847 r. siły liberalne wywierają nacisk na Karola Alberta, by zapoczątkował program reform. Ale król boi się Austrii i nie chce, by ktoś prowadził go za rękę. Chwiejny bardziej niż kiedykolwiek, raz robi krok naprzód, to

znów się cofa. Demonstracje ludowe z okrzykami: « Niech żyje Pius IX » zostają rozpędzane przez policję. Król oświadcza, że « myśli o reformach, ale pragnie, by naród zachował spokój ».

W listopadzie Karol Albert, Leopold Toskański i Pius IX podpisują wstępne układy, dotyczące Lega Italica, czyli unii celnej pomiędzy państwami. Wydaje się to być początek federacji państw włoskich, wymarzonej przez Giobertiego. Cały Turyn manifestuje swój entuzjazm dla króla.

Podczas tych wydarzeń, ksiądz Bosko dalej prowadził swą pracę wychowawczą. Do oratorium przychodziło już bardzo wielu chłopców. Ksiądz Lemoyne określa ich liczbę na osiemset. Przybywali nawet z dalekich przedmieści. Ksiądz Bosko, po wspólnej naradzie z ks. Borelem i ks. Carpano, doszedł do wniosku, że trzeba otworzyć drugie oratorium, w południowej części miasta.

Przy alei, która dziś nazywa się Corso Vittorio, stały wówczas biedne domki, zamieszkałe przez praczki. Białe płachty bielizny, wiszącej na słońcu, nadawały specyficzny wiejski charakter temu przedmieściu Turynu o nazwie « Porta Nuova ». Przychodzili tu na przechadzki niedzielne zamożni mieszczanie, a w ciągu tygodnia całe watahy wyrostków zabawiały się tu w wojnę.

Za zgodą arcybiskupa, ksiądz Bosko wynajął od pani Vaglianti domek, szopę i łąkę w pobliżu żelaznego mostu, za 450 lirów rocznie. A potem tak powiadomił swoich chłopców:

« Moi kochani, gdy w jednym ulu pszczoły zbyt szybko się rozmnożą, część z nich wylatuje i za-

mieszkuje gdzie indziej. Będziemy je naśladować. Otworzymy drugie oratorium, założymy nową rodzinę. Ci z was, którzy mieszkają w częściach południowych miasta, nie będą musieli wędrować tak daleko: od dnia święta Niepokalanej będą mogli uczęszczać do oratorium św. Alojzego w dzielnicy "Porta Nuova", przy żelaznym moście ».

Ksiądz Borel poświęcił nową placówkę 8 grudnia 1847 roku. Podczas tej bardzo mroźnej zimy dyrektorem nowego oratorium został ks. Carpano. Chodził tam pieszo, dźwigając wiązkę drewna, by rozpalić ogień w zakrystii i ogrzać się przy nim razem z gromadką chłopców.



W 1848 r. narody europejskie podobne były do eksplodujących składów amunicji.

Ognie rewolucji objęły najpierw przede wszystkim miasta: Paryż (w nocy z 23 na 24 lutego), Wiedeń (13 marca), Berlin (15 marca), Budapeszt (15 marca), Wenecja (17 marca), Mediolan (18 marca). Walki uliczne na barykadach szybko przekształciły się w regularne wojny i bitwy. W przeciągu kilku miesięcy cała Europa stanęła w płomieniach.

Eksplozja była tak gwałtowna, że 3 kwietnia car Mikołaj zapytywał w Rosji: « Cóż się ostoi w Europie? » Odtąd wszelkie chaotyczne zamieszki, w żargonie ludowym włoskim zaczęto określać jako « un quarantotto » — « czterdzieści osiem ».

Nie zamierzamy tutaj, podobnie jak poprzednio, przedstawiać pełnego obrazu historii Włoch i Europy, ale pragniemy wspomnieć o głównych wydarzeniach w Turynie i Piemencie, które wywarły głęboki wpływ również na działalność księdza Bosko.

Liberałowie, patrioci i robotnicy na barykadach

Nie można zrozumieć tego « trzęsienia ziemi » w 1848 r., jeżeli nie weźmie się pod uwagę trzech zasadniczych, splatających się ze sobą elementów: prądów liberalnych, walczących o ustanowienie systemów konstytucyjnych na miejsce absolutyzmu, dążeń wolnościowych poszczególnych narodów i ruchów robotniczych, żądających większej sprawiedliwości społecznej. Jednym słowem, na barykadach różnych miast europejskich walczyli ramię w ramię liberałowie, domagający się konstytucji, patrioci, dążący do oswobodzenia własnej ojczyzny spod jarzma cudzoziemców, i robotnicy. Ci ostatni występowali przeciwko właścicielom fabryk, którzy wymagali od nich 12-14 godzinnego dnia pracy. Ruch robotniczy dał szczególnie znać o sobie w Paryżu. Barykady, ustawione 24 lutego we wschodnich dzielnicach miasta zapoczątkowały Wiosnę Ludów. Zwycięstwo było błyskawiczne. Po obaleniu monarchii Ludwika Filipa, mieszczenie i robotnicy sprzymierzyli się. Proklamowano prawo do pracy, a dzień pracy skrócono do 10 godzin.

Ale po czterech miesiącach (w wyniku poważnych błędów popełnionych przez proletariat i z powodu nietolerancji burżuazji) nastąpił równie błyskawiczny odwet. Paryż, w którym było podówczas 140 tysięcy robotników, został zdobyty przez generała Cavaignac w ciągu czterech dni okrutnych walk (23-26 czerwca). Zastosowano straszne represje. Dzień pracy wydłużono znowu do 12 godzin.

We Włoszech ruch robotniczy dał znać o sobie jedynie na barykadach w Mediolanie. Rewolucji

1848 r. przewodzili liberałowie, którzy domagali się rządów konstytucyjnych, i patrioci którzy parli do wojny niepodległościowej przeciwko Austrii. Pod jej okupacją znajdowało się terytorium Lombardii i okręg Wenecki.

Konstytucja nazwana Statutem

W Turynie rok 1848 rozpoczyna się powszechną dyskusją o wiszącej w powietrzu wojnie. Wszystkich zajmuje polityka: krytykują ustawy, wysuwają projekty, ogłaszają proklamacje.

30 stycznia nadchodzi wiadomość, że w Neapolu król Ferdynand zezwolił na konstytucję; w Mediolanie mieszczanie bojkotują Austriaków. Zarząd Miasta Turynu udaje się do Karola Alberta i żąda przyznania konstytucji.

7 lutego Karol Albert zwołuje nadzwyczajne posiedzenie Rady Korony i oświadcza, że gotów jest przeanalizować schemat konstytucji (zwanej Statutem), gwarantującej wolność religii i honor monarchii.

4 marca wobec Rady Korony Karol Albert podpisuje Statut. Kończy się władza absolutna, nastaje ustrój parlamentarny. Naród włoski potrzebowałby teraz długiego okresu pokoju, by bez wstrząsów zorganizować swoje życie demokratyczne.

Tymczasem w następnych dniach nadeszły ważne wiadomości. Wiedeń zbuntował się i cesarz musiał usunąć Metternicha (13 marca). Pius IX przyznał konstytucję (14 marca). Wybuchają rewolucje w

Berlinie i Budapeszcie (15 marca), a wkrótce jeszcze dwie dalsze: w Wenecji przeciwko Austriakom (17 marca) i w Mediolanie przeciwko armii Radetzkiego (18 marca).

19 marca z Mediolanu przyjeżdża hrabia Arese, domagając się pomocy wojskowej od Karola Alberta. Rada ministrów z królem analizuje sytuację. Karol Albert przeciwny jest wojnie. Wojna bowiem zawsze kosztuje wiele krwi i pieniędzy, i nie wiadomo do czego doprowadzi. Ale zwierza się przyjacielowi: « Jeżeli nie proklamuję wojny, stracę państwo, wybuchnie rewolucja ». Zdecydowano więc wysłać wojska na granicę, by bronić jej przed ewentualnym wtargnięciem Austriaków. Brygada gwardii królewskiej udaje się w kierunku Ticino.

Tymczasem walki w Mediolanie trwają. 20 marca generał Radetzki, komendant wojsk cesarskich, proponuje zawieszenie broni. Rozejm zostaje jednak odrzucony. 22 marca ludzie Lucjana Manary zdobywają Porta Tosa. Austriacy opuszczają miasto.

Również Wenecja wyzwala się spod okupacji. Daniel Manin, uwolniony z więzienia, zostaje obrany prezydentem Republiki św. Marka.

Tłumy na ulicach Turynu krzyczą: wojna! wojna!

23 marca przybywają przedstawiciele zwycięskiego Mediolanu. Żądają natychmiastowej pomocy wojska, zanim Austriacy powrócą do miasta. Stawiają jako warunki przyjęcie flagi trójbarwnej na miejsce niebieskiej flagi sabaudzkiej oraz odroczenia wejścia wojsk piemonckich do Mediolanu aż do czasu pełnego zwycięstwa.

Rada Ministrów zatwierdza decyzję o zbrojnej interwencji. Karol Albert zgadza się i wypowiada wojnę. Wkrótce potem ukazuje się w loggi pałacu królewskiego na Piazza Castello i powiewając sztandarem pozdrawia tłum, skandujący: « Wojna przeciwko Austrii ».

Generał Passalacqua otrzymuje rozkaz przekroczenia Ticino, z trójkolorową flagą, na której, na białym polu, widnieje tarcza sabaudzka.

W nocy 24 marca Karol Albert z synem wyjeżdża na front, na czele 60 tysięcy ludzi. Ogromny tłum na Via Po i na Piazza Vittorio żegna odjeżdżających. Wydaje się to piękną, wspaniałą uroczystością.

Ale wojna jest czymś zupełnie innym. W następnych dniach opuszczają Turyn wszystkie regimenty. Zarekwirowano wszystkie konie dla artylerii i furgonów. Miasto, pozbawione pojazdów, pogrążone jest w ciszy przenikniętej lękiem.

Prawdziwe bitwy zabawa w wojnę na Valdocco

Również i chłopcy oddychają wojną. Na łąkach wokół Valdocco rozgrywają się prawdziwe bitwy pomiędzy bandami z Vanchiglia, Borgo Dora, Porta Susa. To nie przelewki. Ulicznicy, uzbrojeni w kije, noże, kamienie biją się bez pamięci. Ksiądz Bosko często wychodzi z domu, by wezwać karabinierów

i by razem z nimi uspakając najbardziej zacierzwionych.

Pewnego dnia widział z bliska, jak piętnastoletni wyrostek zatopił nóż w brzuchu innego chłopca. Rannego odwożą spiesznie do szpitala. Tam umiera szepcząc: « Zapłacisz mi za to! »

Ksiądz Bosko wspomina z goryczą: « Te prowokacje nie miały końca ». Czasami dwie połączone bandy obrzucały kamieniami dom. Gdy uderzały w dach i okna, Józef Buzzetti i inni młodzi mieszkańcy drżeli ze strachu.

Aby przyciągnąć chłopców do oratorium, ks. Bosko wykorzystał klimat wojenny i wymyślił nową zabawę. Pewien jego znajomy, Józef Brosio, był kiedyś bersalierem.¹ Gdy szedł do Valdocco, ubierał się zwykle w mundur, w tamtych miesiącach budzący entuzjazm i szacunek. Ksiądz Bosko zasugerował mu utworzenie spośród chłopców miniaturowego regimentu i przeszkolenie go w taktyce wojskowej.

Brosio zgodził się. Otrzymał od rządu dwieście strzelb starego typu, z kijem zamiast lufy. Przyniósł trąbkę i rozpoczął ćwiczenia. Marsze, musztra, natarcia, odwroty. Pokazy regimentu wprawiały w zachwyt widzów, formacja spełniała również funkcje porządkowe w kościele.

Pewnego niedzielnego popołudnie podczas gdy wielu ludzi, przyciągniętych odgłosami trąbki asystowało w ćwiczeniach, w czasie natarcia nastąpiło nieszczęście. Wojsko pokonane w pospiesznym od-

¹ Bersalier: żołnierz wyborowych oddziałów piechoty armii włoskiej.

wrocie dostało się do ogrodu mamy Małgorzaty i uciekając przed zwycięzcami, podeptało sałatę, pietruszkę, pomidory. Małgorzata, która była świadkiem tej klęski, bardzo się zmartwiła.

— Popatrz, Janie — powiedziała w dialekcie — co oni mi zrobili! Zniszczyli wszystko!

« *Pozwól mi wrócić do domu!* »

Było to prawdopodobnie wieczorem, gdy siły odmówiły Małgorzacie posłuszeństwa. Chłopcy poszli spać a ona — jak zwykle — miała przed sobą stos bielizny do naprawienia. Zostawili na jej łożku podarte koszule, rozprute spodnie, dziurawe skarpety. Pochylona nad robotą, przy oliwnej lampce musiała bardzo się spieszyć, gdyż nazajutrz rano nie mieliby chłopcy nic innego do włożenia. Ksiądz Bosko pomagał jej, wstawiając łaty na przetarte rękawy i naprawiając buty.

— Janie — powiedziała w pewnym momencie. — Jestem zmęczona. Pozwól mi powrócić do Becchi. Pracuję od rana do wieczora, jestem już stara, a ci chłopcy zawsze wszystko niszczą. Dłużej już nie dam sobie rady!

Tym razem ksiądz Bosko nie zażartował, by podnieść ją na duchu. Nie powiedział nic. Nic bowiem nie mogłoby pocieszyć tej biednej kobiety. Wskazał tylko na krzyż, zawieszony na ścianie. I ta stara wieśniaczka zrozumiała. Schyliła głowę nad podartymi skarpetami, nad zniszczonymi koszulami i znowu szyla.

Już nigdy więcej nie mówiła o powrocie do domu. Spędziła swe ostatnie lata pośród tych wrzaskliwych, źle wychowanych, ale potrzebujących matki chłopców. Od czasu do czasu ta biedna, spracowana kobieta wznosiła tylko oczy ku krzyżowi, aby nabrać nowych sił.

Wojna włoska w Lombardii

26 marca. Z wiadomości, które docierają, wynika, że realizuje się w sposób błyskawiczny sen neogwelfów. Aby wesprzeć wojska Karola Alberta, walczące o oswobodzenie Włoch, wyrusza na pomoc 17 tysięcy żołnierzy z państwa papieskiego, z generałem Durando na czele, z Toskanii — 7 tysięcy ochotników pod wodzą Montanelli. Parma i Modena deklarują chęć zjednoczenia się z Piemontem.

6 kwietnia. Pod wpływem ogólnego entuzjazmu również Ferdynand Neapolitański wypowiada wojnę Austrii i powierza 16 tysięcy ludzi pod rozkazy generała Wilhelma Pepe. Wojna, która toczy się w Lombardii, jest więc wojną narodową.

Do Turynu nadchodzą radosne nowiny. 8 i 9 kwietnia armia włoska odnosi pierwsze zwycięstwo w bitwach pod Mozambano i Goito. 15 kwietnia przybywa z Ameryki ze swym legionem włoskim Józef Garibaldi.

Ale wkrótce rozentuzjasmowanych Włochów czeka gorzkie rozczarowanie.



Koniec nadziei

27 kwietnia przyjechał do Rzymu hrabia Rignon, wysłannik Karola Alberta. Zwrócił się on z prośbą do Piusa IX o poparcie materialne i moralne dla wojny. Papież odpowiedział, że poparcia materialnego już udzielił, wysyłając generała Durando z 17 tysiącami żołnierzy nad Pad. Jeżeli chodzi o poparcie moralne — wymaga to namysłu. « Gdybym mógł podpisywać się jeszcze Mastai,¹ wziąłbym pióro i w kilka minut sprawa byłaby załatwiona, gdyż i ja jestem Włochem. Ale muszę podpisać się Pius IX, a głowa Kościoła musi być rzecznikiem pokoju, a nie wojny ».

Sprawę tę papież rozważał przez dwa dni. Dwa dni, które historycy przeanalizowali bardzo dokładnie, jednak bez większego rezultatu. Wydaje się, że w czasie tych 48 godzin raporty z Austrii i Niemiec sygnalizowały niezadowolenie tamtejszych katolików z posunięć Stolicy Apostolskiej oraz niebezpieczeństwo schizmy.

¹ Nazwisko rodowe papieża.

29 kwietnia w przemówieniu do kardynałów Pius IX oświadcza, że jego reformy zostały podyktowane nie tendencjami liberalnymi, ale uczuciami humanitarnymi i chrześcijańskimi. Myśl o wojnie przeciwko Niemcom głęboko go niepokoi. Prosi Boga nie o wojnę, ale o zgodę i pokój. Oświadcza również, że nie może zostać prezydentem nowej republiki, utworzonej ze wszystkich regionów półwyspu.

Słowa te zadały śmiertelny cios marzeniom neogwelfów.

Wkrótce potem Pius IX wysłał list do cesarza Austrii. Prosi go, by ziemie włoskie mogły połączyć się pokojowo w jedno państwo. Był to gest zgodny z tendencjami pokojowymi papieża, ale politycznie naiwny. Nie osiągnął też żadnego skutku.

Tak, jak błyskawicznie zapalono się do sprawy, równie błyskawicznie nastąpiła zmiana sytuacji. W wielu miastach włoskich i w wojsku doszło do poważnych rozruchów. Leopold Toskański i Ferdynand w Neapolu odwołali swoje oddziały. Król Neapolu nie, jednak bez większego rezultatu. Wydaje się, że posunął się nawet dalej: w wyniku zamachu stanu, który wywołał poważne zajścia pomiędzy demonstrantami a siłami porządkowymi, w dniu 15 maja rozwiązał parlament.

30 maja nadeszła do Turynu ostatnia radosna wiadomość o zwycięstwie pod Goito i poddaniu się Paschieri. Ulice ozdobiono flagami, okna iluminowano. Rozlegały się okrzyki: « Niech żyje Karol Albert, król Włoch! »

Nastąpiły teraz ciężkie dni. Radetzki odebrał Vicenzę i zajął Padwę, Treviso i Mestre.

Wojna zaczęła dotkliwie ciążyć nad życiem stolicy Piemontu. Upada handel, odczuwa się brak pieniędzy, wiele sklepów zostaje zamkniętych, zwiększa się liczba bezrobotnych, zaczynają się strajki szewców i krawców, a także mnożą się protesty, wywołane zbyt niskim wynagrodzeniem.

Menażka i wojenny wikt

W tym powszechnym klimacie ubóstwa również w oratorium na Valdocco trzeba było zaciągnąć pasa. Gdy młodzi pracownicy, mieszkający z księdzem Bosko, wracają w południe do domu, idą z menażką do kuchni po obiad. W garnku, który stoi na ogniu, gotuje się ryż z kartoflami, makaron z fasolą, albo też inny zestaw prostych potraw. Niekiedy chłopcy otrzymują suszone kasztany z mąką kukurydzianą.

Ksiądz Bosko rozdziela strawę, okraszając tę funkcję wesołymi powiedzonkami: « Zjedz na cześć kucharza! »; « Jedz dużo, musisz przecież urosnąć »; « Chciałbym ci dać kawałek mięsa, ale nie mam. Jeżeli jednak znajdziemy jakąś bezpieczną krowę, zrobimy sobie wielką ucztę ».

Na deser jedno jabłko. Bynajmniej nie po jednym jabłku dla każdego, ale dosłownie jedno jabłko dla wszystkich. Ksiądz Bosko podrzuca je wesoło w górę i ten, kto złapie, ma prawo je zjeść.

Zwykła pompa, która daje « dużo świeżutkiej i zdrowej wody », zamiast wyszukanych napojów.

Na stół podczas posiłków wskakuje czasami jakaś kura mamy Małgorzaty i wydziobuje resztki okruchów.

Chleba w oratorium nie wydziela się. Na zakup pieczywa ks. Bosko co wieczór daje wszystkim po 25 centów. Wychodzi z założenia, że różne są gusty i różny stan zdrowia chłopców. Ci, co mają zdrowe żołądki, kupują żołnierskie suchary. Można ich za te pieniądze dostać dużo. Inni wolą zwykłą pajdę, twardą czy mięką.

Po obiedzie (i po kolacji, która jest wierną kopią obiadu) każdy myje swoją menażkę i łyżkę wkłada do kieszeni. Ci którzy mają szczególnie duży apetyt, przed obiadem idą do ogródka mamy Małgorzaty, by wyciąć trochę sałaty, przyprawianej potem oliwą i octem, kupionymi za własne oszczędności.

Ciężkie czasy. Aby zaoszczędzić parę centów na fryzjerze, mama Małgorzata sama obcina chłopcom włosy. « Postrzyżony, miałem schodki na głowie — wspomina doktor Fryderyk Cigna. — Gdy okazywałem niezadowolenie, ta świętą kobieta powiedziała: « Po tych schodkach wejdiesz do nieba. ».

Dramatyczne wydarzenia

Druga połowa 1848 r. była jednym pasmem dramatycznych wydarzeń. W czerwcu armatami stłumiono powstanie w Pradze i Paryżu. Od 23 do 26 lipca, na wzgórzach Custozy, doszło po decydu-

jącego starcia pomiędzy Austriakami i Piemontczykami. Klęska Karola Alberta była tak wielka, że nie zdołano nawet zorganizować obrony Mediolanu. Gdy 29 lipca wiadomość o tym dotarła do Turynu, wywołała groźne zamieszki. Ofiarą ich padły przede wszystkim domy zamożnych obywateli i księży.

6 sierpnia Gioberti udał się do kwatery głównej króla aby błagać go, by nie wycofywał się z wojny. Ale Karol Albert był przeświadczony, że armia nie jest już w stanie dalej walczyć i 9 sierpnia nakazał generałowi Salasco podpisać rozejm. Było to przyznanie się do klęski, koniec wszelkich nadziei.

W Turynie politycy gwałtownie wystąpili przeciwko nieudolności wodzów i niezdecydowaniu króla. Domagali się dochodzeń w parlamencie i ukarania winnych. Stolica pełna była zamieszek. « Trzeba było uciec się do drastycznych posunięć — pisze Franciszek Cognasso. — Nastąpiły zmiany w rządzie, wydano zakaz sprzedaży gazet na ulicach, rozlepiania afiszów politycznych organizowania publicznych zebrań i dyskusji na placach ».

Strzelanina w kaplicy Pinardiego

Ksiądz Bosko tak pisze o tych trudnych miesiącach: « Uznawano za słuszne każde wystąpienie przeciwko księżom i religii. Byłem wielokrotnie napastowany w domu i na ulicy. Pewnego dnia, gdy uczyłem katechizmu, kula z akerbuza wpadła przez okno, przedziurawiła mi ubranie między ramieniem a bokiem i spowodowała szeroką wyrwę w murze ».

Wypadek miał miejsce w kaplicy Pinardiego. Chłopcy przerazili się tym niespodziewanym strzałem. Dopiero ksiądz Bosko (sam też dostatecznie zdenewrowany tym, że o mały włos nie został trafiony) musiał ich uspokoić, wesoło zagadując:

— Ten żart był trochę ciężki. Przykro mi, ze względu na moje jedyne ubranie. Ale Matka Boża ma nas w swej opiece!

Jeden z wychowanków wyciągnął pocisk ze ściany. Była to zwykła żelazna kulka.

« Innym razem — relacjonuje ks. Bosko — gdy znajdowałem się pośród młodzieży, za jasnego dnia, jakiś typ napadł na mnie z długim nożem w ręce. I był to prawdziwy cud, że biegnąc co tchu, zdołałem uciec i ukryć się w pokoju ».

Także ks. Borel w cudowny sposób uniknął pocisku z pistoletu.

Nieodpowiedzialne gazety podsycaly nienawiść do księży. Ukazały się również artykuły szkalujące księdza Bosko, zatytułowane wielkimi literami: « Odkryto rewolucję w Valdocco »; « Ksiądz z Valdocco i nieprzyjaciele ojczyzny ».

Tragiczne wieści z Rzymu

15 września król wraca do Turynu. Miasto przyjmuje go chłodno i bez entuzjazmu. Dziwne wieści krążą po Turynie: rzekomo niedługo mają nadejść wojska francuskie a wojna ma ulec wznowieniu. Mówi się, że Karol Albert ma abdykować, oraz że ma wybuchnąć rewolucja.

W połowie listopada nadchodzą tragiczne wiadomości z Rzymu. Pellegrino Rossi, umiarkowany w swych poglądach premier Piusa IX, został zamordowany. Masy wywierają nacisk na papieża, by powołał Kontytuantę i przyłączył się do wojny przeciwko Austrii. Rozgorączkowany tłum skanduje na ulicach miasta: « Precz z Piušem IX! Precz z zaco fanymi ministrami! Niech żyje zabójca Pellegrino Rossi! Wojna, Wojna! »

Zaczyna szerzyć się strach. Strach przed rewolucją, przed terrorem.

Pod koniec listopada nadchodzi z Rzymu wiadomość o ucieczce Piusa IX. Pozornie podporządkował się on ludowi, ale potem, w przebraniu, jako zwykły ksiądz, schronił się w Gaecie, w królestwie Neapolu.

Rok 1848, rozpoczęty z entuzjazmem nadziei, kończy się we Włoszech we mgle niepewności. W innych państwach zakończył się pod znakiem krwawych walk i żelaznych represji. Po Paryżu i Pradze, w październiku został ujarzmiony Wiedeń. W grudniu rozwiązano parlament w Berlinie.

Zaczyna być trochę lżej

Na Valdocco, gdzie z nadejściem zimy warunki prowadzenia oratorium stawały się coraz trudniejsze, niespodziewanie horyzont rozjaśnił się.

Po raz pierwszy jeden z chłopców zostaje klerikiem. Nazywa się Ascanio Savio i pochodzi z tej samej wsi, co ksiądz Bosko. Uczęszczał do orato-

rium od samego początku. Teraz chciałby wstąpić do seminarium, ale seminarium w Turynie jest zamknięte, a podobny los spotka również wkrótce uczelnię w Chieri. Kuria arcybiskupia zezwala, by ceremonia obłóczyn odbyła się w domu księdza Cottolengo i by młody kleryk pozostał do dyspozycji ks. Bosko.

Nie zostanie z nim jednak na zawsze. Po czterech latach powróci do myśli o seminarium i przejdzie do pracy w diecezji. Ale później powie o księdzu Bosko: « Kochałem go tak, jakby był moim ojcem ». Zaś Jan Bosko napisze o nim: « Powierzyłem mu zaraz opiekę nad częścią młodzieży, lekcje katechizmu i kierowanie różnymi innymi sprawami. Zaczynało mi być trochę lżej ». Pierwszy baranek został pasterzem.

Drugie wydarzenie miało zupełnie inny charakter.

W oratorium odbywała się jedna z wielu uroczystości. Kilkuset chłopców oczekiwało na przystąpienie do Komunii św. i ks. Bosko odprawiał mszę św. przeświadczony, że w tabernakulum znajduje się jak zwykle cyborium² z dużą ilością konsekrowanych komunikantów. Tymczasem puszka była prawie pusta. Józef Buzzetti, który opiekował się zakrystią (czym nie zajmował się ten chłopiec!?) zapomniał przygotować drugą puszkę i spostrzegł to dopiero po konsekracji.

² Cyborium, zwane także puszką, jest złożonym naczyniem w którym przechowuje się Najświętszy Sakrament.

Gdy chłopcy zaczęli podchodzić, by przyjąć Komunię św., ks. Bosko zauważył z żalem, że będzie ich musiał odprawić z niczym. Nie mogąc się pogodzić z tą myślą, zaczął rozdzielać te nieliczne komunikanty, które znajdowały się w cyborium. I oto ku ogromnemu zdziwieniu jego i biednego zakrystiana ilość komunikantów wcale nie malała. Wystarczyło ich dla wszystkich.

Zdumiony Józef Buzzetti opowiedział o tym swym kolegom. Jeszcze w 1864 r. relacjonował ten fakt pierwszym salezjanom. Ksiądz Bosko, przysłuchując się tej jego relacji, oświadczył z powagą: « Tak, było tylko kilka hostii w cyborium, mimo to mogłem wykomunikować wszystkich, którzy zbliżyli się do Stołu Pańskiego, a było ich nie mało. Byłem wzruszony, ale spokojny. Myślałem: przecież konsekracja jest większym cudem niż rozmnożenie. Za wszystko niech będzie Bóg uwielbiony ».

Podczas gdy Włochy były wstrząsane głośnymi wydarzeniami, w zagubionym zakątku Turynu Bóg w ciszy zwielokrotnił swą obecność pomiędzy chłopcami biednego kapłana. Znak tajemniczy lecz jakże pełen blasku.



Ksiądz Bosko spowiada chłopca Pawła Alberę, który będzie Jego drugim następcą w zarządzaniu Zgromadzeniem Salezjańskim. Podobizna z 1861 r.



Rok 1849

ciernisty i nieurodzajny

« Rok 1849 był ciernisty i nieurodzajny — pisze ksiądz Bosko — pomimo wielu włożonych wysiłków i ogromnych ofiar ».

Rozpoczął się dla księdza smutną wieścią rodzinną. 18 stycznia umarł niespodziewanie Antoni. Miał zaledwie 41 lat. W ostatnich czasach często bywał w oratorium, by zobaczyć się z matką Małgorzatą i bratem. Rozmawiali wówczas o lichych plonach, o wysokich podatkach, którymi rząd gnębił chłopów dla sfinansowania wojny. Przynosił wiadomości o potomstwie, którym Bóg go obdarzył. Przedostatnie dziecko, syn Mikołaj, żyło zaledwie kilka godzin, ale pozostała szóstka chowała się dobrze.

Z biegiem lat koleje życia zbliżyły obu braci. Okres, w którym stosunki między nimi były chłodne, wydawał się być bardzo odległy.

« Miałem ochotę spoliczkować ich »

Pierwszego lutego Karol Albert dokonał otwarcia Parlamentu, wyłonionego w czasie wyborów.

Silna opozycja lewicy wysłuchiwała go w milczeniu. Na ulicach krzyczano: « Niech żyje wojna! Precz z księżmi! Niech żyje republika! »

W gazetach pojawiły się ubliżające karykatury Piusa IX — « zdrajcy Włoch ». Również ks. Bosko doczekał się zjadliwych ataków prasy. Wyśmiewano się z niego, nazywając go « świętym » i « cudotwórcą z Valdocco ».

Bandy chuliganów znów obrzucały kamieniami dom Pinardiego, wtedy już w całości wydzierżawiony dla potrzeb oratorium.

Ksiądz Bosko wychodził teraz zawsze w towarzystwie bersaliera Brosio, tak wspominającego tamte dni: « Gdy szliśmy aleją, która obecnie nazywa się Corso Regina Margherita, gromada małych chłopaków zawsze ubliżała księdzu Bosko, wykrzykując oszczerstwa pod jego adresem albo śpiewając sprośne piosenki. Któregoś dnia miałem ochotę spoliczkować ich, ale ksiądz zatrzymał się, zbliżył się do kilku z nich, kupił owoce u przekupki, która miała stragan w pobliżu, i obdarzył nimi swych, jak ich nazwał, « przyjaciół ».

Znów wojna

Turyń tymczasem znów oddychał wojną. Lewica demokratyczna, będąca u steru, dążyła do podjęcia walk.

12 marca został zerwany rozejm. Tydzień później rozgorzały ponownie boje. Skierowano 75 tysięcy żołnierzy na granicę. Król udał się do Ale-

ksandrii. Ale tym razem wojsko nie okazało entuzjazmu. Pułk Savoia odmówił dalszego marszu. Pojawili się dezercerzy. Dokonywano egzekucji.

W Lombardii Radetzky nakazał swym oddziałom wyruszyć na Turyn.

23 marca. Na froncie, długości czterech kilometrów, rozgrywa się bitwa o Novarę. Centrum zaciętych walk, La Bicocca, wielokrotnie przechodzi z rąk do rąk. Zdarzają się wypadki autentycznego heroizmu. W czasie ataku na bagnety ginie generał Passalacqua. Generał Perrone, eks-premier, ugodzony śmiertelnie, każe się zanieść na ramionach przed króla, by oddać mu cześć. Wieczorem wszystko się kończy. Artyleria Radetzkiego przewagą ognia wygrywa batalię. Generał Durando musiał parę razy siłą wyciągać Karola Alberta z potyczki.

Bitwa i wojna zostały przegrane. Nadciągająca noc zastała ogólne zamieszanie. Od Novary po Oleggio i Momo wszystkie drogi są zapchane porzuconymi furgonami. Rozproszeni żołnierze wędrują bez broni, bez dowódców. Krzyczą: « Do domu! Niech za wojnę płaci Pius IX, niech płacą bogaci, niech płaci kto chce, my idziemy do domu! »

O godzinie pierwszej w nocy Karol Albert abdykuje. W narzuconym na ramiona wojskowym płaszczu uchodzi z Novary w kolasie i wśród ogólnego chaosu udaje się na wygnanie. Przez cztery godziny na biwakach oddziałów trwają poszukiwania nowego króla. Radetzky na wieść o abdykacji ogłasza sześciogodzinne zawieszenie broni.

Młody, oszołomiony Wiktor Emanuel, z rozwidzioną brodą, o oczach podkrążonych z przemęczenia, spotyka marszałka austriackiego na podwó-

rzeu jakiejś zagrody. Prosi o warunki kapitulacji możliwe do przyjęcia, w przeciwnym razie także i on musiałby wyjechać i zostawić Piemont w rękach rewolucjonistów. Gdy odchodzi, stary 82-letni żołnierz austriacki mówi do generała Hessa: « Biedny chłopiec! »

Ostatni relikwiarz wolności

Najbardziej niebezpieczny ze wszystkich jest w tym momencie kraj. W Turynie panuje napięta sytuacja. Gdy rozeszła się wiadomość, że Austriacy żądają 200 milionów lirów odszkodowania wojennego i że zajmą Aleksandrię, lewica kontestuje. Mówi się otwarcie o republice. Żąda się podjęcia na nowo wojny. Genua wzniesła powstanie. Młody król przybywa do Turynu. Chciałby wyrzucić wszystkich deputowanych na złamanie karku, lecz rozmyśla się. Powstańców uśmierzają armaty.

Traktat pokojowy podpisano dopiero 6 sierpnia. Po dramatycznych przetargach Austriacy godzą się opuścić wszystkie zajęte terytoria, z Aleksandrią włącznie, i obniżają odszkodowanie do 75 milionów.

Z wielkiego pożaru w 1848 r. dogasają tylko nieliczne żarzące się węgielki. Powstańcy, którzy wiosną bili się ramieniem przy ramieniu na barykadach, prawie wszyscy zostali pokonani. Patriotów, domagających się niepodległości, zmusiła do milczenia austriacka artyleria. Robotnicy powrócili do ciężkiego 12-godzinnego dnia pracy. Konstytucje liberalne prawie wszędzie zostały cofnięte, za wyjąt-

kiem Statutu w Piemoncie. Niemniej ten relikwiot wolności okaże się niezmiernie ważny. Wokół Piemontu skupią się całe Włochy. Również inne ziarna wolności i równości, które wydawały się już zniszczone w czasie szalejącej represji, powoli w ciągu lat zaczną kiełkować.

Tymczasem dziesiątki tysięcy uchodźców powiększają liczbę mieszkańców Turynu. Życie staje się bardzo trudne. Czyny są zawrotne, a wynagrodzenia bardzo niskie.

Dwa małe serca « za otrzymaną łaskę »

24 czerwca, uroczystość św. Jana Chrzciciela. Imieniny księdza Bosko. Karol Gastini i Feliks Reviglio pomimo ciężkich czasów postanawiają kupić jakiś podarek. W największej tajemnicy od dawna już porozumieli się w tej sprawie. Oszczędzali na chlebie i odkładali skromne napiwki. Lecz co kupić, skoro wszystko tak drogo kosztuje? Wreszcie decydują się: wybierają dwa srebrne serduszka, takie, jakie ludzie ofiarują Matce Bożej za otrzymaną łaskę. Niezwykła decyzja, ale wspaniała i wzruszająca.

W wigilię uroczystości, gdy wszyscy już udali się na spoczynek, pukają do drzwi pokoju ks. Bosko i czerwieniąc się po czubki uszu ofiarowują mu te dwa serca.

Czterech chłopców i biała chusteczka

Gastini i Reviglio należą do chłopców, wobec których ks. Bosko żywi poważniejsze zamiary. W

1848 r. wespół z jedenastoma kolegami wysyła ich na rekolekcje. W następnym roku znów biorą udział w ćwiczeniach duchownych, tym razem z sześćdziesięciu dziewięcioma innymi oratorianami, podzielonymi na dwie grupy.

— Potrzebuję kogoś do pomocy w oratorium. Jak się na to zapatrujecie?

— Ale w jaki sposób mielibyśmy pomagać?

— Przede wszystkim zabierając się znów do nauki. Czekają was przyspieszone studia, z łaciną włącznie. Potem, jeżeli Bóg pozwoli, będziecie mogli zostać kapłanami.

Czterej chłopcy spoglądają na siebie. Wyrażają zgodę. Ksiądz Bosko stawia jeden warunek. Wyciąga białą chusteczkę, bierze ją w dłonie i gniecie ją.

— Proszę was, byście się zachowywali tak, jak ta chustka w moich rękach: Macie mi być posłuszni we wszystkim.

Wśród tej czwórki jedynie Bellia skończył szkołę podstawową. W sierpniu zostają powierzeni ks. Chiaveso celem nadrobienia zaległości w języku ojczystym. We wrześniu ks. Bosko wiezie ich ze sobą do Becchi i zaczyna z nimi lekcje łaciny. Powracają do Turynu w październiku, akurat na uroczystości pogrzebowe Karola Alberta, zmarłego w Oporto.

Batalion z Vanchiglia

W tym samym miesiącu, w porozumieniu z ks. Cocchim, ksiądz Bosko otwiera ponownie oratorium pod wezwaniem Anioła Stróża, leżące na przedmie-

ściu Vanchiglia, a zamknięte przed kilku miesiącami. Dwa baraki, dwa pokoje, salka przekształcona w kaplicę. Dziewięćset lirów dzierżawy za rok. Kierować nim będzie ks. Carpano, powierzając pieczę nad kierowanym dotychczas oratorium św. Alojzego księdzu Ponte.

Na przedmieściu Vanchiglia trwają nadal żarte walki pomiędzy bandami wyróstków. Ksiądz Bosko posyła na pomoc ks. Carpano bersaliera Brosio, który i tam zakłada batalion ćwiczebny, gotowy do zabawy, ale i do obrony własnej.

« Pewnej niedzieli — opowiada Brosio — pojawiło się czterdziestu chuliganów, uzbrojonych w kamienie, kije i noże, i chciało wejść na teren zakładu. Dyrektor przestraszył się i drżał jak liść. Widząc, że nicponie sposobili się do bójki, zamknąłem drzwi, zebrałem moich najstarszych chłopaków i rozdałem im drewniane strzelby. Podzieliłem ich na oddziały i przykazałem, by w wypadku, gdy zostaną napadnięci, na mój znak rzucili się ze wszystkich stron równocześnie, nie szczędząc razów. Najmłodszych, popłakujących ze strachu, ukryłem w kaplicy i udałem się do bramy wejściowej, którą napastnicy próbowali sforsować silnymi pchnięciami. Tymczasem ktoś zawiadomił oddział kawalerii, która nadjechała z dobytymi szablami ».

Tym razem wszystko skończyło się dobrze.

Na sienniku z liści

18 listopada przeniósł się do księdza Bosko ks. Giacomelli, dawny kolega z seminarium w Chieri. Pozostał w Valdocco przez dwa lata. Z jego to po-

mocą i kleryka Ascanio Savio ks. Bosko mógł zwiększyć liczbę współmieszkańców przygarniętych do « przytułku » do trzydziestu. W 1852 r. będzie ich już 36, w 1853 — 76, rok później — 115. W 1860 r. zamieszka ich 470, a w 1861 — 600. W szczytowym okresie w oratorium mieszkać będzie aż 800 chłopców.

Życie tych chłopców w dalszym ciągu jest bardzo ubogie. W zimie marzną w kościele i w innych pomieszczeniach, za wyjątkiem kuchni i jednego pokoju, gdzie stoi piec opalany drzewem. Materac wełniany czy włosiany należy do rzadkości. Mogą sobie na niego pozwolić tylko nieliczni. Większość śpi na siennikach, wypchanych suchymi liśćmi lub słomą. Ksiądz Bosko powierza skromne fundusze wspólnoty Józefowi Buzzettiemu, który w 1849 r. skończył dopiero 17 lat i zdumiony jest okazującym mu zaufaniem. W niedzielę wychowankowie z « konwiktu »¹ uczestniczą, razem z pięciuset innymi przychodzącymi do oratorium, w zabawach i przechadzkach.

Mamałyga za cztery soldy

U schyłku 1849 roku, podczas gdy — jak podają kroniki — wiele osób w obrębie Turynu cierpiało głód, w życiu księdza Bosko zarejestrowano kilka zastanawiających wydarzeń. Moglibyśmy je

¹ Konwikt: internat dla uczniów prowadzony przez szkołę, przeważnie kierowaną przez duchownych.

nazwać, być może, skromnymi cudami, które on wyprosił dla biednego ludu.

O pierwszym takim wydarzeniu opowiada Józef Brosio w liście do księdza Bonettiego: « Pewnego dnia, gdy byłem w pokoju ks. Bosko, jakiś człowiek poprosił go o wsparcie. Mówił, że ma pięcioro dzieci, które już cały dzień nic nie jadły. Ksiądz Bosko przeszukał kieszenie. Znalazł w nich zaledwie cztery soldy (jedna piąta lira) i wręczył je biedakowi z błogosławieństwem. Gdy zostaliśmy sami, powiedział mi ubolewając, że nie miał więcej pieniędzy. Nawet sto lirów oddałby chętnie temu człowiekowi.

Ja na to:

— Czy ksiądz jest pewien, że ten człowiek nie kłamał? Może był oszustem.

— Nie, ten człowiek jest prawdomówny i lojalny. Co więcej, jest pracowity i bardzo przywiązany do swej rodziny.

— A skąd ksiądz o tym wie?

Ks. Bosko ujął mnie za rękę, spojrzał na mnie uważnie i po cichu powiedział:

— Czytałem w jego sercu.

— Znaczy to więc, że ksiądz widzi również i moje grzechy?

— Tak, czuję ich zapach — odpowiedział śmiejąc się.

Muszę stwierdzić, że rzeczywiście czytał w moim sercu. Jeżeli zapomniałem o czymś w czasie spowiedzi, stawiał mi dokładnie przed oczyma całą sprawę, a mieszkałem przecież kilometr dalej od niego. Pewnego dnia w tajemnicy przed wszystkimi zrobiłem jakiś dobry uczynek, który kosztował mnie

wiele wysiłku. Poszedłem do oratorium i gdy tylko ks. Bosko mnie zobaczył, ujął moją rękę mówiąc:

— Jaką piękną rzecz przygotowałeś sobie dla nieba!

— Cóż takiego zrobiłem? — spytałem. A on opowiedział mi wszystko ze szczegółami.

Wkrótce potem w Turynie spotkałem mężczyznę, któremu ksiądz Bosko ofiarował owe cztery soldy. Poznał mnie, zatrzymał i powiedział, że za te pieniądze poszedł kupić mąki kukurydzianej. Ugotowaną mamałygą najedli się on sam i cała rodzina do syta. Dodał również:

— Odtąd nazywamy ks. Bosko « księdzem od cudownej mamałygi », gdyż za cztery soldy można normalnie kupić mąki najwyżej dla dwóch osób, a nas było siedmioro! »

« Karolku, obudź się! »

Drugie wydarzenie opisała w języku francuskim markiza Maria Fassati, z domu De Maistre. Oto co zanotowała:

« Usłyszałam tę opowieść z ust samego ks. Bosko i staram się oddać ją z największą dokładnością:

Pewnego razu ktoś poszukiwał ks. Bosko, chcąc go wezwać do ciężko chorego chłopca, który od dawna uczęszczał do oratorium. Ksiądz Bosko był jednak nieobecny i mógł powrócić do Turynu dopiero za dwa dni. Gdy powrócił, udało mu się pójść do chorego dopiero po południu, około godziny

czwartej. Dochodząc do domu, w którym chłopiec mieszkał, zobaczył na drzwiach czarne sukno, a na nim klepsydrę z nazwiskiem swego wychowanka. Wszedł jednak do środka, by przywitać i pocieszyć biednych rodziców. Zastał ich we łzach. Dowiedział się od nich, że syn zmarł rano. Poprosił, czy może wejść do pomieszczenia, gdzie leżał zmarły, by go zobaczyć. Ktoś z rodziny zaprowadził go tam.

— Wchodząc do pokoju — przyznał ksiądz Bosko — przyszło mi na myśl, że może chłopiec nie umarł i gdy zbliżyłem się do łóżka, zawołałem go po imieniu: « Karolku! » Wówczas otworzył oczy i powitał mnie zdziwionym uśmiechem. « O, księżu Bosko — powiedział głośno — zbudził mnie ksiądz z okropnego snu! »

W tym momencie kilka osób, które znajdowały się obok, zaczęło uciekać w popłochu, krzycząc i przewracając świeczniki. Ksiądz Bosko pospiesznie ściągnął z chłopca prześcieradło, w które był zawinięty. A ten mówił dalej: « Wydawało mi się, że wepchnięto mnie do jakiejś jaskini, długiej i ciemnej i tak wąskiej, że ledwie mogłem oddychać. W głębi widziałem jakąś przestrzeń znacznie szerszą i jaśniejszą, dokąd dusze przybywały na sąd. Mój lęk i przerażenie potęgowały się, gdyż widziałem wielu potępionych. I oto nadeszła moja kolej. Miałem być osądzony tak jak inni. Ogarnął mnie strach, gdyż źle odprawiłem moją ostatnią spowiedź, ale nagle ksiądz mnie obudził! »

Tymczasem na wieść, że syn żyje, nadbiegli rodzice Karola. Chłopiec powitał ich serdecznie, lecz prosił; by nie łudzili się, że będzie żył. Uściskał ich,

a potem chciał zostać sam z ks. Bosko. Opowiedział, że miał nieszczęście popaść w grzech śmiertelny. Gdy ciężko zachorował, pragnął się wyspowiadać i dlatego posłał kogoś po ks. Bosko, ale go nie było. Zawezwano innego kapłana; chłopiec jednak nie miał odwagi wyznać grzechu. Dopiero Bóg pozwolił mu zrozumieć, że zasłużył na piekło tą świętokradzką spowiedzią.

Wyspowiadał się przed ks. Bosko z wielką skruchą, a otrzymawszy rozgrzeszenie, zamknął oczy i spokojnie skonał ».

Kosz kasztanów, w którym « nie było dna »

Świadkiem trzeciego wydarzenia był Józef Buzzetti. Potwierdził je na piśmie także Karol Tomatis, jeden z pierwszych wychowanków, przyjętych na wspólne mieszkanie w domu Pinardiego.

W dzień zaduszny ks. Bosko zaprowadził wszystkich chłopców z niedzielnego oratorium na cmentarz, by się tam z nimi pomodlić. Przyrzekł, że po powrocie otrzymają gotowane kasztany. Kupił ich poprzednio trzy duże worki.

Matka Małgorzata widocznie nie rozumiała dobrze polecenia i ugotowała tylko trzy względnie cztery kilogramy. Józef Buzzetti, już wtedy pełniący funkcję ekonoma, wrócił do domu jako pierwszy i gdy zobaczył pomyłkę, powiedział:

— Ksiądz Bosko zmartwi się. Trzeba go zawiadomić.

Ale w zgiełku, wywołanym powrotem całej zgłodniałej gromady, nie udało się tego zrobić. Ksiądz Bosko wziął z rąk Józefa koszyk i zaczął rozdawać kasztany dużą miarką. W całym tym zamieszaniu Buzzetti głośno strofował:

— Nie tyle! Nie starczy dla wszystkich!

— Przecież są jeszcze trzy worki w kuchni!

— Nie, tylko te w koszyku są ugotowane, wyłącznie te! — starał się wytłumaczyć Buzzetti, podczas gdy chłopcy krzyczeli i cisnęli się.

Ksiądz Bosko nie wiedział co począć. W końcu rzekł:

— Jednak obiecałem wszystkim kasztany. Rozdawajmy je więc, dopóki ich starczy.

I rzeczywiście w dalszym ciągu każdy otrzymywał dużą miarkę. Buzzetti spoglądał nerwowo na kilka garści kasztanów, które pozostały na dnie koszyka. Ogonek czekających wydawał się coraz dłuższy. Oczekujący również cierpliwie spoglądali na koszyk. W pewnym momencie zrobiło się cicho. Setki zdumionych oczu wpatrywało się w ten kosz, z którego nie ubywało kasztanów, który zdawał się nie mieć dna.

Wystarczyło ich dla wszystkich.

Być może właśnie tego wieczoru po raz pierwszy, mając pełne ręce kasztanów, chłopcy wołali: « Ksiądz Bosko jest święty! »



Pod koniec 1849 r. ks. Bosko wystosował poda-
nie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w
sprawie uzyskania zapomogi dla swego oratorium.

Któregoś niedzielnego popołudnia w styczniu
1850 r. komisja, złożona z trzech senatorów, Sclo-
pis, Pallavicini i Collegno, udała się do Valdocco,
aby zwiedzić instytucję i złożyć potem odpowiednie
sprawozdanie senatowi i ministrowi.

Zwiedzający odnieśli bardzo pozytywne wraże-
nie. Zobaczyli pięciuset chłopców, bawiących się na
podwórzu i pobliskich łąkach. Widzieli ich również
modlących się w kaplicy i wokół niej. Dopytywali
się szczegółowo o schronisko, w którym mieszkało
wówczas trzydziestu wychowanków.

Hrabia Sclopis wszczął rozmowę z jednym z
nich, Józefem Vanzino. Dowiedział się od niego, że
pochodzi z Varese, że nie ma ojca i jest kamienia-
rzem. Chłopak płacząc powiedział też, że jego matka
znajduje się w więzieniu.

— A gdzie sypiasz? — spytał zakłopotany hra-
bia.

— Do niedawna sypiałem u pracodawcy, ale teraz ks. Bosko przyjął mnie do swego domu.

Sprawozdanie dla senatu przygotował Pallavini. Zarejestrowane zostało w Aktach Urzędowych pod datą 1 marca. Oto jego treść: « Instytucja Jana Bosko, kapłana poważanego i gorliwego, ma charakter wybitnie religijny, moralny i czyni wiele dobrego. Byłoby ogromną szkodą dla miasta, gdyby z braku funduszy musiała tę działalność przerwać. Komisja nasza wnosi podanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o udzielenie pomocy dziełu tak potrzebnemu i przynoszącemu korzyści ».

Słowa te zaowocowały w postaci trzech banknotów stulirowych od Senatu i dwóch tysiąclirowych od Ministra Urbana Rattaziego. Ale to nie pieniądze, choć chętnie przyjęte, były największym osiągnięciem. W Piemoncie coraz groźniej zaostrzał się długi i męczący zatarg pomiędzy państwem a Kościołem. Wizyta i relacja senatorów, spowodowane przez ks. Bosko, pomogły oratorium przetrwać tę wielką burzę bez specjalnego uszczerbku.

Aresztowanie arcybiskupa

Były to gorące dni. W parlamencie dyskutowano nad projektami ustaw, przedstawionymi przez ministra sprawiedliwości Siccardiego. Chodziło o zniesienie niektórych dawnych przywilejów kościelnych: trybunału kościelnego (do tej pory biskupi i kapłani oskarżeni o przestępstwo nie byli sądzeni przez trybunały świeckie, ale przez trybunały koś-

cielne, z uwagi na szacunek dla osób poświęconych (Begu), sprawa azylu (policja nie miała aresztować osób oskarżonych o przestępstwa, jeżeli schroniły się one w kościele lub jakimś klasztorze) oraz prawa powiększania dóbr kościelnych.

8 kwietnia ustawy Siccardiego zostały zatwierdzone przez parlament i senat (prawo głosu miało zaledwie 2% ludności. Katolicy, choć bardzo liczni, mieli niewielu reprezentantów w parlamencie). 9 kwietnia uchwały senatu zatwierdził król. W mieście zaczęły szaleć bandy antyklerykałów. Tworzyły się pochody, wykrzykujące: « Precz z księżmi! Niech żyje Siccardi! » Miejscem docelowym manifestantów był pałac arcybiskupi. Początkowo tylko krzyczano i złorzeczono: « Śmierć Fransoniemu! Precz z delegatem papieskim! » Potem posypały się kamienie. Porozbijano szyby w oknach, próbowano wtargnąć przez bramę wejściową. Musiały interweniować szwadrony kawalerii z dobytymi szablami.

Pod koniec lipca Piotr Derossi di Santarosa, minister rolnictwa, ciężko zachorował. Poprosił o sakramenty św. Proboszcz z kongregacji Serwitów otrzymał od arcybiskupa polecenie, by zażądał publicznego odwołania aprobaty dla ustaw Siccardiego. Santarosa odmówił. Umarł 5 sierpnia bez wiatyku.

Na ulicach Turynu znów rozgorzały zamieszki. Serwici zostali wydaleny z miasta. Minister wojny, Alfons La Marmora, wydał rozporządzenie, by monsignor Fransoni opuścił pałac arcybiskupi. Gdy ten nie usłuchał, 7 sierpnia nakazał karabinierom zaaresztować go i osadzić w fortecy Fenestrelle, w po-

bliżu granicy francuskiej. Stąd 28 września został wydany z państwa.

Zaczęły się bandyckie napady na klasztory. Oblaci, barnabici, dominikanie musieli barykadować się w własnych domach. 14 sierpnia niejaki Volpato przyszedł na Valdocco i ostrzegł ks. Bosko, że pod wieczór należy się spodziewać napadu na oratorium. Radził, by ksiądz razem z chłopcami szybko opuścił Valdocco.

Ksiądz Bosko zastanawiał się, potem zdecydował się pozostać. O godzinie 16 pochód demonstrantów udał się na peryferie miasta. Ale wśród nich, jak potwierdza ks. Lemoyne, znajdował się pewien człowiek, któremu ks. Bosko kiedyś wyświadczył przysługę. Zatrzymał idących na przodzie mówiąc:

— Źle robimy, napadając na oratorium. Znajdziemy tam jedynie biednych chłopców i księdza, który ich utrzymuje. Ksiądz Bosko pochodzi z ludu, tak jak my, zostawmy go w spokoju.

Po krótkiej naradzie demonstranci udali się w innym kierunku.

Drugi zastęp

Wśród tej wielkiej burzy dziejowej ks. Bosko nadal po cichu przeprowadza swe plany. Michaś Rua w lecie 1850 r. kończy szkołę podstawową u Braci Szkół Chrześcijańskich. Ksiądz Bosko ciągle jest o niego zatroskany. Któregoś dnia woła go do siebie.

— Co zamierzasz zrobić w przyszłym roku?

— Mamusia rozmawiała już z dyrektorem Fabryki Broni. Przyjmą mnie do pracy w biurze i będę mógł pomóc rodzinie.

— Również i ja rozmawiałem o tobie. Twoi nauczyciele powiedzieli mi, że Bóg obdarzył cię wyjątkową inteligencją i że stałoby się bardzo źle, gdybyś dalej się nie uczył. A ty chciałbyś się uczyć?

— Z pewnością, ale moja matka jest biedna, a ojca nie mam. Skąd mam wziąć pieniądze na naukę?

— Pomyślę o tym. Zapytaj tylko swoją matkę, czy wyrazi zgodę, byś mógł rozpocząć naukę łaciny.

Pani Joanna Maria długo patrzyła na wysokiego i bladego chłopca, który z takim entuzjazmem mówił jej o ks. Bosko.

— Rada jestem, Michałku. Ale czy twoje zdrowie na to ci pozwoli? Bóg zabrał już do siebie twoich czterech braciszków, a ty jesteś jeszcze delikatniejszy od nich. Powiedz ks. Bosko, by zbyt długo nie przetrzymywał cię nad książkami.

Ponieważ Michaś mieszkał w odległości kilka kroków od oratorium i rzeczywiście był słabego zdrowia, ks. Bosko pozostawił go w domu rodzinnym jeszcze przez dwa lata. Ale w listopadzie zaczął posyłać go do prywatnej szkoły profesora Józefa Bonzanino. Wieczorami sam powtarzał z nim arytmetykę i dziesiątny system metryczny. Michał Rua, Angelo Savio, Francesca i Anfossi utworzyli drugą grupkę wychowanków, których ks. Bosko miał nadzieję doprowadzić do kapłaństwa.

W niedzielę, podczas gdy Buzzetti i inni pomagali na Valdocco, Michał Rua i Angelo Savio uda-

wali się do oratorium w Vanchiglia i Porta Nuova. Tam uczyli katechizmu i opiekowali się chłopcami.

2 lutego 1851 r. Po czternastu miesiącach ogniowej szkoły, pierwsi czterej podopieczni ks. Bosko wspaniale zdają egzamin w kurii turyńskiej. Buzzetti, Gastini, Bellia i Reviglio przywdziewają w oratorium strój klerycki. Ksiądz Bosko promienieje. Wydaje się mu, że pierwsze baranki stają się w końcu pasterzami. Ale myli się: z tych czterech chłopców, którzy następnego dnia rozpoczynają studia filozoficzne, jedynie Bellia i Reviglio osiągną kapłaństwo, lecz nie pozostaną w oratorium. Gastini wkrótce zniechęci się i rzuci studia. Buzzetti wprawdzie stale będzie związany z ks. Bosko, ale nie dojdzie do prezbiteratu. Pierwszą nadzieją, która zrealizuje się w pełni, będzie ten wysoki i blady chłopaczek, Michaś Rua, mieszkający nadal ze swoją matką.

30 tysięcy lirów i lekki zawrót głowy

Po obłóczynach pierwszych kleryków ks. Bosko zaczął myśleć o własnym budynku. Nie chciał bowiem nadal mieszkać w pomieszczeniach wynajętych, które lada dzień mogły być sprzedane obcym. Pewnej niedzieli, w czasie gdy ks. Borel głosił kazanie, zwrócił się do Franciszka Pinardiego:

— Kupię cały dom, ale za uczciwą cenę.

— Ja na pewno zażądam godziwej sumy, ale niech mi ksiądz powie, ile chciałby zapłacić.

— Kazałem wycenić dom przez uczciwego człowieka, inżyniera Spezię. W obecnym stanie wart

jest od 26 do 28 tysięcy. Dam panu za niego 30 tysięcy lirów.

— Zapłata gotówką, od razu całość.

— Dobrze!

— Uściśnijmy sobie ręce, a za dwa tygodnie podpiszemy umowę.

Ksiądz Bosko uściął dłoń i poczuł lekki zawrót głowy. 30 tysięcy ówczesnych lirów to równość ponad 60 milionów dzisiejszych pieniędzy. Gdzie znaleźć taką sumę w ciągu dwóch tygodni? Oto co zapisał z prostotą ks. Bosko:

« Rozpoczęła wówczas działać Opatrzność. Tego wieczoru — rzecz niezwykła w dni świąteczne — odwiedził mnie ks. Cafasso i oznajmił, że pewna zacna osoba, hrabina Casazzo-Riccardi, poleciła mu wręczyć mi 10 tysięcy lirów na cel, który uznam za najbardziej właściwy. Następnego dnia przybył pewien zakonnik rosminianin i przyniósł mi 20 tysięcy lirów pożyczki ». Pożyczka była na 4%, ale opat Rosmini nigdy potem nie żądał ani procentu, ani kapitału. Trzy tysiące dodatkowych kosztów pokrył pan Cotta, właściciel banku w którym została podpisana umowa.

Było to 19 lutego 1851 r. Trudno nie dostrzec w tym ręki Bożej Opatrzności, a jeszcze trudniej było ks. Bosko nie pójść dalej obraną drogą.

« A teraz piękny kościół »

Któregoś wieczoru, w tym samym miesiącu, podczas gdy mama Małgorzata naprawiała ubrania śpiących już chłopców, ks. Bosko powiedział jakby mimochodem:

— A teraz chcę wybudować piękny kościół ku czci św. Franciszka Salezego.

Igła i nici wypadły Małgorzacie z ręki.

— Kościół? Skąd weźmiesz pieniądze? Nie stać nas prawie na to, by chłopcom dać chleba i kupić odzież dla tych biedaków, a ty mówisz o nowym kościele? Mam nadzieję, że najpierw dobrze się zastanowisz i porozumiesz z Bogiem, nim zaangażujesz się w takie przedsięwzięcie.

— Mamo, gdybyś miała pieniądze, dałabyś mi je?

— Z pewnością. Ale ja już nic nie posiadam.

— Czyż nie sądzisz, że Bóg, który jest lepszy i hojniejszy od ciebie, nie miałby mi pomóc?

Jak tu więc dyskutować z takim synem?

Prawdę mówiąc, ks. Bosko był usprawiedliwiony. W kaplicy Pinardiego, mimo powiększenia jej, chłopcy nie mogli się już pomieścić, nawet gdyby miała trzy piętra. Poza tym — pisze ks. Bosko — « chcąc wejść do niej, trzeba było zejść po dwóch schodkach, zimą i w okresach deszczowych topiliśmy się, natomiast latem dusiliśmy się z gorąca i zaduchu ».

Inżynierowi Blanchier polecił ks. Bosko przygotować projekt, natomiast Fryderyka Bocca mianował kierownikiem budowy.

— Uprzedzam pana — powiedział — że czasami nie będę miał pieniędzy, by wypłacić.

— Wtedy będziemy pracować wolniej.

— O nie! Chcę, by roboty szybko szły naprzód, i by za rok kościół był skończony.

Fryderyk Bocca wzruszył ramionami.

— A więc będziemy się spieszyć. Ale i ksiądz niech się spieszy z gotówką.

Przez 16 lat biło tu serce dzieła księdza Bosko

« Po wykopaniu miejsca na fundament — wspomina ks. Bosko — w dniu 20 lipca 1851 r. nastąpiło poświęcenie kamienia węgielnego ». Położył go Józef Cotta, jeden z największych dobroczyńców dzieła salezjańskiego. Słowa podziękowania odczytał 14-letni Michał Rua. Przemówienie wygłosił słynny mówca, ojciec Barrera. Zazwyczaj w podobnych okolicznościach wiele się przesadza, dobierając efektownych obrazów i porównań. Barrera również mówił obrazowo, ale nie było w tym przesady. Powiedział:

« Ten kamień jest małym ziarnem gorczyczym. Urośnie jednak i stanie się drzewem, wokół którego szukać będzie schronienia wielu chłopców ».

Pieniądze jak zwykle stanowiły wielki problem. Ksiądz Bosko pukał do wszystkich znanych mu i nieznanym drzwi, ale zdołał wydobyć tylko 35 tysięcy lirów. Brakowało jeszcze 30 tysięcy. Chłopcy pomagali jak tylko umieli. Ksiądz Jan Turchi wspomina: « Mury nowego kościoła sięgały już wysokości okien, gdy ja wraz z kolegami dostarczałem cegły na rusztowania ».

Aby znaleźć brakujące 30 tysięcy lirów, ks. Bosko po raz pierwszy zaryzykował urządzenie loterii publicznej. Tak to potem wspominał: « Zebrano trzy tysiące trzysta darów. Papież, król, królowa

matka, królowa małżonka — również złożyli ofiary ». Fanty wystawiono na widok publiczny w dużej sali za kościołem św. Dominika. Spis nagród tworzył obszerny foliał.

Rozprowadzenie biletów kosztowało wiele upokorzeń. Ale suma, jaką uzyskano, była rzeczywiście znaczna: 26 tysięcy. Odtąd ilekroć ks. Bosko był bez grosza, uciekał się do tego sposobu. W ostatnich swoich listach, pisanych już drżącą ręką, prosił jeszcze, « by przyjąć bloczek biletów na loterię ».

Kościół został poświęcony 20 czerwca 1852 r. Stoi do dzisiaj na skraju domu Pinardiego, trochę przytłoczony ogromem bazyliki pod wezwaniem Maryi Wspomożycielki. Odległość dzieląca te dwie świątynie wynosi zaledwie trzy metry. Kościół ten jest salezjańską Porcjunkulą.¹ Wśród jego murów przez szesnaście lat (od czerwca 1852 r. do czerwca 1868 r.) biło serce dzieła księdza Bosko.

Tu także przychodził modlić się młodzietki Dominik Savio. Przed ołtarzykiem Matki Bożej, znajdującym się po prawej stronie, oddał się pod Jej opiekę. W tym kościele zakotwiczyli się Michał Magone, łobuz z Carmagnoli i Franciszek Besucco, chłopiec z Argentery, który w 1863 r. zaczął naśladować heroiczną dobroć Dominika Savio.

Tu odprawił swoją pierwszą mszę św. ks. Michał Rua. Przez cztery lata chodziła do tego kościo-

¹ Porcjunkula: maleńki kościółek pod Assyżem, obecnie znajdujący się wewnątrz wspaniałej bazyliki. Tu narodził się Zakon Franciszkanów. Tu, na gołej ziemi, obok kościoła, św. Franciszek zakończył swe życie. Dziś miejsce pielgrzymkowe połączone z odpustami.

ła, i to kilka razy na dzień, mama Małgorzata, coraz starsza i coraz bardziej zmęczona. Tu odnajdowała siły do dalszej pracy dla biednych chłopców.

Być może — diabeł

« Nowa świątynia — stwierdza ks. Bosko — służyła zarówno młodzieży, która pragnęła uczestniczyć w obrzędach liturgicznych, jak i szkole wieczorowej i dziennej (kaplica bowiem Pinardiego, kościół, zakrystia w ciągu dnia wykorzystywane były jako sale szkolne). Lecz jak zaopiekować się gromadami tych biednych dzieci, które nieustannie prosiły o przyjęcie do przytułku? » « W tym okresie szczególnych potrzeb — wspominał ks. Bosko — postanowiono zbudować nowe skrzydło domu ».

Była już późna jesień, ale roboty postępowały błyskawicznie naprzód i wkrótce brakowało tylko dachu. Wówczas nastąpiła słońca. « Deszcz padał jak z cebra przez wiele dni i nocy — pisze ks. Bosko. — Spływające strugi wypłukały świeżą zaprawę murarską, pozostawiając konstrukcję złożoną z samych cegieł i kamieni. Było to 2 grudnia około północy, gdy usłyszano straszny, wzmagający się i coraz bardziej przerażający się hałas. To mury rozpadały się w gruzy ».

Przerażonym chłopcom ks. Bosko powiedział:

— To sprawa szatana. Jednak z pomocą Bożą i Maryi wszystko odbudujemy.

Diabeł, być może, maczał w tym palce, ale ekonom, ksiądz Giraudi, który zbadał resztki tych

murów, stwierdził, że składały się z kamieni i piasku rzecznego i że zaprawa murarska była bardzo licha. Ksiądz Bosko chciał zbudować jak najtaniej, a budowniczy też chciał coś zarobić...

Szkody wynosiły około 10 tysięcy lirów. Prace mogły być wznowione na wiosnę i budynek został ukończony w październiku 1853 r. « Ponieważ gwałtownie potrzebowaliśmy lokali — zapisał ks. Bosko — natychmiast wprowadziliśmy się do niego. Można było urządzić szkołę, refektarz, sypialnię, a liczba wychowanków wzrosła do sześćdziesięciu pięciu ».



17 lutego i 29 marca 1848 r. Karol Albert przyznał protestantom i żydom zrównanie praw cywilnych. Dotąd byli oni jedynie tolerowani.

Katolicy sądzili, że protestanci po uzyskaniu równouprawnienia będą zachowywali się cicho. Tymczasem spostrzegli z niepokojem, że sekta waldensów szykowała się do prawdziwej kampanii prozelityzmu.¹ Z jej inicjatywy zaczęto wydawać trzy pisma: « Dobra Nowina », « Światło ewangeliczne » i « Stańczyk piemontcki ». Sekciarze wydawali również i rozprowadzali tanie książki propagandowe i organizowali cykle konferencji.

Katolicy oburzali się, ale niewiele mogli zdziałać. W tej sytuacji biskupi Piemontu zwołali konferencję w 1849 r. w Villanovetta (Cuneo). « Oburzenie się — stwierdzili — nie zda się na nic. Trzeba zareagować, trzeba wystąpić w prasie i w kazaniach ».

¹ Prozelityzm: dążenie do nawracania innych na swoją wiarę, do pozyskania zwolenników jakiejś idei.

Konkretnym skutkiem obrad było opublikowanie « Zbioru dobrych ksiązek » we wrześniu 1849 r., rozpoczęcia wydawnictwa gazety « Dzwon » w marcu 1850 r. i serii « Czytanek Katolickich » w marcu 1853 r.

Te ostatnie (cała seria książeczek) powstały z inspiracji ks. Bosko, popierane były szczególnie przez biskupa z Ivrei.

Nie dialog, ale przyparcie do muru

Sześć pierwszych tomików napisał ksiądz Bosko. Ukazały się w okresie od marca do sierpnia 1853 r. Miały wspólny tytuł: « Katolik znający swoją religię ».

Ksiądz Bosko opowiadał później z uśmiechem, jak to wikariusz generalny z Turynu powiedział mu: « Boję się pod tym złożyć mój podpis. Ksiądz rzuca wyzwanie i atakuje nieprzyjaciół ». On zaś napisał te książeczki z takim samym nastawieniem, z jakim idzie się do bitwy. Nie wiedział, czym jest dialog. Jego styl można przyrównać do przypierania do muru. Trzeba było ocalić dla Kościoła, dla Boga, dla życia wiecznego młodzież i ludzi starszych. Dlatego trzeba było walczyć, bić się. « Czytanki Katolickie » zostały przyjęte z powszechnym uznaniem, a liczba ich czytelników była ogromna. Wzbudziły one gniew protestantów. Do Valdocco udali się pastorzy waldensów: Bert i Meille oraz ewangelik Pugno. Starali się zmusić ks. Bosko; aby zaniechał

wydawania « Czytanek » albo przynajmniej złagodził ich ton. Ale nic nie uzyskali.

« Pewnego styczniowego wieczoru zgłoszono mi przybycie dwóch panów — pisze ks. Bosko. — Weszli i pogratulowali mi:

— Pan, panie teologu, posiada wielki dar. Lud rozumie pana i czyta pana pisma. Powinien pan poświęcić się nauczaniu historii, geografii i fizyki. Natomiast lepiej będzie, jeżeli pan zarzuci wydawanie « Czytanek Katolickich ». Są to tematy już oklepane. Jeżeli zgodzi się pan napisać książki z zakresu historii i jeżeli przerwie tę bezpożyteczną dotychczasową pracę, gotowi jesteśmy sfinansować ich wydanie.

Równocześnie położyli przede mną cztery tysięcy banknoty.

— Jeżeli jest to praca bez wartości, to dlaczego wyrzucacie pieniądze, bym przestał ją wykonywać? Zostając księdzem, złożyłem ślubowanie, że będę działać dla dobra Kościoła i biednych ludzi. Zamierzam tę działalność kontynuować, między innymi pisząc i drukując « Czytanki Katolickie ».

Wówczas zmienili ton. W ich głosach odezwała się groźba:

— Źle ksiądz robi. Czy jest ksiądz pewien, że będzie mógł powrócić do domu, gdy zdecyduje się wyjść na dwór?

Wstałem. Otworzyłem drzwi pokoju.

— Buzzetti — powiedziałem — odprowadź tych panów do bramy ».

Wychodząc, panowie powiedzieli: « Zobaczymy się jeszcze ». Ksiądz Bosko w ostatnim rozdziale swych « Wspomnień » opowiada, w jaki to sposób « zobaczyli się jeszcze » i dodaje: « Wydawało się, że zorganizowano przeciwko mnie spisek ». Podajemy te wspomnienia z pewnymi skrótami:

« Pewnego wieczoru — pisze ks. Bosko — gdy uczyłem w szkole, przyszło dwóch mężczyzn i wezwało, bym udał się pospiesznie do gospody « Złote serce » na Via Cottolengo 34, gdzie miał znajdować się umierający. Poszedłem tam, ale wziąłem ze sobą kilku starszych chłopców, chociaż przybysze starali się odwieść mnie od tego zamiaru. Gdy dotarliśmy na miejsce, zostałem wprowadzony do pokoju na parterze, w którym wielu wesołków zajadało się kasztanami. Chcieli oni, bym i ja zasiadł z nimi do jedzenia. Odmówiłem.

— To przynajmniej niech ksiądz wypije szklaneczkę naszego wina. Jeden łyk napewno nie zaszkodzi.

Nalali wina dla wszystkich, ale gdy doszli do mnie, naiwnie udali się po inną butelkę. Wziąłem szklaneczkę, powiedziałem « na zdrowie » i odsta-
wiłem na stół.

— Niech ksiądz tak nie robi, to sprawia nam przykrość!

— To jest zniewaga!

— Ale ja nie mam ochoty pić.

Wówczas zaczęli grozić.

— Musi ksiądz koniecznie się napić.

Jeden z nich chwycił mnie za lewą rękę, drugi za prawą.

— Napije się ksiądz dobrowolnie albo pod przymusem!

— Jeżeli chcecie koniecznie, bym wypił, zostawcie mi przynajmniej wolne ręce — powiedziałem uwalniając się. — A ponieważ sam nie mogę pić, dam moje wino jednemu z wychowanków, żeby je za mnie wypił.

Mówiąc te słowa, zrobiłem duży krok ku drzwiom, otworzyłem je i poprosiłem chłopców, by weszli do środka. Na ich widok obecni zmieszali się. Zaczęli się tłumaczyć, że chory wypowiada się nazajutrz. Pewna zaprzyjaźniona osoba dowiedziała się i potem mnie powiadomiła, że ktoś obiecał zafundować tym mężczyznom kolację, w zamian za przymuszenie mnie do wypicia wina, specjalnie przygotowanego dla mnie ».

Jeszcze jeden zamach

« Można by zaliczyć do bajek te wszystkie zamachy, o których opowiadam — pisze ks. Bosko — ale niestety, były one prawdziwe i wiele osób jest w stanie to poświadczyć.

Pewnego wrześniowego wieczoru zostałem pilnie wezwany do domu Sardiego, w pobliżu Schroniska, aby wypowiadać umierającą niewiastę. Poprosiłem kilku starszych chłopców, by poszli ze mną. Z pewną podejrzliwością bowiem odnosiłem się do wszystkiego. Pozostawiłem kilku z nich u wejścia

na schody. Józef Buzzetti i Giacinto Arnaud towarzyszyli mi aż do drzwi prowadzących do pokoju chorej. Wszedłem i ujrzałem kobietę ciężko dyszącą; wydawało się, że wkrótce umrze. Poprosiłem obecne tam cztery osoby, by opuściły pokój. Chciałem ją wyspowiadać.

— Nim się wyspowiadam — krzyknęła chora — chcę, by ten łajdak przeprosił mnie!

— Nic złego ci nie zrobiłem!

— Spokój! — krzyknął ktoś wstając.

Zaczęła się straszliwa kłótnia i nim zdołałem pojąć o co chodzi, ktoś inny zgasił światło i grad uderzeń posypał się w moją stronę. Zdążyłem chwycić jakieś krzesło i unieść je, by osłonić nim głowę, szybko wycofując się ku drzwiom. Uderzenia, które miały mnie wykończyć, rozbiły krzesło. Jeden cios dosięgnął kciuka mej lewej ręki i zerwał mi paznokiec. Razem z moimi chłopcami wróciłem do domu ».

« Wydaje się — stwierdza ks. Bosko — że uczyniono wszystko, by odwieść mnie od oskarżania protestantów ».

« Szary »

« Częste napaści na moją osobę — mówi w innym miejscu — kazały mi zrezygnować z samotnych wypadów do miasta (wówczas pomiędzy oratorium i miastem znajdował się długi odcinek drogi, biegnącej wśród gęstych krzewów i akacji).

Pewnego ciemnego wieczoru wracałem do domu sam, z duszą na ramieniu. Nagle zauważyłem obok

siebie dużego psa, który w pierwszym momencie mnie przestraszył. Ale potraktowałem go tak, jakbym był jego właścicielem i szybko zaprzyjaźniłem się. Odprowadził mnie aż do oratorium. Zresztą nie jeden raz. Muszę powiedzieć, że Szaruś (ksiądz Bosko tak go nazwał) wyświadczał mi duże przysługi. To co opowiem, będzie najlepszym tego potwierdzeniem.

Pod koniec listopada 1854 r., w mglistą, deszczową pogodę, znów byłem zmuszony powracać samotnie. W pewnym momencie zauważyłem dwóch mężczyzn, którzy szli w małej odległości przede mną. Przyspieszali kroku, względnie zwalniali, w zależności od tego, czy ja szedłem szybciej, czy wolniej. Próbowałem zawrócić, ale było za późno: dwoma susami doskoczyli do mnie i zarzucili mi płaszcz na głowę. Próbowałem się bronić, chciałem krzyknąć, ale nie udało mi się. Wtedy nadbiegł Szaruś. Szczekając, rzucił się łapami na twarz jednego z opryszków, potem zębami uchwycił drugiego.

— Niech ksiądz zawoła tego psa — zaczęli krzyknąć.

— Zawołam, jeżeli zostawicie mnie w spokoju.

— Niech ksiądz zawoła go natychmiast! — błagali.

Szaruś w dalszym ciągu czekał jak wściekły. Odeszli szybko a pies, nie odstępując na krok, odprowadził mnie do domu.

Każdego wieczoru, kiedy nie było nikogo, kto by mi towarzyszył w drodze, z chwilą gdy wchodziłem pomiędzy drzewa, Szaruś zjawiał się niespodzie-

wanie. Chłopcy z oratorium widzieli go wielokrotnie, jak wchodził na podwórze. Kiedyś dwaj z nich przerażeni jego widokiem chcieli go obrzucić kamieniami, ale Józef Buzzetti powstrzymał ich.

— Zostawcie go w spokoju, to jest pies księdza Bosko.

Wówczas zaczęli go głaskać i zaprowadzili do jadalni, gdzie właśnie jadłem kolację z kilku klerykami i matką. Patrzyli na niego przestraszeni.

— Nie bójcie się — powiedziałem — to jest mój Szarus, pozwólcie mu przyjść. I rzeczywiście pies obszedł wokół całego stołu i zbliżył się do mnie wielce uradowany. Próbowałem mu dać zupy, chleba i coś z drugiego dania, ale nie chciał niczego tknąć. Położył głowę na mojej serwetce, jakby chciał powiedzieć mi dobranoc i pozwolił się potem odprowadzić przez chłopców do drzwi. Przypomniałem sobie, że tego wieczoru wróciłem późno do domu. Jeden z przyjaciół przywiózł mnie swym powozem ».

Karol Tomatis, który w tym czasie przychodził do oratorium na naukę, potwierdził: « Był to pies o wyglądzie rzeczywiście groźnym. Nieraz mama Małgorzata, widząc go, wołała: « O ty brzydki zwierzaku ». Przypominał wilka, wysokiego na metr, pysk miał wydłużony, uszy stojące, sierść szarą ».

Jednego razu — opowiada Michał Rua, który widział Szarusia dwukrotnie — ksiądz Bosko musiał wyjść załatwić jakieś pilne sprawy, ale napotkał psa leżącego na progu. Starał się odsunąć go, przeskoczyć przez niego. Pies jednak warczał i popychał

ks. Bosko do wnętrza. Mama Małgorzata, która znała dobrze Szarusia, powiedziała do syna:

— Jeżeli nie chcesz posłuchać mnie, posłuchaj przynajmniej tego psa. Nie wychodź!

Następnego dnia doniesiono księdzu, że jakiś opryszek, uzbrojony w pistolet, czekał na niego za zakrętem.

Ksiądz Bosko nieraz zamierzał dowiedzieć się czegoś bliższego o pochodzeniu swego wybawcy. Nie udało się to nigdy. Gdy w 1872 r. baronowa Azelia Fassati spytała go, co sądzi o Szarusiu, wówczas powiedział żartobliwie:

— Byłoby śmieszne mówić, że jest to anioł. Ale nie można również twierdzić, że jest to zwykły pies.

Drzemka u szewca

Za dnia ksiądz Bosko pracował dla swych chłopców, chodził po kweście, spowiadał i głosił kazania w wielu instytucjach miasta. Nocą wiele godzin poświęcał na naprawę odzieży i obuwia wychowanków, pisał swoje książki. Deficyt snu ciągle się powiększał. Zdarzało się jednak, że sen zniemka go pokonywał.

Czasami po obiedzie — wspomina Jan Cagliero — ks. Bosko nagle zasypiał, siedząc na krześle, z głową opuszczoną na piersi. Wówczas wszyscy cichutko na palcach wychodzili, by go nie budzić.

Ta poobiednia godzina była dla niego najtrudniejsza z całego dnia, wychodził więc po sprawunki do miasta, odwiedzał dobroczyńców po kweście.

« Gdy chodzę, nie zasypiam » — mówił uśmiechając się. Ale nie zawsze to mu się udawało.

Któregoś popołudnia znalazł się na placyku przed kościołem Matki Boskiej Pocieszenia. Był tak senny, że nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje i dokąd idzie. W pobliżu był warsztat szewski. Ksiądz Bosko wszedł tam i poprosił właściciela, by pozwolił mu usiąść na krześle i przespać się przez kilka minut.

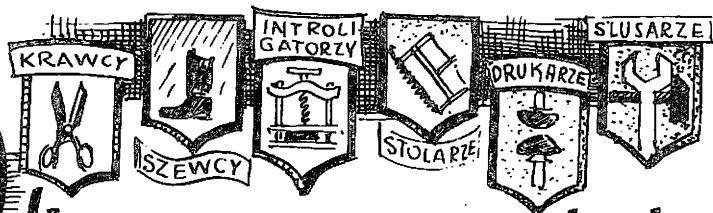
— Proszę, proszę księżę dobrodzieju! Przykro mi jedynie, że przeszkadzać będę księdzu stukaniem młotka.

— Ależ nie, wcale mi to nie przeszkadza!

Usiadł przy ladzie i usnął. Spał od godziny czternastej trzydzieści do siedemnastej. Gdy się obudził, spojrział wokoło i patrząc na zegar, zawołał:

— O ja biedny! Dlaczego mnie pan nie obudził?

— Drogi księżę — odpowiedział szewc — spał ksiądz tak smacznie, że grzechem byłoby obudzić księdza. Chciałbym i ja tak spać!



Własne warsztaty

Na początku dom oratorium (który ks. Bosko nazywał schroniskiem, a który, stosując terminologię dzisiejszą, nazwalibyśmy internatem) otwierał swe podwoje przede wszystkim dla młodych robotników.

Po pierwszym chłopcu z Val Sesia, który trafił do kuchni matki Małgorzaty w ulewnym deszczu, po Buzzettim i Gastinim — co roku przybywały ich dziesiątki. Byli tacy, którzy mieszkali tam trzy lata, inni dwa miesiące, jeszcze inni całe życie. Dopiero począwszy od 1856 r. większość mieszkańców internatu stanowili uczniowie.

Pierwszeństwo mieli najpierw młodzi robotnicy, z uwagi na nędzne warunki życia. Robotnik, zwłaszcza młody, był zdany tylko na siebie, zupełnie bezbronny wobec najemcy. Nie istniały żadne związki zawodowe. Karol Albert zgodził się zaledwie na utworzenie «towarzystwa opieki», ale liberałowie byli przeciwni nawet i temu.

Ksiądz Bosko, umieszczając swych chłopców u pracodawców, chronił ich odpowiednim kontraktem. Odwiedzał ich co tydzień w miejscu pracy, jako

« gwarant wobec rodziny ». Jeżeli najemca nie przestrzegął umowy, odbierał od niego terminatora.

W 1853 r., gdy została ukończona budowa nowego domu zdecydował się na założenie pierwszych warsztatów.

Na początku dwa stoliki

W listopadzie 1853 r. zostały zainicjowane warsztat szewski i pracownia krawiecka. Szewców umieścił ks. Bosko w wąziutkim pokoiku, który obecnie spełnia rolę mini-zakrystii przy kaplicy Pinardiego, obok dzwonnicy. Wstawiono tu dwa stoliki i cztery zydelki. Na początku nauczycielem zawodu był sam ks. Bosko. Zasiadł na zydlu i pokazał czterem chłopcom, jak należy przygotować zelówkę. Potem nauczył ich posługiwać się szydłem i szpagatem nasyonym smołą. Po kilku dniach odstąpił miejsce majstra Dominikowi Goffi, portierowi oratorium.

Krawcy zostali umieszczeni w dawnej kuchni. Garnki i piecyki przeniesiono do nowego budynku. Pierwszymi mistrzami krawieckim byli mama Małgorzata i oczywiście ksiądz Bosko, który przekazywał uczniom swe umiejętności szycia i kroju zdobyte jeszcze w Castelnuovo u Jana Roberto.

Na wiosnę 1854 r., jakby dla żartów, utworzył trzeci warsztat: introligatornię. Żaden z jego podopiecznych nie zna tej sztuki. Któregoś dnia, otoczony chłopcami, ks. Bosko rozłożył na stole drukowane arkusze swej ostatniej książki « Aniołowie



Na drugim piętrze tego domu, za oknami pokrytymi bujnymi winogronami, są pokoje w których Książ Bosko mieszkał i gdzie zakończył swe pracowite życie

Stróże ». Potem wskazał palcem na jednego z wychowanków:

— Ty zostaniesz introligatorem!

— Ja? Ależ ja nie wiem co to jest.

— Nie szkodzi. Chodź bliżej. Widzisz? Te zadrukowane papiery nazywają się arkuszami drukarskimi. Trzeba zgiąć je na pół, potem jeszcze raz na pół, znów na pół i jeszcze raz na pół. Pozwól, spróbujemy!

Z pomocą innych chłopców, którzy stali wokół stołu, wszystkie arkusze zostały poskładane. Ksiądz Bosko uporządkował je kolejno według stronic.

— I oto książka jest złożona. Teraz trzeba ją zszyć.

Matka Małgorzata, wezwana na pomoc, przyniosła mocną igłę. Palce, co prawda, nieco ucierpiały, ale udało się książkę zszyć. Szczypta białej mąki, rozprowadzona wodą, umożliwiła przyklejenie okładki.

Pozostawała jeszcze ostatnia operacja: obcięcie brzegów książki. Jak to zrobić? Zgromadzeni wokół stołu chłopcy dawali różne rady: proponowali nożyczki, scyzoryk, pilnik. Ksiądz Bosko poszedł do kuchni, wziął półokrągły, stalowy nóż, służący normalnie do siekania cebulki i pietruszki i kilku zdecydowanymi ruchami wyrównał brzegi. Wszyscy śmiali się, śmiał się również i on. W taki to sposób pracownia została zainaugurowana i zajmowała od-tąd jeden pokój w nowym budynku.

W 1854 r. było już w warsztatach tylu uczniów, że ks. Bosko napisał dla nich mały regulamin. Czy-

tamy w nim, że na terminatora może być przyjęty chłopiec w lat 12-18, a także sierota bez ojca i matki, biedny i opuszczony. Jeżeli posiada rodzeństwo lub wujów, którzy są w stanie zająć się jego wykształceniem, nie może ubiegać się o miejsce w tym domu ».

Rok starań o drukarnię

Pod koniec 1856 r. został uruchomiony czwarty warsztat stolarski, tym razem od początku wyposażony na serio. Duża grupa chłopców przeszła z warsztatów w mieście do obszernej sali, w której znajdowały się stoły, odpowiednie narzędzia i magazyn drewna. Pierwszym nauczycielem zawodu był pan Corio.

Piątym warsztatem, najbardziej upragnionym, stała się drukarnia.

Ksiądz Bosko musiał prawie przez rok walczyć o uzyskanie zezwolenia władzy. Wreszcie otrzymał je w dniu 13 grudnia 1861 roku.

Początki były skromne: dwa « walce », obracane ręcznie. Ale pod koniec życia ks. Bosko drukarnia była już ogromna i nowoczesna, i konkurowała z powodzeniem z najlepszymi drukarniami w mieście: cztery prasy, dwanaście maszyn poruszanych mechanicznie, sterotypia, odlewnia czcionek, miedziorytnictwo.

W 1862 r. ks. Bosko otworzył swój szósty i ostatni warsztat: ślusarski, zaczątek obecnych warsztatów mechanicznych.

Najlepsze rozwiązanie: pomocą koadiutorzy

W trakcie organizowania tych zakładów ks. Bosko napotykał na ogromne trudności. Próbował też rozmaitych rozwiązań.


Początkowo przyjmował majstrów za normalnym wynagrodzeniem. Okazało się, że myśleli oni przede wszystkim o własnej pracy, a nie o postępach uczniów i o dobrym funkcjonowaniu warsztatów.

Drugie rozwiązanie polegało na tym, że mistrzowie byli odpowiedzialni za wszystko: musieli starać się o zamówienia jakgdyby byli właścicielami warsztatów. W wyniku tego chłopcy byli traktowani jak czeladnicy a tym samym byli wyjęci spod gestii dyrektora.

W trzeciej próbie ks. Bosko przyjął na siebie całkowitą odpowiedzialność moralną i administracyjną za warsztaty, pozostawiając majstrom jedynie nauczanie zawodu. Konsekwencje znów okazały się ujemne: mistrzowie, bojąc się, że zostaną prześcignięci przez najlepszych uczniów, nie wysilali się zbyt, by nauczyć ich wiele i pozwalali chłopcom leniuchować.

W końcu ks. Bosko znalazł najwłaściwszą metodę. Udało mu się wykształcić kierowników warsztatów, całkowicie z nim związanych. Byli to koadiutorzy salezjańscy. Są oni zakonnikami, podobnie jak klerycy i księża, a ich szczególnym powołaniem jest nauczanie w szkołach zawodowych.

Współ- pracownicy i następcy



Pierwszego listopada 1851 r. ksiądz Bosko przybywa w rodzinne strony do Castelnuovo d'Asti. Ma pod wieczór wygłosić kazanie z okazji Dnia Zadusznego.

Jeden z ministrantów, mały chłopczyk, towarzyszy mu aż na ambonę i przez cały czas trwania kazania pilnie się w niego wpatruje. Po powrocie do zakrystii ks. Bosko stwierdza, że malec w dalszym ciągu przygląda się mu uważnie. Wzywa więc go do siebie i mówi:

— Wydaje mi się, że chcecz mi coś powiedzieć, prawda?

— Tak. Chcę razem pojechać do Turynu i tam chcę się uczyć, by zostać księdzem.

— Dobrze! Powiedz twej mamusi, niech po kolacji przyjdzie na probostwo.

Chłopiec ten nazywa się Jan Cagliario i nie ma już ojca. Matka przychodzi z Jankiem, ciekawa rozmowy.

A więc — żartuje ks. Bosko — czy to prawda Tereso, że chcesz sprzedać mi swego syna?

— O nie! — odpowiada śmiejąc się kobieta. — U nas sprzedaje się cielątka, a chłopców można najwyżej podarować!

— Tym lepiej. Przygotuj mu trochę bielizny i jutro wezmę go ze sobą.

Następnego dnia o świcie Janek Cagliero był już w kościele. Służył księdzu Bosko do mszy św., zjadł z nim śniadanie, ucałował mamę i biorąc swój węzełek pod pachę, powiedział zniecierpliwiony:

— No więc, księżu Bosko, ruszamy?

« Położymy go spać w koszu na chleb »

Pieszko przeszli szmat drogi. Chłopiec właściwie przebył tę drogę dwukrotnie, gdyż nie przestając rozmawiać z ks. Bosko, ciągle wybiegał naprzód, gonił wróble na łąkach, przeskakiwał rowy. Później wspominał:

« W czasie tej podróży ks. Bosko zadawał mi tysiące pytań i ja dawałem mu też tysiące odpowiedzi. Odtąd nie miałem już przed nim żadnych tajemnic. Słyszając o moich figlach, powiedział żartem, że teraz będę musiał stać się lepszy. W końcu dotarliśmy do Turynu.

Był to już wieczór drugiego listopada. Byliśmy zmęczeni. Ksiądz Bosko przedstawił mnie mamie Małgorzacie i powiedział:

— Mamo, przyprowadziłem ci chłopczyka z Castelnuovo.

Małgorzata na to:

— No tak, ty tylko wyszukujesz chłopców, a ja nie wiem już, gdzie ich ulokować.

— Ale ten chłopiec jest taki mały — zażartował ks. Bosko — że możemy położyć go spać w koszu na chleb. Podciągniemy ten kosz na sznurze aż pod sufit, tak jak klatkę kanarków.

Małgorzata roześmiała się i zaczęła szukać dla mnie jakiegoś miejsca. Rzeczywiście, nie było wolnego kącika i tego wieczoru musiałem przespać się w nogach łóżka mego kolegi.

Następnego dnia zdałem sobie sprawę z ubóstwa, jakie panowało w tym domu. Nasze sypialnie na parterze były wąskie i miały podłogę ułożoną z kamieni, którymi brukuje się ulice. W kuchni znajdowało się kilka cynowych talerzy i łyżek. Widelce, noże, serwetki otrzymaliśmy dopiero wiele lat później. Jadalnia urządzona była w baraku. Ksiądz Bosko podawał nam do stołu, pomagał utrzymywać porządek w sypialni, czyścił i łatał nasze ubrania, wykonywał wszelkie prace.

Stanowiliśmy rzeczywiście wspólnotę we wszystkim. Czuliśmy się nie tyle jakimś kolegium, ile rodziną pod kierownictwem ojca, który nas kochał i który troszczył się o nasze dobro duchowe i materialne ».

Janek Cagliero już od pierwszych dni pobytu w oratorium zwracał na siebie uwagę wesołością i temperamentem. Aż kipiała w nim chęć do zabawy.

Tymczasem Michał Rua w dalszym ciągu mieszkał z matką. Rano na czele małej grupki uczniów udawał się do profesora Bonzanino. Z polecenia ks.

Bosko pełnił funkcję tzw. asystenta i musiał pilnować, by nikt nie wagarował. Rzadko jednak udawało się Michasiowi utrzymać w ryzach Cagliari. Gdy tylko opuszczali oratorium, Janek zmieniał trasę i biegł co sił w nogach do Porta Palazzo. Zatrzymywał się tam i podziwiał błaznów i namioty cyrkowe. Potem znów pędził do szkoły. Gdy inni chłopcy tam dochodzili, on już stał w drzwiach, spocony ale szczęśliwy. Michaś patrzył na niego z wyrzutem:

— Dlaczego nie idziesz z nami?

— Bo bardziej podoba mi się inna droga, czy to źle?

— Musisz być posłuszny!

— A czy nie jestem? Mam iść do szkoły, więc idę. Mam być punktualny, więc jestem zawsze na czas. Co ci szkodzi, że lubię popatrzeć na kuglarzy?

W przyszłości miał zostać pierwszym biskupem i pierwszym kardynałem salezjańskim. Obok księdza Rua stanowić będzie jeden z najsolidniejszych filarów Towarzystwa Salezjańskiego. Temperamentem Rua i Cagliari zawsze różnili się bardzo. Michaś był pilny, wytrwały, refleksyjny, natomiast Jana cechował entuzjazm, wylewność, nadmiar energii. Obaj gotowi byli dla ks. Bosko rzucić się w ogień.

*« Przejdziesz przez Morze Czerwone
i przez pustynię »*

22 września 1852 r. Michaś Rua wstępuje ostatecznie jako alumn do oratorium. Następnego dnia, razem z ks. Bosko, matką Małgorzatą i dwudziestoma sześcioma kolegami, pieszo udaje się do Bec-

chi. Ksiądz Bosko ma głosić kazania w czasie nowenny różańcowej w Castelnuovo, a interniści zamieszkają u jego brata Józefa.

Nim wyruszyli w drogę, ks. Bosko wezwał chłopca i powiedział:

— W przyszłym roku będę potrzebował twojej pomocy przy prowadzeniu oratorium. W święto Matki Boskiej Różańcowej, 3 października, przybędzie do Becchi proboszcz z Castelnuovo i w tamtejszej kaplicy otrzymasz czarny strój kleryka. Po powrocie do oratorium zostaniesz asystentem i nauczycielem twoich kolegów. Zgadzasz się?

— Tak. Zgadzam się.

W kilka dni później wieczorem — wspomina ks. Rua — w czasie jazdy powrotnej powozem do Turynu, ks. Bosko przerwał nagle milczenie i powiedział:

— Drogi Rua, teraz rozpoczynasz nowe życie. Wiedz jednak, że nim dojdiesz do Ziemi Obiecanej, będziesz musiał przejść przez Morze Czerwone i przez pustynię. Jeżeli mi pomożesz, spokojnie przejdziemy przez jedno i drugie, i wspólnie dojdziemy do celu.

Michał zamyślił się. Niewiele z tego rozumiał. Przerwał więc milczenie i spytał:

— Czy ksiądz przypomina sobie nasze pierwsze spotkanie? Ksiądz rozdawał wówczas medaliki, ale dla mnie już zabrakło. Wtedy zrobił ksiądz dziwny gest, jak gdyby chciał mi dać połowę swej ręki. Co ksiądz chciał przez to powiedzieć?

— Jeszcze tego nie zrozumiałeś? Chciałem ci powiedzieć, że będziesz moim współnikiem. Wszy-

stko co moje, będzie również i twoje, nie wyłączając odpowiedzialności i kłopotów. — Ksiądz Bosko uśmiechnął się.

— Ale będzie również wiele pięknych spraw. Zobaczysz! A na koniec rzecz najpiękniejsza: niebo!

Gwarancja na pięćdziesiąt lat życia

Wtorek wielkanocny 1853 roku. Niebo Turynu pokryte jest czarnymi chmurami. Jan Francesca i Michał Rua, koledzy szkolni i serdeczni przyjaciele, wspólnie powtarzają lekcję włoskiego. Michał jednak jest dziwnie roztargniony i nieobecny. Widać, że jakiś wielki smutek go przytłacza. Francesca, który już dwukrotnie pyta się go o to samo, zły, zamyka książkę. Wybuch:

— Co właściwie się z tobą dziś dzieje?

Zagryzając wargi, by się nie rozpląkać, Michał szepcze:

— Umarł mój brat Jan... Teraz już będzie kolej na mnie...

Jan był jego ostatnim bratem. Mieszkał z matką. Odtąd została ona sama w mieszkaniu przy Fabryce Broni. Gdy ks. Bosko dowiedział się o tym, chcąc rozerwać trochę Michała, wziął go ze sobą do miasta. Musiał załatwić coś w pobliżu kościoła Gran Madre, nad brzegiem Padu. Maszerowali szybko, rozmawiając o oratorium. Turyn obchodził wówczas rocznicę czterechsetlecia słynnego cudu Najświętszego Sakramentu i ks. Bosko wydał z tej okazji okolicznościową broszurkę. Rozeszła się błyskawicznie.

W pewnej chwili ks. Bosko zatrzymał się i powiedział:

— Za pięćdziesiąt lat odbędą się uroczystości związane z dziewiątym półwieczem cudu, lecz mnie już wówczas nie będzie. Ale ty będziesz. Pamiętaj wydać na nowo moją książeczkę,

Michał myśli o tej dacie, tak bardzo odległej: rok 1903! Potrząsa głową.

— Księżę Bosko, ksiądzu łatwo powiedzieć, że ja wówczas jeszcze będę żył. Ja natomiast obawiam się, że śmierć już wkrótce spleta mi brzydkiego figła...

— Ani brzydkiego, ani ładnego — przerywa ks. Bosko. — Zapewniam cię, że za pięćdziesiąt lat będziesz jeszcze żył. Wydrukujesz tę książeczkę, dobrze?

W 1903 r. rzeczywiście ksiądz Rua żył jeszcze, po śmierci ks. Bosko został mianowany jego następcą i stał na czele Towarzystwa Salezjańskiego. Miał wówczas 66 lat i kazał na nowo wydrukować wspomnianą broszurę.

Panicze i obdartusy

Ksiądz Bosko, poświęcając się pracy na rzecz młodych terminatorów, nie zaniedbywał również młodzieży kształcącej się. Pragnął bowiem przygotować współpracowników: kleryków i kapłanów, którzy pomagaliby mu w pracy. Pragnął również dać diecezji nowych kapłanów, którzy by uzupełnili wykruszające się szeregi kapłanów starszych.

Pierwszy zastęp kleryków trochę go rozczarował, jak już o tym była mowa. Ale Rua, Cagliero i Francesca nie zawiedli pokładanych w nich nadziei. A obok nich dojrzewali już Angelo Savio, Rocchietti, Turchi, Durando, Cerruti...

Konwikt dla studentów powstał po kryjomu, niemniej rozwijał się bardzo pręźnie: w 1850 r. było w nim dwunastu studentów, w 1854 r. trzydziestu trzech, w 1855 r. sześćdziesięciu trzech, a w 1857 r. aż stu dwudziestu jeden.

Uczniowie trzech pierwszych klas łaciny dochodzili na lekcje do profesora Bonzanino, potem uczęszczali do klas humanistyki i retoryki księdza Mateusza Picco, w pobliżu kościoła Matki Boskiej Pocieszenia.

Do tych dwóch szkół prywatnych uczęszczali również synowie z zamożnych rodzin Turynu i płacili słono za naukę. Chłopcy księdza Bosko uczyli się za darmo.

Panicze początkowo wyśmiewali się z « obdartusów », którzy do szkoły przychodzili w starych wojskowych pelerynach, nadających im wygląd przemytników lub postaci z karykatur (peleryny te, jak również czapki wojskowe, otrzymał ks. Bosko w darze od ministra. Przypominały raczej derki niż okrycie — wspomina ks. Lemoyne — ale chroniły przed deszczem i śniegiem).

Profesor Bonzanino jednak nie tolerował ironicznych uwag. « Wartość ucznia — mawiał z powagą — mierzy się stronicami wykonanych zadań, a nie kolorem peleryny ». Jeżeli zaś chodzi o stopnie, te obdartusy lepiej spisywały się od mamin-

synków. Chłopcy księdza Bosko traktowali studia serio. Miłość księdza była wymagająca i nie tolerowała lenistwa. W 1863 r. profesor Prieri z Uniwersytetu Turyńskiego oświadczył: « U księdza Bosko studiuje się, i to studiuje się naprawdę ».

Siedemnastoletni profesor

Wędrowni konwiktorów do miasta nie były idealnym rozwiązaniem. Wkrótce zresztą aule profesorów Bonzanino i Picco nie mogły pomieścić wszystkich studentów z oratorium.

Gdy siedemnastoletni Jan Chrzyciel Francesca ukończył z wyróżnieniem kurs łaciny, powierzono mu trzecią klasę gimnazjalną. Był listopad 1855 r.

Następnego roku zorganizowano również dwie wyższe klasy, pod kierunkiem świeckiego przyjaciela ks. Bosko, profesora Bianchi.

Konwiktorów otaczała pełna serdeczności, nasycona głęboką religijnością atmosfera. Stanowili oni obiecujące zawiązki przyszłych powołań kapłańskich, toteż ks. Bosko pragnął, by wzrastali w klimacie religijności sakramentalnej, maryjnej, kościelnej.

Wszyscy spowiadali się co tydzień lub co dwa tygodnie. Ksiądz Bosko codziennie dwie do trzech godzin spędzał w konfesjonale, a w wigilię świąt nawet całe popołudnia. Szeroko rozpowszechnione przeświadczenie o jego zdolności « czytania grzechów » ułatwiało chłopcom całkowitą szczerłość. Komunia św. — po kilku latach od założenia konwiktu

— była już dla wielu z nich codziennym sakramentem. Tylko nieliczni nie przyjmowali Chleba Eucharystii przynajmniej raz w tygodniu.

W oratorium oddychało się uwielbieniem Maryi. Było ono szczególnie intensywne za czasów Dominika Savio oraz w okresie gdy wznoszono wielkie sanktuarium Wspomożycielki.

Chrześcijańską mentalność ks. Bosko zawsze cechowało umiłowanie papieża. I nie była to wyłącznie kwestia słów: aby posłusznie wypełnić życzenie jednego z następców św. Piotra na Stolicy Apostolskiej, poświęcił ostatnie lata swego życia.

Sposób myślenia ks. Bosko, poparty konsekwentnie czynami, budował i pociągał chłopców.



Będziemy się nazywać Saleszjanami

26 stycznia 1854 roku. W Turynie panuje zimno, jak na biegunie, ale w pokoiku księdza Bosko jest przyjemnie i ciepło.

Ksiądz Bosko zwraca się do czterech chłopców, którzy z ufnością słuchają jego słów.

— Widzicie, że ksiądz Bosko robi wszystko co tylko jest w jego mocy, ale jest sam. Jeżeli mi pomożecie, wspólnie dokonamy cudów dobra. Tysiące biednych dzieci czeka na nas. Przysięgam wam, że Madonna da nam obszerne i przestronne oratoria, kościoły, domy, szkoły, warsztaty i wielu kapłanów do pomocy. I to we Włoszech, w Europie a także w Ameryce. Widzę też pośród was mitrę biskupią...

Czterej chłopcy patrzą na siebie oszołomieni. Wydaje im się, że śnią. A jednak ksiądz Bosko nie żartuje, jest poważny i zdaje się widzieć przyszłość.

— Madonna pragnie, byśmy założyli nowe Zgromadzenie. Długo myślałem, jaką nadać mu nazwę. Zdecydowałem, że będziemy nazywać się saleszjanami.

Wśród tych czterech chłopców znajdują się « kamienie węgielne » Zgromadzenia Salezjańskiego.

Tego wieczoru Michał Rua zapisał w swym zeszycie: « Zebraliśmy się w pokoju księdza Bosko: Rocchietti, Artiglia, Cagliero i Rua. Zaproponowano nam, by z pomocą Bożą i św. Franciszka Salezego starać się ćwiczyć praktycznie w miłości bliźniego. Później mamy złożyć przyrzeczenie a jeszcze później, jeżeli będzie to możliwe, złożymy Bogu ślub. Wszystkim tym, którzy decydują się na tę próbę i którzy w przyszłości będą ją podejmować, nadano nazwę Salezjanie ».

Pergola i róże

Wizja przyszłości, jaką ks. Bosko tego wieczoru ukazał swym chłopcom nie różni się od tej z przed kilku lat. Wówczas posądzono księdza Bosko o chorobę umysłową i grożono mu szpitalem psychiatrycznym. Ale ksiądz Bosko uparcie o niej mówi, gdyż — jak zwierzył się księdzu Borelowi — « widział ją we śnie ». W 1847 r. miał « zasadniczy sen » (są to jego słowa), który posłużył mu za program w wytyczaniu spraw do zrealizowania. Opo- wie o nim pierwszym Salezjanom dopiero w 1864 roku. Byli wówczas wśród nich ks. Rua, ks. Cagliero, ks. Durando i ks. Barberis.

« Pewnego dnia w 1847 r. — wspomina — gdy długo zastanawiałem się nad sposobem przyjścia z pomocą młodzieży, ukazała się Królowa Nieba (określenia bardzo rzadkie u ks. Bosko, zazwyczaj

mówił bowiem: przyśniła mi się piękna Pani) i zaprowadziła mnie do wspaniałego ogrodu. Znajdował się tam piękny krużganek obrosnięty pnącymi roślinami, obsypany liśćmi i kwiatami. Krużganek ten prowadził do wspaniałej pergoli,¹ otoczonej i porosłej pięknymi rozkwitłymi różami. Również cała ziemia była pokryta różami. Najświętsza Panna powiedziała mi:

— Idź pod tą pergolą przed siebie. Jest to droga, którą musisz przebyć.

Zacząłem iść. Wiele gałązek opadało z góry, tworząc jakby girlandy. Widziałem jedynie same róże: róże po bokach, róże w górze, róże przede mną. Ale nogi plątały się w gałązkach, które leżały na ziemi i raniły moje stopy. Usuwałem jakieś gałęzie poprzeczne, kłułem się, ręce i całe ciało miałem pokrwawione. Wszystkie róże miały ogromną ilość kolców.

Wszyscy, którzy przyglądali mi się, mówili: « Ksiądz Bosko zawsze idzie po różach. Wszystko układa mu się dobrze! » Nie widzieli, że kolce rozdzierały moje biedne ciało.

Wielu kleryków, kapłanów i ludzi świeckich, których zachęciłem, urzeczonych pięknem tych kwiatów początkowo szło ze mną radośnie. Ale gdy zauważyli, że trzeba iść po kolcach zaczęli wołać: « Oszukano nas! » Wielu zawróciło z drogi. Prakty-

¹ Pergola: ozdobna budowla ogrodowa w kształcie tunelu obrosnięta roślinami pnącymi, składająca się zazwyczaj z szeregu kolumn podtrzymujących drewnianą kratownicę.

cznie zostałem sam. Wówczas zacząłem płakać. « Czy to możliwe — mówiłem — bym musiał całą tę drogę przejść samotnie? »

Ale szybko doznałem pociechy. Zbliżyła się do mnie cała gromada księży, kleryków, ludzi świeckich, którzy oświadczyli mi: « Wszyscy należymy do księdza. Jesteśmy gotowi iść za księdzem ». Stałem na ich czele. Jedyne nielicznym zabrakło odwagi i zatrzymali się. Duża część jednak dotarła ze mną do celu.

Po przejściu całej pergoli znalazłem się w pięknym ogrodzie. Moi zwolennicy byli wychudli potargani i pokrwawieni. Wówczas zaczął wiać lekki wietrzyk i pod jego wpływem wszyscy ozdrowieli. Potem powiał inny wiatr i nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znalazłem się w otoczeniu przeogromnej liczby chłopców i kleryków, współpracowników świeckich i księży. Zaczęli oni pracować razem ze mną, wychowując tę młodzież. Wielu z nich znałem już z widzenia, wielu innych widziałem po raz pierwszy.

Wówczas Najświętsza Panna, która była moją Przewodniczką, spytała się:

— Czy wiesz, co oznacza to wszystko, na co teraz patrzysz i co przedtem widziałeś?

— Nie.

— Wiedz, że droga, którą przeszedłeś pośród róż i kolców, oznacza troskę, jaką będziesz musiał otoczyć młodzież. Kolce oznaczają przeszkody, cierpienia, przykrości na jakie napotkacie. Ale nie traćcie odwagi. Dzięki miłości i umartwieniu wszy-

stko przewycięzycie i dojdziecie do róż, pozbawionych już kolców.

Gdy Matka Boża skończyła mówić, ocknąłem się i znalazłem się w mym pokoju.

Opowiedziałem wam o tym — zakończył — aby każdy z nas miał pewność, że to Madonna pragnie naszego Zgromadzenia i oczekuje od nas, byśmy z coraz większą odwagą zabrali się do pracy ku większej chwale Bożej ».

Umocniony tą spokojną pewnością, ksiądz Bosko codziennie « zarzucał sieci », aby powiększyć liczbę swych przyszłych Salezjanów. Zwracał się jakby z przypadkowym pytaniem: « Kochasz księdza Bosko? Chciałbyś zostać ze mną? » Albo: « Nie pomógłbyś mi w pracy wśród młodzieży? Widzisz, gdybym miał stu księży i stu kleryków — dla wszystkich znalazłbym pracę. Moglibyśmy pójść na cały świat! »

« Jakie dasz mi wynagrodzenie? »

W Aviglianie mieszkał pewien ksiądz o trzy lata starszy od księdza Bosko. Nazywał się Wiktor Alasonatti. Ksiądz Bosko spotykał go często na rekolekcjach św. Ignacego. Zaprzyjaźnili się. Ksiądz Alasonatti pracował jako nauczyciel w Aviglianie. Dobrze radził sobie z małymi dziećmi. Był wprawdzie trochę za surowy i zbyt wiele wymagał od malców, ale oni kochali go.

Ksiądz Bosko wielokrotnie żartował z niego: — Ilu masz chłopców? Trzydziestu? I nie wstyd ci? Ja mam ich 600! Jak możesz pracować tylko

dla trzydziestu chłopców? Przyjdź do Turynu, pomożesz mi!

— A jakie dasz mi wynagrodzenie?

— Chleb, pracę i niebo. Jeżeli chodzi o liry, niewiele ich odłożysz, ale snu będziesz mógł zaoszczędzić, ile tylko zechcesz.

Żarty żartami, ale ksiądz Alasonatti zaczął myśleć o tej propozycji na serio. Ksiądz Bosko wyczuł to i na początku 1854 roku napisał do niego list, w którym powiedział mu tylko tyle: « Przyjedź pomagać mi w odmawianiu brewiarza ».

14 sierpnia, po załatwieniu wszystkich swoich spraw, ks. Alasonatti przybył do oratorium z walizką w ręce i z brewiarzem pod pachą. Uściskał księdza Bosko i powiedział:

— Oto jestem. Gdzie mam zacząć odmawiać brewiarz?

Ksiądz Bosko zaprowadził go do pokoju, w którym przechowywał księgi rachunkowe.

— Tutaj będzie twoje królestwo. Tak długo uczyłeś arytmetyki, że z dodawaniem i odejmowaniem dasz sobie z pewnością radę.

Ksiądz Alasonatti spoważniał:

— Od tej chwili ty rozkasz a ja będę cię słuchał. Nie oszczędzaj mnie, gdyż chcę zasłużyć sobie na niebo.

Od tego dnia ks. Alasonatti stał się cichym i trochę surowym cieniem księdza Bosko. Starał się odciążyć go od wielu prac: zajął się ogólną administracją domu, prowadzeniem ksiąg, przychodów i rozchodów, dzienników, załatwianiem najbardziej nudnej i przykrej korespondencji.

Gdy był zmęczony, gdy zdrowie przestawało mu dopisywać, odczytywał w brewiarzu karteczkę, którą włożył tam jako zakładkę: « Wiktorze, dlaczego tu przyszedłeś? » Obok napisał zdanie, które ksiądz Bosko — widząc kogoś mocno utrudzonego — często powtarzał: « Odpocznijemy w niebie! »

Dzień po przybyciu do Valdocco, ksiądz Alasonatti musiał rozpocząć swą misję w sposób raczej niezwykły: został wezwany do chorego na cholere. W Turynie bowiem gwałtownie zaczęła się szerzyć ta straszna choroba.

Śmierć na drogach Borgo Dora

Straszliwa wieść dotarła do Turynu w lipcu. Cholera rozszerzyła się już w Ligurii i pociągnęła za sobą trzy tysiące ofiar w Genui. Pierwsze wypadki w Turynie zasygnalizowano 30 i 31 lipca. Król, królowa i osoby należące do dworu uciekli w zamkniętych karetach z miasta. Schronili się w zamku Caselette, u wylotu doliny Lanzo i Suzy.

Epicentrum zarazy znajdowało się w Borgo Dora, w pobliżu Valdocco. Tam to w biednych domach i barakach gnieźdźdźli się emigranci, ludzie wygłodzeni, żyjący w warunkach urągających wszelkim wymogom higieny. W ciągu miesiąca zachorowało tam 800 osób, z tego 500 zmarło.

Syndyk Notta wystosował apel do miasta: potrzebni byli odważni ludzie, którzy zaopiekowaliby się chorymi, przewozili ich do lazaretów, aby zaraza nie rozszerzyła się jeszcze bardziej.

5 sierpnia, w święto Matki Boskiej Śnieżnej, ksiądz Bosko przemówił do chłopców. Zaczął w ten sposób:

— Jeżeli żyć będziecie w stanie łaski Bożej i nie popełnicie żadnego grzechu śmiertelnego, zapewniam was, że nikt nie zachoruje na cholereę.

Potem zwrócił się z prośbą:

— Słyszeliście, że syndyk wystosował apel. Potrzebni są pielęgniarze i ich pomocnicy do pielęgnowania chorych. Są wśród was chłopcy zbyt młodzi do tych zadań, ale jeżeli ktoś ze starszych czuje się na siłach, by odwiedzać ze mną szpitale i domy prywatne, możemy wspólnie spełnić dobry i miły Bogu czyn.

Tego wieczoru zgłosiło się czternastu chłopców. Po kilku dniach dalszych trzydziestu uzyskało pozwolenie na dołączenie się do pierwszej grupy, choć byli to chłopcy jeszcze bardzo młodzi.

Nastaly dni ciężkiej i niebezpiecznej pracy. Lekarze zalecali, by chorym nacierać i masować nogi w celu wywołania obfitego pocenia się. Ochotników podzielono na trzy grupy: najstarsi pracowali cały czas w lazaretach i w domach przy chorych, druga grupa kontrolowała ulice i stwierdzała, czy nie ma nowych zachorowań, a grupa trzecia (najmłodszy chłopcy) czekała w oratorium na ewentualne wezwanie.

Ksiądz Bosko wymagał zachowania daleko idących ostrożności. Każdy nosił przy sobie butelkę z octem i po zetknięciu się z chorym musiał przemyć sobie nim ręce.

« Często — opowiada ks. Lemoyne — brakowało prześcieradeł, koców i bielizny dla chorych. Chłopcy zgłaszali to matce Małgorzacie. Szła wówczas do szafy i wyciągała z niej, to co posiadała. Po kilku dniach w szafie były już pustki. Jeden z młodych pielęgniarzy przyszedł któregoś dnia i zgłosił, że jakiś chory leży na barłogu zupełnie bez pościeli. « Czy nie ma już niczego, czym można by go przykryć? » Małgorzata zamyśliła się a potem wyszła i zdjęła z ołtarza biały obrus i dała go chłopcu. « Zanieś go twemu choremu. Sądzę, że Bóg nie pogniewa się o to ».

Smutni olbrzymi

Szesnastoletni Janek Cagliero, wracając pod koniec sierpnia wieczorem do domu, poczuł się niedobrze. Prawdopodobnie w czasie upałów, jakie panowały, przejadł się owocami. Lekarz natychmiast wezwany przez księdza Bosko postawił niepokojącą diagnozę: tyfus. Gorączka nie opuszczała chłopca przez cały wrzesień. Pozostały z niego « skóra i kości ». Cagliero miał wrażenie, że umiera. Dwaj lekarze wezwani na konsylium uznali przypadek za beznadziejny. Radzili udzielić mu ostatnich sakramentów św. Ksiądz Bosko zmartwił się szczerze, gdyż bardzo kochał tego chłopca. Nie miał sił, by powiadomić go o sytuacji. Poprosił Józefa Buzzetiego, by delikatnie przygotował go na przyjęcie sakramentów świętych. Sam udał się do kościoła po wiatyk.

Józef Buzzetti skończył właśnie rozmawiać z Jankiem, gdy do pokoju wszedł ksiądz Bosko z wiatykiem. Znieruchomiał na chwile i utkwiał wzrok w jednym miejscu, jakgdyby zobaczył coś, czego inni nie mogli dostrzec. Potem podszedł do łóżka chorego i spostrzegł, że w jego zachowaniu zaszła nagła zmiana. Znikł smutek i niepokój. Chłopiec poweselał, uśmiechał się, w końcu cicho zapytał:

— A moja ostatnia spowiedź? Czy rzeczywiście muszę umrzeć? Ksiądz Bosko odpowiedział pewnym głosem:

— Jeszcze nie czas, by pójść do nieba. Jest jeszcze bardzo dużo spraw do załatwienia tu na ziemi. Wyzdrowiejesz, zostaniesz klerykiem... kapłanem... potem z brewiarzem w ręce będziesz musiał wędrować... będziesz musiał przygotować wielu innych do wzięcia brewiarza do ręki ... Pojedziesz daleko, daleko...

Po tych słowach ksiądz Bosko odniósł wiatyk do kościoła.

Po kilku dniach gorączka nagle opadła i Janek mógł udać się do Castelnuovo na długą rekonwalescencję.

Buzzetti i Cagliero byli bardzo ciekawi, co też ksiądz Bosko « zobaczył » wchodząc do pokoju chorego. Dużo później sam ks. Bosko opowiedział im o tym:

« Przekroczyłem właśnie próg, gdy nagle zobaczyłem silne światło. Śnieżnobiała gołębica, niosąc gałązkę oliwną, sfrunęła na łóżko chorego. Zatrzymała się o kilka centymetrów od bladej twarzy Cagliero i opuściła gałązkę na jego czoło. Zaraz potem

wydało mi się, że ściany pokoju rozstały się i ukazały się dalekie i tajemnicze horyzonty. Wokół łóżka stanął tłum dziwnych, prymitywnych postaci. Robiły one wrażenie smutnych olbrzymów. Niektórzy mieli skórę ciemną, wytatuowaną tajemniczymi, czerwonymi ornamentami. Dwóch olbrzymów o twarzy dumnej ale smutnej, pochyliło się nad łóżkiem chorego i drżąc szeptało:

— Jeżeli ty umrzesz, któż przyjdzie nam z pomocą?

Widzenie trwało kilka chwil tylko, ale ogarnęła mnie absolutna pewność, że Cagliero wyzdrowieje ».

Jedna strona w ciągu ośmiu minut

Gdy zaczęły się jesienne deszcze, ilość zachorowań na cholere znacznie zmalała. Pojedyncze wypadki zanotowano jeszcze u progu zimy, ale już 21 listopada ogłoszono koniec « zagrożenia ». Od 1 sierpnia do 21 listopada zarejestrowano w mieście 2500 zachorowań, w tym 1400 śmiertelnych.

Żaden z chłopców księdza Bosko jednak nie zachorował i teraz mogli już wszyscy spokojnie powrócić do nauki. Wielu przedtem jeszcze rozjechało się do rodzin na krótkie wakacje.

Ksiądz Bosko, jak co roku, udał się do Becchi na święto Matki Boskiej Różańcowej. Tam właśnie spotkał się ze swym kolegą ze seminarium, księdzem Cugliero, który był nauczycielem w Mondonio.

— Słuchaj — powiedział po wstępnych powitaniach. — Dowiedziałem się, że poza małymi urwi-

sami przyjmujesz do twego oratorium również wartościowych chłopców, którzy w przyszłości mogliby zostać kapłanami. W Mondonio mam takiego chłopca. Nazywa się Dominik Savio. Nie jest zbyt silny, ale gotów jestem założyć się, że nigdy nie spotkałeś tak dobrego chłopca jak on. Prawdziwy święty Alojzy.

— Przesadzasz! — uśmiechnął się ksiądz Bosko.
— Ale dobrze. Ja zostaję tu przez kilka dni. Chciałbym spotkać się z tym chłopcem i jego ojcem. Porozmawiamy i zobaczymy.

2 października 1854 r., na podwórku przed domem Józefa odbyło się spotkanie. Ksiądz Bosko tak był pod wrażeniem tego spotkania, że zanotował najdrobniejsze jego szczegóły, zupełnie jak gdyby je wówczas utrwalił na taśmie.

« Był to pierwszy poniedziałek października, wczesnie rano. Zobaczyłem chłopca nadchodzącego w towarzystwie ojca. Wesoła twarz chłopca, oraz jego pogodny ale pełen godności wygląd, przyciągały mój wzrok.

— Kim jesteś — spytałem — skąd pochodzisz?

— Nazywam się Dominik Savio, ksiądz Cugliero mówił księdzu o mnie. Przychodzimy z Mondonio.

Wówczas wziąłem go na bok i zaczęliśmy rozmawiać o jego dotychczasowej nauce, o życiu. Wkrótce nabraliśmy pełnego zaufania jeden do drugiego.

W chłopcu tym wyczułem duszę ukształtowaną duchem Bożym i zdumiony byłem wielkością dzieła, jakie łaska Boża dokonała w tak młodym wieku.

Po dość długiej rozmowie, jeszcze nim zawołałem ojca, chłopiec powiedział mi dokładnie te słowa:

— A więc, co ksiądz myśli? Zabierze mnie ksiądz ze sobą do Turynu na naukę?

— Sądzę, że będzie z ciebie dobry materiał.

— A do czego może się przydać ten materiał?

— Do uszycia pięknej szaty, którą podarujemy Bogu.

— Zgoda, ja będę materiałem a ksiądz niech będzie krawcem. Proszę wziąć mnie do siebie i uszyć piękną szatę dla Boga.

— Gdy skończysz studiować łacinę, co będziesz chciał robić dalej?

— Jeżeli Bóg udzieli mi tak wielkiej łaski, gorąco chciałbym zostać kapłanem.

— Dobrze. Teraz jednak chciałbym stwierdzić, czy masz odpowiednie zdolności. Weź tę książeczkę (była to jedna z broszur z serii Czytanek Katolickich) i dzisiaj naucz się tej oto strony a jutro przyjdiesz i wyrecytujesz mi ją.

Powiedziawszy to, pozwoliłem mu odejść do zabawy a sam zacząłem rozmawiać z ojcem. Nie minęło więcej niż osiem minut, gdy Dominik wraca uśmiechnięty i mówi:

— Jeżeli ksiądz pozwoli, już teraz wyrecytuję tę stronę. Wziąłem książeczkę i ze zdumieniem przekonałem się, że nie tylko nauczył się na pamięć wyznaczonej strony, ale że świetnie zrozumiał sens tego materiału.

— Brawo! — powiedziałem — Ty pospieszyłeś się z nauczeniem się lekcji, więc ja pospieszę się z

daniem ci odpowiedzi. Tak, wezmę cię do Turynu i od tej chwili należysz już do moich kochanych chłopców. Zaczynaj i ty już teraz prosić Boga, aby pomógł mnie i tobie wypełniać Jego świętą wolę.

Nie wiedząc, jak najlepiej wyrazić swą radość i wdzięczność, wziął mnie za rękę, uścisnął ją, ucałował wiele razy i w końcu powiedział:

— Ufam, że uda mi się tak postępować, aby ksiądz nigdy nie miał powodu do narzekania na moje zachowanie ».

Ksiądz Bosko musiał przyznać, że ks. Cugliero nie przesadzał. Gdyby św. Alojzy urodził się wśród pagórków Monferratu i był synem wieśniaków, nie mógłby się różnić od tego uśmiechniętego chłopca, który pragnął stać się « piękną szatą darowaną Bogu ».

Tajemniczy napis

W czasie rekonwalescencji w Castelnuovo Jan Cagliero nierozważnie zjadł zbyt dużo winogron (był to okres winobrania) i znów dostał silnej gorączki. Gdy ksiądz Bosko dowiedział się o tym, poszedł go odwiedzić.

Spotkał zrozpaczoną matkę.

— Mój Janek jest zgubiony! Majaczy, ciągle mówi o przywdzianiu stroju kapłańskiego a gorączka go zabija.

— Nie, Tereso, twój syn nie majaczy. Przygotuj mu strój kleryka i w listopadzie w oratorium odbędą się jego obłóczyny. Gorączka go nie zabije.

Ma przecież wiele rzeczy do zrobienia na tym świecie.

Rzeczywiście tak się stało. 22 listopada, w uroczystość św. Cecylii, Jan Cagliero zupełnie już zdrowy, przywdział strój kleryka. Rektor seminarium arcybiskupiego, kanonik Vogliotti, zezwolił klerykowi Cagliero uczęszczać do seminarium a mieszkać u ks. Bosko.

Tymczasem do oratorium w dniu 29 października przyszedł Dominik Savio. Razem z ojcem udał się do biura księdza Bosko i tam zauważył na ścianie dużą wywieszkę z tajemniczym napisem: « Da mihi animas, coetera tolle ».

Gdy ojciec odjechał, Dominik przewycięzając pierwsze onieśmienie spytał ks. Bosko, co oznaczają te słowa wypisane na ścianie. Ksiądz Bosko pomógł mu je przetłumaczyć. « Panie, daj mi dusze a zabierz całą resztę ». Było to motto, które ks. Bosko wybrał dla swego apostołstwa. Gdy Dominik zrozumiał je, przez chwilę zamyślił się a potem powiedział:

— Już wiem: tu nie handluje się pieniędzmi, ale duszami! Mam nadzieję, że moja dusza stanie się częścią tego handlu.

Tak rozpoczęło się dla Dominika życie codzienne. Być może, i on nosił wojskową pelerynę. Codzienne udawał się w grupie chłopców pod opieką Michała Rua do szkoły Bonzanina. Jego uczniowski dzień był dość monotony: zadania, lekcje, szkoła, książki, koledzy.

Ksiądz Bosko, który dzień po dniu uważnie go obserwował, zapisał: « Od dnia swego przybycia

odznaczał się w wypełnianiu swych obowiązków sumiennością niezrównaną ».

Kolorowe lampioniki nad brzegami Padu

Pod koniec listopada w oratorium zapanował szczególny, uroczysty nastrój. Rozpoczęła się nowenna do Niepokalanej, a był to rok 1854. Papież Pius IX zapowiedział, że dnia 8 grudnia ogłosi uroczyste dogmat o Niepokalanym Poczęciu Maryi. W całym katolickim świecie rozbudziła się i ożywiła miłość do Madonny. Przygotowywano wspaniałe uroczystości.

Ksiądz Bosko, który czuł, że Najświętsza Panna prowadzi go za rękę, co wieczór mówił o Niej swym chłopcom i wszyscy przeżywali nowennę z wielkim zaangażowaniem.

Rozmawiając z chłopcami na podwórzu czy w swym biurze, wypytywał się ich, co pragną podarować Maryi na dzień Jej święta. Dominik Savio powiedział: « Pragnę wypowiedzieć bezlitosną wojnę grzechowi śmiertelnemu i pragnę poprosić Boga i Maryję, by raczej pozwolili mi umrzeć niż zgrzeszyć ».

Było to powtórzenie postanowienia, uczynionego w dniu pierwszej Komunii św. « Raczej śmierć niż grzech ». Nie jest to zdanie ułożone przez niego, ale ostatnie słowa aktu żalu, który wówczas odmawiano po spowiedzi. Wiele dzieci obierało sobie to zdanie jako zobowiązanie na pamiątkę pierwszego

spotkania z Jezusem Eucharystycznym. Można je znaleźć nawet wśród « postanowień », jakie królowa zasugerowała księciu Hubertowi Sabaudzkiemu, późniejszemu królowi Hubertowi I, prawie rówieśnikowi Dominika Savio (Dominik urodził się w 1842 r. a Hubert w 1844 r.).

Tysiące dzieci jednak wkrótce zapomniało o tym postanowieniu, natomiast Dominik realizował je w sposób heroiczny aż do śmierci.

Ósmego grudnia Pius IX wobec liczного grona kardynałów i biskupów ogłasza jako dogmat wiary, że Maryja od pierwszego momentu swego istnienia, była wyjęta spod « grzechu pierworodnego ».

Dominik Savio, w przerwie pomiędzy uroczystościami, jakie tego dnia odbywały się w oratorium, wchodzi do kościoła św. Franciszka, klęka przed ołtarzem Madonny, wyciąga z kieszeni karteczkę, na której napisał parę słów. Jest to akt jego poświęcenia się Matce Bożej, krótka modlitwa, która miała stać się sławną w całym świecie salezjańskim.

« Maryjo, oddaję Ci moje serce. Spraw, by zawsze należało do Ciebie. Jezusie i Maryjo, bądźcie zawsze moimi przyjaciółmi. Błagam, pozwólcie mi raczej umrzeć niż popełnić choć jeden grzech ».

Tego wieczoru cały Turyn był wspaniale iluminowany. Tysiące kolorowych lampioników świeciło się w oknach, na tarasach, nad brzegami Padu. Ludzie wylegli na ulice a ogromna procesja udała się do Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia. Również chłopcy z Valdocco, z księdzem Bosko na czele, śpiewając przeszli ulicami miasta.

Mały sierota z przytułku świętego Dominika

Rok 1854, bardzo ważny dla życia księdza Bosko, zakończył się wzruszającym wydarzeniem. Zarząd miasta musiał pilnie otworzyć prowizoryczny sierociniec przy kościele św. Dominika dla około stu dzieci, których rodzice zmarli na cholera. Z nadejściem pierwszych zimnych dni, syndyk Notta zwrócił się do instytucji katolickich z prośbą o zaopiekowanie się niektórymi sierotami. Ksiądz Bosko przyjął wówczas dwadzieścia z nich. Jeden z chłopców nazywał się Piotr Enria. Później tak o tym opowiadał:

« Pewnego dnia przyszedł ksiądz Bosko. Nigdy przedtem go nie widziałem. Spytał się o moje nazwisko i imię a potem powiedział:

— Chcesz pójść ze mną? Będziemy dobrymi przyjaciółmi.

— Tak, proszę księdza.

— A to jest twój braciszek?

— Tak, proszę księdza.

— Powiedz, by i on przyszedł z tobą.

Po kilku dniach zaprowadzono nas do oratorium z wielu innymi chłopcami. Moja matka umarła na cholera a ojciec był jeszcze wówczas chory na tę chorobę. Przypominam sobie, że matka ks. Bosko robiła synowi wymówki:

— Ciągłe przyjmujesz nowe dzieci, ale jak zdobywamy je wyżywić i ubrać?

Rzeczywiście ja sam musiałem przez wiele nocy spać na stosie liści, przykryty jedynie cienkim ko-

cem. Ksiądz Bosko i jego matka naprawiali wieczorem nam podarte spodnie i marynarki, gdyż każdy miał tylko jedno ubranie ».

Dla tych małych sierot ksiądz Bosko przygotował oddzielne pomieszczenia w nowym budynku. Przez ponad rok uczył ich, najpierw sam, potem z pomocą kleryków i przyjaciół. Inni mieszkańcy oratorium nazywali sieroty « niziutką klasą », gdyż wszyscy ci chłopcy byli bardzo mali.

Piotr Enria pozostał z księdzem Bosko przez całe życie. To on opiekował się księdzem, jak rodzony syn w czasie jego ostatniej choroby. On też zamknął mu oczy.

Cholera — poza morzem nieszczęść, jakie spowodowała w mieście — przyniosła dla oratorium pewną korzyść. Szlachetna pomoc, jaką okazali chłopcy chorym na cholere, została zauważona i doceniona przez mieszkańców miasta. Publiczna pochwała ze strony syndyka zwiększyła kredyt zaufania władz. A fakt niezwykły, mianowicie, że żaden z chłopców nie zaraził się, mimo iż ciągle stykali się z tą straszną chorobą, sprawił, że odtąd z większą powagą i wiarą słuchano « szalonych » słów księdza Bosko.



W roku 1855 doszło do nowych, poważnych starć pomiędzy państwem a Kościołem.

Na miejsce Massima D'Azeglio premierem został Kamil Cavour. Ten niespokojny i bardzo bogaty potomek arystokratycznej rodziny zabrał się energicznie do ospałego Piemontu. Tory kolei żelaznej osiągnęły wówczas długość 850 kilometrów, co stanowiło sumę długości wszystkich torów w całej reszcie Włoch. W Ligurii powstał największy we Włoszech zespół przemysłowy Ansaldo oraz stocznie Odero i Orlando. Rozpoczęto budowę sieci kanalizacyjnej w Vercelli i okolicy. Po zniesieniu cła na zboże rozwijać się zaczęło rolnictwo.

Pod koniec roku 1854, pod płaszczykiem manewru ekonomicznego, minister Urban Rattazzi przedstawił Izbie projekt ustawy « mającej na celu — jak pisze historyk Franciszek Traniello — zmniejszenie wpływów Kościoła ». Projekt ten przewidywał rozwiązanie zgromadzeń zakonnych kontemplacyjnych, nie zajmujących się nauczaniem, głoszeniem kazań, opieką nad chorymi — i konfiskatę

całego ich majątku na rzecz państwa, « które mogłyby dzięki temu wesprzeć parafie biedniejsze ».

Była to jawna ingerencja państwa w sprawę Kościoła — pisze Traniello — szczególnie niebezpieczna, gdyż przekreślała zasady rozdziału państwa i Kościoła. Cavour tymczasem poprzednio wielokrotnie podkreślał, że właśnie te zasady stanowiły podstawy jego polityki.

Przewidywano, że pomimo silnej opozycji katolickiej, ustawa przejdzie w Izbie a następnie w Senacie. Jedynie król był w stanie ją odrzucić.

« Wielkie pogrzeby na dworze królewskim »

Pewnego mroźnego popołudnia w grudniu 1854 roku ks. Bosko powiedział ks. Alasonatti dziwny sen (świadkowie przypominali sobie, że miał na rękach stare, podziurawione rękawiczki i trzymał plik listów, a byli przy tym obecni Rua, Cagliero, Francesia, Buzzetti i Anfassi). Wydało mu się, że znajdował się na podwórzu i w pewnym momencie zauważył zbliżającego się lokaja z dworu królewskiego, w czerwonej liberii, który wołał: « Wielki pogrzeb na dworze królewskim! Wielki pogrzeb na dworze! »

Gdy ksiądz Bosko obudził się, wziął pióro i napisał do króla, streszczając mu swój sen. Po pięciu dniach sen powtórzył się. Lokaj ubrany na czerwono wjechał konno na podwórze i krzyknął: « Wielkie pogrzeby — a nie wielki pogrzeb — na dworze królewskim! »

O świcie ksiądz Bosko napisał drugi list do króla, sugerując mu « uregulowanie spraw w taki sposób, by uniknąć groźących kar » i prosząc go, by za wszelką cenę nie dopuścił do ogłoszenia wiadomej ustawy.

5 stycznia 1855 roku, królowa-matka, Maria Teresa, ciężko zachorowała. Po krótkiej chorobie zmarła 12 stycznia w wieku 54 lat. Trumna została przewieziona do Supergi i złożona w krypcie rodziny Sabaudzkiej w mroźny dzień 16 stycznia.

20 stycznia królowa Maria Adelajda, żona króla, która przed 12 dniami urodziła synka, przyjęła ostatnie Sakramenty. Umarła tego samego dnia. Miała zaledwie 33 lata.

11 lutego, po 20 dniach ciężkiej choroby umarł książę Ferdynand Sabaudzki, książę Genui, brat króla, też w wieku 33 lat.

Klerycy w oratorium, którzy wiedzieli o tych snach i o listach do króla, « byli wstrząśnięci — pi-sze ks. Lemoyne — widząc, jak błyskawicznie sprawdziły się przepowiednie księdza Bosko ». Nawet w czasie zarazy nie zdarzyło się, by w przeciągu miesiąca trzykrotnie musiano otwierać grobowce królewskie.

Ksiądz Francesia twierdził, że król Wiktor Emanuel II dwukrotnie przybył do Valdocco, aby spotkać się z ks. Bosko i że był na niego bardzo zagniewany.

Ustawa o konfiskacie dóbr została przyjęta przez Izbę (94 głosami przeciwko 23) i przez Senat (53 głosami przeciwko 42), król zatwierdził ją 29 maja. Rozwiązano wówczas, według danych zapisa-

nych przez ks. Lemoyne, 334 domy zakonne, w których mieszkało 5456 osób. W Rzymie rzucono klątwę (scomunica maggiore), którą jedynie papież mógł cofnąć, na « autorów, zwolenników i wykonawców tej ustawy ».

17 maja umarł najmłodszy, czteromiesięczny syn króla, Wiktor Emanuel Leopold.

Ksiądz Bosko « święty lub jasnowidz » (w zależności od tego, jak się na niego spojrzy) przewidywał dokładnie wszystko.

Sam na sam z ministrem

Ówczesni karykaturzyści rysując członków rządu — przedstawiali Kamila Cavoura w postaci kota o długich wąsach a Urbana Rattazziego (ministra spraw wewnętrznych) jako potężną mysz. « Gatàss i Ratàss » — tak brzmiały ich przezwiska¹ i znane były całemu Turynowi.

Ksiądz Bosko, mimo zupełnie odmiennych poglądów politycznych, miał zawsze wstęp wolny do Rattazziego. Minister spraw wewnętrznych szanował księdza, który « pracował dla dobra ludu », a opiekując się biednymi chłopcami zaoszczędzał rządowi mnóstwo kłopotów.

W 1854 roku przy drodze do Stupinigi otwarto nowe więzienie turyńskie « La Generala ». Był to dom poprawczy dla młodzieży. Mógł pomieścić trzysta osób.

¹ Humorystyczne zgrubiałe nazwy pochodzące od włoskich słów: il gatto (kocur), il ratto (szczur).

Ksiądz Bosko chodził tam regularnie i starał się zaprzyjaźnić z chłopcami, najczęściej skazanymi za kradzieże lub oddanymi przez rodziny z powodu trudności wychowawczych.

Chłopcy podzieleni byli na trzy grupy. Tych « pod specjalnym nadzorem » zamykano na noc w celi. Innych « pod zwykłym nadzorem » obowiązywało normalne życie więzienne. Natomiast « zagrożeni », zazwyczaj umieszczani w poprawczaku przez rodziców, którzy pragneli pozbyć się w ten sposób kłopotów wychowawczych, pracowali na roli lub w warsztatach więziennych, prowadzonych przez Braci Szkół Chrześcijańskich.

W czasie Wielkiego Postu w 1855 roku, ksiądz Bosko zorganizował dla wszystkich tych chłopców lekcje katechizmu, a potem nawet trzydniowe rekolekcje, które zakończyła spowiedź rzeczywiście generalna.

Był tak ujęty ich dobrą wolą, że obiecał im « coś szczególnego ». Poszedł do dyrektora i proponował mu zorganizowanie wycieczki dla tych chłopców.

— Czy ksiądz mówi to na serio? — spytał zdziwiony dyrektor.

— Jak najbardziej!

— A czy ksiądz wie, że to ja będę odpowiadał za wszystkich uciekinierów?

— Nikt nie ucieknie. Daję na to moje słowo.

— Nie ma o czym mówić. Jeżeli ksiądz chce, może się ksiądz zwrócić o pozwolenie do ministra.

Ksiądz Bosko udał się do Rattazziego i przedstawił mu spokojnie swój projekt.

— Dobrze — powiedział minister. — Spacer na pewno zrobi dobrze tym młodym więźniom. Wydam odpowiednie zarządzenia, by wzdłuż drogi patrolowali w odpowiedniej liczbie nieumundurowani karabinierzy.

— O nie! — zdecydowanie zaproponował ks. Bosko. — Jedyne warunki jakie stawiam, to ten, by żaden strażnik nami się nie opiekował. I pan musi mi dać na to swoje słowo. Ja biorę ryzyko na siebie. Jeżeli ktoś ucieknie, pan mnie wsadzi do więzienia.

Roześmiali się obaj. Potem Rattazzi powiedział poważnie:

— Księżę Bosko, niech ksiądz będzie rozsądny, bez karabinierów nie zdoła ksiądz przyprowadzić nikogo z powrotem.

— Ja natomiast twierdzę, że przyprowadzę wszystkich. Załóżmy się!

Rattazzi pomyślał przez chwilę i wreszcie powiedział:

— Dobrze, zgadzam się. Ufam księdzu i ufam również żandarmom, którzy w wypadku ucieczki, szybko wyłapią uciekinierów.

Pan minister dziwi się

Ksiądz Bosko powrócił do poprawczaka i zapowiedział wycieczkę. Mali więźniowie krzyczeli z radości. Gdy trochę się uciszyło, ksiądz Bosko oświadczył:

— Dałem słowo, że wszyscy, od pierwszego do ostatniego, zachowacie się właściwie i że nie będzie-

cie próbować ucieczki. Minister z kolei dał mi słowo, że nie wyśle za nami żadnych strażników, ani umundurowanych ani w cywilu. A teraz wy musicie dać mi słowo honoru. Jeżeli choć jeden z was ucieknie, ja będę skompromitowany. Napewno nie pozwolą mi więcej tu przychodzić. Czy mogę wam zaufać?

Poszeptali między sobą. Potem najstarsi powiedzieli:

— Dajemy księdzu nasze słowo. Wrócimy wszyscy i zachowamy się dobrze.

Następnego dnia było ciepło, wiosennie. Chłopcy powędrowali do Stupinigi polnymi ścieżkami. Skakali, biegali, krzyczeli z radości. Ksiądz Bosko też razem z nimi żartował, opowiadał. Na samym czelu grupy dreptał osioł, obładowany zapasami żywności.

W Stupinigi ks. Bosko odprawił mszę św., następnie wszyscy zjedli śniadanie na trawie a potem zaczęły się zabawy i zawody wzdłuż rzeki Sangone. Znalazł się też czas na zwiedzenie parku i pałacu królewskiego. Po południu — podwieczorek i pod wieczór powrót. Osiołek biegł teraz swobodnie, natomiast ks. Bosko był trochę zmęczony. Chłopcy zmusili go, by usiadł na osle i tak wśród śpiewów powrócili do miasta. Dyrektor szybko ich przeliczył. Byli wszyscy.

Potem przed bramą więzienną nastąpiło smutne pożegnanie. Ksiądz Bosko osobiście żegnał się z każdym. Wrócił do domu ze ściśniętym sercem. Uwolnił ich tylko na jeden dzień!

Minister, gdy mu złożono raport o tej wycieczce, ucieszył się ogromnie, tak jakby to był jego sukces.

— Dlaczego księdzu udaje się to dokonać a nam nie? — spytał któregoś dnia.

— Ponieważ władze państwowe tylko rozkazują i karzą. Nie mogą nic więcej zrobić. Ja natomiast kocham tych chłopców. A jako ksiądz posiadam siłę moralną, której pan nie może zrozumieć.

Dziewięć stron na temat systemu wychowawczego

Wielokrotnie zwracano się z prośbą do ks. Bosko, by napisał książkę na temat swego systemu wychowawczego. Brak czasu, brak warunków na dłuższe i głębsze rozważenie głównych linii postępowania wychowawczego, nie pozwoliły księdzu Bosko na opracowanie dzieła naukowego. W 1876 roku zdobył się jedynie na opracowanie zarysu systemu wychowawczego, praktykowanego w domach salezjańskich. W sumie było tego dziewięć stron. Oto wyjątki:

« System ten opiera się przede wszystkim na rozumie, religii i na serdeczności. Wyklucza się wszelkie kary surowe, i stara się wyeliminować również lekkie kary.

Dyrektor i asystenci są jakby kochającymi ojcami: rozmawiają, kierują, doradzają i w sposób serdeczny korygują.

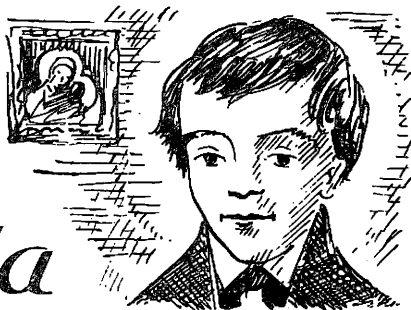
Wychowanek nie upokarzany staje się przyjacielem asystującego. Widzi w nim dobroczyńcę, który pragnie uczynić go lepszym, pragnie uwolnić go od przykrości, kar, hańby.

Gdy wychowawca zdobędzie sobie serce swego podopiecznego, może pozostawać z nim w kontakcie również w wieku dojrzałym, może służyć mu radą i korygować go. Cała realizacja tego systemu bazuje na słowach świętego Pawła, który mówi: « Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma ». Dlatego też tylko chrześcijanin może stosować system prewencyjny² z pełną skutecznością. Rozum i religia są tymi narzędziami, którymi wychowawca nieustannie musi się posługiwać.

Dyrektor winien całkowicie poświęcić się swym wychowankom. Musi spędzać z uczniami ich wolny czas. »

² Zapobiegawczy, ochronny, wykluczający używanie systemu kar.

Dwa rozstania



W pierwszą niedzielę kwietnia 1855 r. ks. Bosko wygłosił kazanie do swych chłopców na temat świętości. Niektórzy z nich kręcili nosem. Dominik Savio natomiast słuchał z wielką uwagą. W miarę jak ksiądz Bosko swym ciepłym i przekonywającym głosem rozwijał temat, wydawało się Dominikowi, że kazanie przeznaczone jest wyłącznie dla niego. Gdyby tak móc osiągnąć świętość jak Alojzy Gonzaga, jak wielki misjonarz Francisze Ksawery, jak męczennicy Kościoła!

Od tej chwili Dominik zaczął marzyć o świętości.

24 czerwca, w dzień imienin księdza Bosko, w oratorium jak corocznie odbyła się wielka uroczystość. Ksiądz Bosko, chcąc wywdzięczyc się chłopcom za ich miłość i dobrą wolę powiedział:

— Niech każdy napisze na karteczce, jaki podarek pragnie otrzymać ode mnie. Zapewniam was, że zrobię wszystko, by was zadowolić.

« Proszę pomóc mi zostać świętym »

Gdy ks. Bosko zabrał się do przestudiowania karteczek znalazł wśród nich prośby poważne i mądre, ale i życzenia dziwaczne, śmieszne. Któryś z chłopców prosił go na przykład o sto kilogramów nugatu, « by starczyło go na cały rok! »

Na bileciku Dominika Savio znalazł pięć słów: « Proszę pomóc mi zostać świętym ».

Ksiądz Bosko wziął na serio te słowa. Zawołał Dominika i powiedział mu:

— Pragnę podarować ci przepis na świętość. Brzmi on następująco:

Po pierwsze: radość. To, co niepokoi i odbiera spokój, nie pochodzi od Boga.

Po drugie: obowiązki związane z nauką i z pobożnością. Uwaga w szkole, gorliwość w nauce, gorliwość w modlitwie. Wszystko rób z miłości do Boga, a nie dla ambicji.

Po trzecie: czyn dobrze drugim. Zawsze pomagaj swym kolegom, nawet gdy to wymaga ofiar.

Świętość sprowadza się do tego właśnie.

Dominik zabrał się do pracy na serio. Ksiądz Bosko, w książce zatytułowanej « Życie Dominika Savio », którą napisał zaraz po śmierci chłopca, zamieścił wiele epizodów prostych ale wzruszających z jego pobytu w oratorium. Oto jeden z nich:

Pewnego dnia któryś z chłopców przyniósł do oratorium ilustrowaną gazetę z nieprzyzwoitymi rysunkami. Od razu pięciu czy sześciu chłopców otoczyło go i zabrało się do oglądania rysunków,

uśmiechając się znacząco. Również Dominik zbliżył się do nich. Wziął z rąk właściciela gazetę i podarł ją na kawałki. Chłopiec zaczął głośno protestować, ale i Dominik podniósł głos.

— Ładne rzeczy przynosisz do oratorium! Ksiądz Bosko trudzi się cały dzień, by wychować nas na dobrych obywateli i na dobrych chrześcijan, a ty przynosisz tu coś takiego! Te rysunki obrażają Pana Boga i dlatego wstęp dla nich jest tu wzbroniony!

Nadeszły i minęły, jak z bicza trzasnął, wakacje szkolne. Gdy w październiku 1855 r. chłopcy powrócili do oratorium, ksiądz Bosko zaniepokoił się wyglądem Dominika Savio.

— Nie wypoczęłeś w czasie wakacji?

— Ależ tak, księże Bosko. Dlaczego ksiądz pyta?

— Jesteś bledszy niż zwykle. Co ci jest?

— Może to zmęczenie po podróży... — i uśmiechnął się.

Ale nie było to przejściowe tylko zmęczenie. Oczy podkrążone i błyszczące, twarz blada i wychudła wskazywały jasno, że Dominik nie był zdrowy. Ksiądz Bosko postanowił zająć się nim bardziej.

— W tym roku nie będziesz chodził do szkoły w mieście. Chodzenie do szkoły w deszczu i śniegu mogłoby ci zaszkodzić. Będziesz uczył się tu, w domu, u kl. Francesia. Rano możesz sobie dłużej poleżeć i wypocząć. Nie przemęczaj się nauką, zdrowie jest darem Bożym i nie wolno tego daru niszczyć.

Dominik usłuchał. Po kilku dniach, jakby przeczuwając coś poważnego, powiedział do księdza Bosko:

— Niech mi ksiądz pomoże szybko zostać świętym!

Towarzystwo Niepokalanej

Dominik zaprzyjaźnił się szczerze z Michałem Ruą i Janem Cagliero, choć byli oni od niego starsi, jeden o pięć, drugi o cztery lata. Do innych jego przyjaciół należeli najlepsi chłopcy, którzy w tych latach znaleźli się w oratorium: Bongiovanni, Durando, Cerruti, Cavio, Massaglia.

Na początku 1856 roku w konwikcie oratorium mieszkało 153 chłopców: 63 uczniów i 90 rzemieślników.

Wiosną tego roku Dominik postanowił utworzyć tajne « bractwo » spośród najbardziej wartościowych chłopców. Chciał, aby stanowiło ono grupę małych apostołów, pracujących wśród innych chłopców. Rozmawiał na ten temat z kilku kolegami. Pomysł spodobał się. Zdecydowano, że grupa nazywać się będzie « Towarzystwem Niepokalanej ».

Ksiądz Bosko ostrzegał chłopców, by się zbyt nie spieszyli. Radził najpierw wypróbować pomysł i obmyśleć mały regulamin, później dopiero do tego powrócić na serio.

Chłopcy rzeczywiście spróbowali. Na pierwszym zebraniu zdecydowali, komu można zaproponować przynależność do Towarzystwa: tylko nie-



Bazylika Maryi Wspomożycielki Wiernych konsekrowana w 1868 r. Zdjęcie wykonane podczas pobytu Jana Pawła II w Turynie

licznym zaufanym i dyskretnym chłopcom. Dyskutowano nad kandydaturą Francesii, młodziutkiego nauczyciela, chłopca prawego i zaprzyjaźnionego ze wszystkimi. Odrzucono jednak jego kandydaturę, gdyż znany był z gadulstwa i trudno mu było dochować tajemnicy.

Zebrani zobowiązali trzech chłopców do opracowania regulaminu. Mieli to zrobić: Michał Rua (19 lat), Józef Bongiovanni (18 lat) i Dominik Savio (14 lat). Ksiądz Bosko twierdził jednak, że ostatecznie regulamin napisał Dominik. Pozostali tylko go uzupełnili.

Mały regulamin składał się z 21 paragrafów.

Członkowie zobowiązywali się pod opieką Matki Bożej i z pomocą Jezusa Eucharystycznego dążyć do doskonałości. Zobowiązywali się również pomagać księdzu Bosko, być małymi apostołami wśród kolegów, postępować rozważnie i delikatnie. Zobowiązywali się szerzyć radość i serdeczność wokół siebie.

Paragraf 21, końcowy, był streszczeniem ducha tego stowarzyszenia: « szczerze, synowskie, bezgraniczne zaufanie do Maryi, szczególna czułość w stosunku do Niej i stałe nabożeństwo pozwolą nam przeżywyć wszelkie przeszkody, nauczą nas wytrwałości w postanowieniach, surowości w stosunku do siebie samych, umiłowania bliźnich i dokładności we wszystkim ».

Bractwo rozpoczęło swą działalność 8 grudnia 1856 r. przed ołtarzem Matki Bożej w kościele św. Franciszka. Każdy z członków złożył przyrzeczenie, że wiernie wypełniać będzie swoje zobowiązania.

Tego dnia Dominik zrealizował swoje dzieło. Pozostało mu już tylko 9 miesięcy życia, ale jego « Towarzystwo Niepokalanej » przetrwało ponad 100 lat (aż do 1967 r.). We wszystkich domach i oratoriach salezjańskich członkowie Towarzystwa stanowili zawsze grupę gorliwych chłopców, spośród których rekrutowali się często przyszli kapłani.

Chłopcy należący do bractwa wybierali sobie kolegów, których w « tajnym » języku nazywali « klientami »: były to zazwyczaj jednostki niezdiscyplinowane, ordynarne, skore do bijatyki. Każdy członek brał pod swą specjalną opiekę jednego « klienta », stawał się jego « aniołem stróżem » aż do czasu sprowadzenia go na dobrą drogę.

Drugą grupę « klientów » stanowili nowoprzybyli chłopcy. Pomagano im spędzić pogodnie pierwsze dni w oratorium, gdy nie znali jeszcze nikogo, nie potrafili się bawić i gdy mówili jedynie w dialekcie, tęskniąc przy tym bardzo za dotychczasowym środowiskiem.

Śmierć matki Małgorzaty

15 listopada 1856 roku matka Małgorzata zachorowała na zapalenie płuc. Okazało się ono zabójcze dla tej 68-letniej kobiety, wyniszczonej ciężką pracą.

Przez chwilę życie w oratorium zamarło. Jak będzie można egzystować bez niej? Wokół jej łóżka czuwali klerycy z konwiktu i najstarsi chłopcy. Ileż

to razy w przeszłości wpadali do kuchni pytając się:

- Mamo, dostanę jabłko?
- Mamo, czy zupa jest już gotowa?
- Mamo, nie mam chusteczki.

Heroizm tej gasnącej powoli kobiety polegał na zmuśnionym cerowaniu podartej odzieży, na koszeniu siana i żyta, na praniu i gotowaniu. A jednak w tych skromnych pracach kryła się niespożyta siła i zdanie się na Opatrzność Bożą. Przy obieraniu ziemniaków i gotowaniu mamałygi, potrafiła uczyć chłopców wiary, praktycznego podejścia do życia i dobroci.

Ksiądz Bosko od niej właśnie przejął zasady wychowania. To on jako pierwszy był przez nią wychowany rozumnie, religijnie i z miłością. Zgromadzenie Salezjańskie zostało wypięastowane na kolanach mamy Małgorzaty. A teraz ta dobra matka dopalała się jak świeca.

Z Becchi przyszedł Józef ze starszymi wnukami. Ksiądz Borel, stały jej spowiednik od czasu przybycia do Turynu, przyniósł wiatyk.

Małgorzata ostatkiem sił powiedziała do swego Janka:

— Uważaj, gdyż wielu zamiast chwały Bożej szuka własnej korzyści. Przy tobie również znajdują się tacy, którzy kochają ubóstwo u innych, ale nie u siebie. To, czego wymaga się od innych trzeba najpierw zrealizować w sobie.

Nie chciała, by Jan patrzył na jej cierpienie. Aż do ostatniej chwili myślała o innych.



Mama Małgorzata

— Idź już Janie! Cierpisz bardzo patrząc na mnie. Pamiętaj, że życie nasze polega na cierpieniu. Prawdziwe szczęście czeka nas w życiu wiecznym... Teraz już odejdz, proszę o to ... Módl się za mnie. Żegnaj.

Przy umierającej, starej matce, pozostał Józef i ks. Alasonatti.

Małgorzata zasnęła snem wiecznym o trzeciej nad ranem w dniu 25 listopada. Józef udał się do pokoju ks. Bosko. Płacząc rzucili się sobie w objęcia.

Dwie godziny później ksiądz Bosko wezwał Józefa Buzzettiego, przyjaciela i towarzysza w godzinach cierpienia. Jedynie w jego obecności nie wstydział się łez. Odprawił mszę św. za matkę w podziemiach kaplicy sanktuarium Matki Boskiej Pocieszenia. Potem uklękli obaj przed obrazem Maryi. Ksiądz Bosko szeptał: « Teraz ja i moi synowie nie mamy już matki ziemskiej. Ty bądź przy nas i bądź nam Matką ».

W kilka dni później Michał Rua odwiedził swoją matkę, Joannę Marię.

— Odkąd umarła mama Małgorzata — powiedział — nie możemy sobie dać rady. Nie ma nikogo, kto ugotowałby nam obiad, czy zacerował skarpety. Mamo, może ty przyjedziesz do nas?

56-letnia Joanna Maria Rua udała się z synem do oratorium. Została drugą jego « mamą ». Pozostała tu przez dwadzieścia lat.

Chłopiec, który rozmawia z Bogiem

Grudzień: ulice Turynu przypruszone są pierwszym śniegiem. Noc. Na ulicach palą się lampy. Ksiądz Bosko, jak co wieczór, siedzi pochylony nad stołem, na którym leży stos listów, czekających na odpowiedź. Pisze aż do północy. Wtem słyszy lekkie pukanie.

— Proszę, kto tam?

— To ja — mówi Dominik Savio — wchodząc szybko. — Niech ksiądz pójdzie za mną, trzeba spełnić dobry uczynek.

— Teraz w nocy? Gdzie chcesz mnie zaprowadzić?

— Niech się ksiądz pospieszy, szybko, szybko! Ksiądz Bosko waha się. Ale patrząc na Dominika widzi, że jego twarz, taka zazwyczaj pogodna, jest teraz bardzo poważna. Również i jego słowa brzmią jak rozkaz. Ksiądz Bosko wstaje, bierze kapelusz i idzie za Dominikiem.

Chłopiec szybko zbiega po schodach, przechodzi przez podwórze i wychodzi na drogę prowadzącą do miasta. Skręca w jedną ulicę, potem w drugą. Nic nie mówi, ani nie zatrzymuje się. W labiryncie ulic i uliczek porusza się pewnie. Wchodzi po schodach jakiegoś domu, ksiądz Bosko idzie za nim. Pierwsze, drugie, trzecie piętro. Dominik zatrzymuje się i puka. Nim ktokolwiek zdołał otworzyć, mówi do księdza Bosko:

— Ksiądz musi tu wejść.

Sam wraca do domu.

Drzwi otwierają się. Ukazuje się w nich jakaś kobieta. Widząc księdza Bosko mówi:

— To Bóg zsyła mi księdza. Szybko, szybko, bo ksiądz nie zdąży. Mój mąż przed wielu laty stracił wiarę. Teraz umiera i pragnie się wypowiedzieć.

Ksiądz Bosko zbliża się do łóżka chorego. Umierający człowiek jest przerażony i bliski rozpaczy. Ksiądz spowiada go i udziela mu rozgrzeszenia. Po kilku minutach chory umiera.

Mija kilka dni. Ksiądz Bosko jest pod wrażeniem tego, co się stało. W jaki sposób Dominik dowiedział się o tym chorym? Kiedyś, gdy nie ma nikogo w pobliżu, ksiądz podchodzi do chłopca i pyta:

— Dominiku, kto ci powiedział o umierającym tamtego wieczoru, gdy przyszedłeś po mnie do biura? Skąd o nim wiedziałeś?

Wówczas stało się coś, czego ksiądz Bosko nie przewidział: chłopiec popatrzał na księdza ze smutkiem i zaczął płakać. Ks. Bosko nie ośmielił się już stawiać mu dalszych pytań. Pojął, że w jego oratorium znajduje się chłopiec, który rozmawia z Bogiem.

« Czy z nieba będę mógł zobaczyć moich kolegów? »

W lutym 1857 r. w Turynie panowało straszne zimno. Dominik Savio był coraz bledszy. Męczył go okropny kaszel, a jego siły topniały błyskawicznie. Ksiądz Bosko mocno zaniepokojony, wezwał znanych lekarzy. Profesor Vallauri, po dokładnym przebadaniu chłopca, powiedział:

— Delikatna budowa ciała i nieustanne napięcie wewnętrzne podcinają mu życie jak piła.

— Co mogę zrobić dla niego? — dopytuje się ks. Bosko.

Vallauri smutny rozkłada ręce. Nie znano wówczas skutecznych leków w tych dolegliwościach.

— Niech ksiądz odeśle go w rodzinne strony i każe mu przerwać na jakiś czas naukę.

Gdy Dominik dowiedział się o tych decyzjach, z bólem pogodził się z nimi. Bardzo mu jednak było żal porzucić naukę, przyjaciół a szczególnie księdza Bosko.

— Dlaczego nie chcesz pobyc trochę u twych rodziców?

— Chciałbym tu w oratorium zakończyć moje życie.

— Nie mów tak. Teraz pojedziesz do domu, podreperujesz swoje zdrowie i powrócisz.

— Niestety — uśmiechnął się smutnie Dominik. Pojadę do domu, ale już nie powrócę. Księżę Bosko, to jest ostatnia nasza rozmowa. Niech mi ksiądz powie, co mogę jeszcze zrobić dla Boga?

— Ofiaruj Mu często swoje cierpienia.

— A co poza tym?

— Ofiaruj Mu również swoje życie.

— Czy z nieba będę mógł zobaczyć moich kolegów z oratorium, moich rodziców?

— Tak — wyszeptał ksiądz Bosko, starając się opanować łzy.

— A czy będę mógł przyjść odwiedzić ich?

— Jeżeli Bóg pozwoli, będziesz mógł to zrobić.

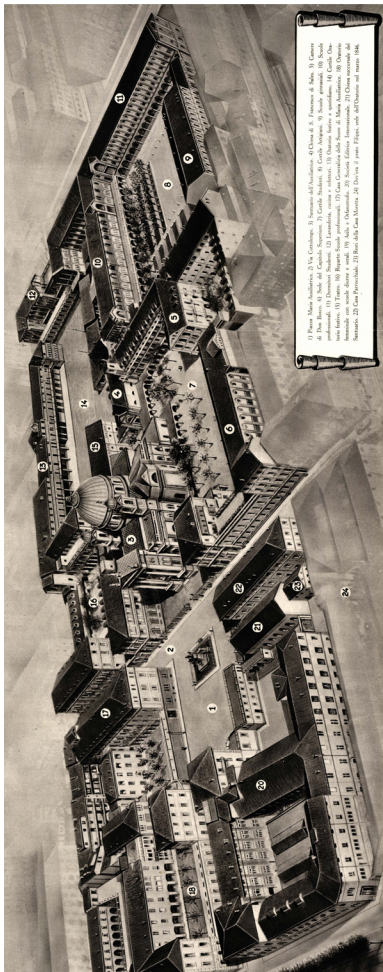
W niedzielę pierwszego marca Dominik pożegnał się serdecznie z przyjaciółmi, należącymi do « Towarzystwa ». Potem nadjechał powóz ojca, z którym miał powrócić do Mondonio. Na zakręcie drogi skinął jeszcze ręką, żegnając oratorium, przyjaciół i « swego » księdza Bosko, który z ogromnym bólem patrzył na oddalający się powóz. Odjechał najlepszy uczeń, mały święty, którego Madonna podarowała oratorium na okres trzech lat.

Zgasł prawie nagle, dnia 9 marca 1857 r., w obecności ojca, szepcząc słabnym głosem:

— Żegnaj tatusiu... proboszcz mówił mi... ale nie pamiętam. Jakie ja piękne rzeczy widzę...

Pius XII ogłosił go świętym 12 czerwca 1954 roku.

Pierwszy piętnastoletni święty.



- 1) Piazza Maria Assunta; 2) Via Caracciolo; 3) Seminario dell'Archiduca; 4) Chiesa di S. Francesco di Sales; 5) Chiesa di Dio Padre; 6) Sede del Capitolo Sacerdotale; 7) Chiesa Sacramenti; 8) Chiesa Santissimo; 9) Scuola paragonale; 10) Scuola di Musica; 11) Chiesa di S. Maria; 12) Chiesa di S. Maria; 13) Chiesa di S. Maria; 14) Chiesa di S. Maria; 15) Chiesa di S. Maria; 16) Chiesa di S. Maria; 17) Chiesa di S. Maria; 18) Chiesa di S. Maria; 19) Chiesa di S. Maria; 20) Chiesa di S. Maria; 21) Chiesa di S. Maria; 22) Chiesa di S. Maria; 23) Chiesa di S. Maria; 24) Chiesa di S. Maria.

Dzieło Księstwa Bosko w Turynie-Valdocco. Wybijające się na pierwszy plan zabudowania tworzą kompleks budynków powstałych wokół "szopy Pinardiego"



Życiorys księdza Bosko można by jeszcze kontynuować na setkach stron. Mamy ich jednak do dyspozycji tylko niewiele. Zrobimy więc tylko błyskawiczny przegląd ostatnich trzydziestu lat jego życia.

Marzec 1857 r. zasmucił go głęboko śmiercią Dominika Savio. Ale wcześniej, w r. 1855, również marzec, przyniósł mu wielką radość.

Chcieli być takimi jak on

25 marca, w święto Zwiastowania, w ubogim pokoju księdza Bosko odbyła się ważna ceremonia, choć bez uroczystej oprawy. Ksiądz stojąc słucał, a Michał Rua klęcząc przed krzyżem mówił: « Słubuję Bogu ubóstwo, czystość, posłuszeństwo i oddaję się w twoje ręce, księżu Bosko ». Nie było przy tym żadnego świadka, ale właśnie wtedy rodziło się Zgromadzenie Salezjańskie. Ksiądz Bosko był jego założycielem a Michał Rua pierwszym salezjaninem.

W kilka miesięcy później złożył ślubowanie i został salezjaninem ksiądz Alasonatti. W 1856 r. dołączył do nich Jan Chrzyciel Francesia, później jeszcze Cagliero, Provera, Ghiravello, Lazzero, Bonetti.

Byli to ci biedni chłopcy, których ksiądz Bosko przyjął ongiś do swego domu i którzy wzrastali otoczeni jego miłością. Pragnęli być « takimi jak on », chcieli pracować dla Boga i dla biednych chłopców.

Ubrani w stroje kleryckie, nadal studiowali i składali wiele trudnych egzaminów. Równocześnie ks. Bosko powierzył im prowadzenie lekcji katechizmu, opiekę nad chłopcami w refektarzu i w warsztatach, oraz nauczanie sierot.

Gdy zamarzła woda

W niedzielę ks. Bosko posyłał ich do oratoriów.

W 1855 r. oratorium pod wezwaniem Anioła Stróża nagle znalazło się bez dyrektora. Ksiądz Bosko zamianował nim 17-letniego Michała Rua. Do oratorium tego uczęszczali przede wszystkim mali kominiarze. Chłopcy ci jesienią przybywali z Valle d'Aosta ze sznurem na ramieniu i miotełką. Wędrowali po ulicach, zachwalając swe usługi w zakresie przeczyszczania kominów. Wszyscy mieszkańcy stali się to uczynić przed nadejściem zimy, by przeczyszczone piece dobrze ogrzewały mieszkania.

Byli to chłopcy bardzo drobni, gdyż kanały dymowe, wzdłuż których musieli się przeciskać, były wąskie. Twarz i ręce mieli nieustannie czarne od sadzy.

W niedzielę, wczesnie rano, Michał przyszedł do oratorium, zamiatał pokoiki, porządkował kościół. Gdy zjawiali się pierwsi chłopcy skierowywał ich do spowiedzi, do księdza, który odprawiał później mszę św. O godzinie dziewiątej zwykle było już w oratorium około stu chłopców. Michał przez cały dzień « był wśród nich księdzem Bosko ». Inicjował zabawy, rozmawiał z chłopcami, informował się o ich kłopotach, prowadził lekcje katechizmu.

Wieczorem, gdy na ulicach zapalano lampy gazowe, chłopcy wracali do swych domów. Niektórzy odprowadzali Michała aż do Valdocco. — « Zobaczmy się w niedzielę, Michałku! » — wołali.

Rua powracał do domu zmordowany. W kuchni czekała na piecu kolacja, specjalnie zostawiona dla niego oraz dla Cagliero i Francesi, którzy tak jak on — ogromnie zmęczeni — powracali z innych oratoriów. Potem wspinali się na poddasze, gdzie znajdowały się ich łóżka. Michał zasypiał natychmiast. Nie tylko on zresztą: któregoś poniedziałku Cagliero zbudził się nad ranem, siedząc na krześle i trzymając w ręce skarpetki. Nie zdążył wieczorem dojść do łóżka i zasnął na krześle. Budzik dzwonił wczesnie, bardzo wczesnie: o godzinie czwartej! Jan Cagliero wspominał: « Zima w Turynie, to nie byle co. Na naszym poddaszu nie było ani pieca ani wody. Aby móc umyć się rano, wieczorem napełnialiśmy miski wodą, ale rano często znajdowaliśmy w nich lód. Otwieraliśmy więc okienko mansardy,¹ zbieraliśmy śnieg z dachu i nacieraliśmy sobie nim

¹ Mieszkanie na poddaszu z zewnętrzną ścianą pochyłą.

energicznie ręce, twarz i szyję. Po kilku minutach ciało « dymiło ». Wówczas zawijaliśmy się w koce i rozpoczynał się czas nauki: Rua uczył się hebrajskiego, Francesca czytelował wiersze łacińskie a ja komponowałem ćwiczenia muzyczne ».

W listopadzie 1855 roku rozpoczęło działalność gimnazjum « wewnętrzne ». Francesca, poza wszystkimi innymi zajęciami, zaczął wykładać literaturę, Rua matematykę a Cagliari muzykę.

Można by pytać, czy ks. Bosko robił dobrze, pozwalając by jego młodzi pomocnicy zabijali się tak, ucząc się sami i ciężko pracując. Dalsze koleje życia tych ludzi stanowią najlepszą na to pytanie odpowiedź: Jan Cagliari umarł w wieku 88 lat, Michał Rua, który stał na czele Zgromadzenia Salezjańskiego żył 73 lata, a Jan Francesca, filolog klasyczny o sławie europejskiej, dożył 92 lat. Ksiądz Bosko « wiedział », że praca, nawet najcięższa, nie zmoże tych ludzi.

Wielkie dzieła

W miarę jak grupa pierwszych salezjanów powiększała się, ksiądz Bosko zrozumiał, że nadszedł czas zrealizowania wielkich dzieł. Następne lata stały się więc latami intensywnej pracy, rozwiązywania coraz to trudniejszych problemów, tworzenia dzieł, które były wyzwaniem rzuconym tamtym czasom.

30 lipca 1860 roku odprawia swą pierwszą mszę św. ksiądz Michał Rua. Ongiś ksiądz Bosko spotkał

go, jako bladego chłopca przy Młynach nad Dorą i ofiarował mu wówczas « połowę swej ręki ». Michał Rua został zastępcą księdza Bosko, był zawsze jego wiernym cieniem.

Rok 1863. Rodzi się pierwsze dzieło salezjańskie poza Turynem. Małe seminarium w Mirabello Monferrato. Potem powstają kolejne kolegia w Lanzo, Alassio, Sampierdarena, Varazze, Valsalice. W chwili śmierci księdza Bosko istniały już 64 domy salezjańskie w sześciu krajach i pracowało już 768 salezjanów.

W kwietniu 1864 roku ksiądz Bosko kładzie kamień węgielny pod Sanktuarium Matki Bożej Wspomożycielki. Do rąk budowniczych przekazuje pierwszą sumę pieniędzy: osiem soldów (mniej niż pół lira!).

W 1872 roku ksiądz Bosko zakłada Zgromadzenie Córek Maryi Wspomożycielki. Do pierwszych sióstr mówi: « Jesteście biedne i mało was, ale w przyszłości będziecie mieć tyle uczennic, że trudno je będzie pomieścić ».

11 listopada 1875 roku, w Sanktuarium Maryi Wspomożycielki, wypełnionym po brzegi wzruszonym tłumem, ksiądz Bosko wręcza krzyże misyjne pierwszym dziesięciu salezjanom, którzy wyjeżdżają do Ameryki Południowej. Jadą tam pod przewodnictwem księdza Jana Cagliero, tego ongiś chłopca pełnego życia, który biegał co rana popatrzeć na namioty cyrkowe i na kłownów.

Rodzą się misje salezjańskie, które powoli rozszerzą się na cały świat.

W tym samym roku ksiądz Bosko organizuje zespół « pomocników », których nazywa « Salesia-

ni esterni ». Są to sympatycy jego dzieł, którzy wspomagają go środkami finansowymi i którzy pracują dla młodzieży. Przed swoją śmiercią ksiądz Bosko tak do nich powiedział: « Bez waszego wsparcia nie byłbym w stanie zrobić nic, albo zrobiłbym bardzo mało. Dzięki waszemu poświęceniu otarliśmy wiele łez i uratowaliśmy wiele dusz ».

Rok 1877. Aby być w stałym kontakcie ze swymi współpracownikami (a było ich wówczas już setki tysięcy) ksiądz Bosko zakłada czasopismo « Wiadomości Salezjańskie » (Bollettino Salesiano). Był to ilustrowany miesięcznik, który przynosił wiadomości dotyczące Zgromadzenia, listy misjonarzy pracujących gdzieś na krańcach świata i słowa księdza Bosko. W ciągu następnych lat Biuletyn ten ogromnie się rozwinął.

7 grudnia 1884 roku w Bazylice Maryi Wspomożycielki Jan Cagliero przyjmuje sakrę biskupią. Ksiądz Bosko przeżywa szczęśliwy dzień. Dawny sen o gołębiczy i gałązce oliwnej urzeczywistnia się. Słowa wypowiedziane do konającego chłopca: « Musisz przyczynić się do tego, by wielu innych wzięło brewiarz do ręki... Pojedziesz bardzo daleko... » nie były iluzją. Teraz stawały się rzeczywistością.

Im bardziej jednak rozszerzały się dzieła salezjańskie na całym świecie, tym większych trzeba było funduszy. Aby utrzymać misje w Ameryce, aby wyżywić tysiące opuszczonych chłopców, ksiądz Bosko w ostatnich latach swego życia był zmuszony wędrować po Włoszech, Francji, Hiszpanii w poszukiwaniu funduszy. Ogromny wysiłek. Matka Boża jednak w sposób widoczny błogosławiła tym podró-

żom: ręce księdza Bosko przywracały wzrok ociemniałym, słuch głuchym, zdrowie chorym. W całej Europie znano go już jako « księdza, który czyni cudy ».

Ksiądz Bosko płacze

Maj 1887 roku. Ksiądz Bosko zakończył ostatnią podróż po Hiszpanii, dla zdobycia funduszy. Tym razem odbył ją z polecenia papieża, który zobowiązał go do wybudowania kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Rzymie.

Teraz pochylony wiekiem i utrudzony ponad siły wchodzi na stopnie ołtarza ogromnej świątyni, by odprawić mszę św. Przy konsekracji kapłani, którzy mu towarzyszą, widzą że ks. Bosko wybucha płaczem. Płacz ten, niedoopanowania, wstrząsa nim aż do końca mszy św. Potem trzeba było prawie zanieść go do zakrystii. Ks. Viglietti pyta zaniepokojony:

— Księżo Bosko, co się stało? Czy ksiądz źle się czuje? Ksiądz Bosko zaprzecza.

— Przed oczyma stanęła mi scena z mego pierwszego snu, gdy miałem dziewięć lat. Zobaczyłem matkę i braci i usłyszałem, jak dyskutowali nad tym, co mi się śniło.

W tym śnie sprzed lat Matka Boża powiedziała mu: « Kiedyś wszystko zrozumiesz ». Teraz właśnie, patrząc wstecz na swe życie, zrozumiał rzeczywiście

wszystko. Warto było ponieść tyle ofiar, tyle się napracować, by uratować niezliczone rzesze chłopców.

Ksiądz Bosko umarł o świcie 31 stycznia 1888 roku. Do salezjanów, którzy czuwali przy jego łóżku wyszeptał w ostatniej chwili: « Czyńmy wszystkim dobrze, nikomu nie wyrządzajmy krzywdy!... Powiedzcie moim chłopcom, że czekam na nich wszystkich w niebie! »

SPIS TREŚCI

Prolog		
Dwunastoletni emigrant	str.	10
Rozdział I		
Pierwsze wspomnienia	»	20
Rozdział II		
W rodzinnym domu	»	31
Rozdział III		
Przedwiośnie	»	44
Rozdział IV		
Mały kuglarz	»	56
Rozdział V		
Dziecięce marzenia	»	65
Rozdział VI		
Między młotem a ... książką	»	77
Rozdział VII		
Muszę się uczyć	»	85
Rozdział VIII		
Zielone lata w Chieri	»	95
Rozdział IX		
Okres przyjaźni	»	109

Rozdział X		
Trudna decyzja	str.	117
Rozdział XI		
Sutanna i seminarium	»	122
Rozdział XII		
Marzenia spełnione	»	129
Rozdział XIII		
Pierwsze kroki	»	138
Rozdział XIV		
Działać natychmiast	»	149
Rozdział XV		
Po chleb i miłość	»	158
Rozdział XVI		
Markiza, ks. Bosko i młodzież	»	168
Rozdział XVII		
Wędrujące oratorium	»	179
Rozdział XVIII		
Szopa Pinardiego	»	189
Rozdział XIX		
Boże, nie pozwól mu umrzeć!	»	202
Rozdział XX		
Zdobyć za wszelką cenę	»	216
Rozdział XXI		
Przyjaciół i ojciec	»	226
Rozdział XXII		
Gorączka roku 1848	»	238

Rozdział XXIII		
Koniec nadziei	str.	246
Rozdział XXIV		
Rok 1849 - ciernisty i nieurodzajny »		256
Rozdział XXV		
Dom i Kościół	»	269
Rozdział XXVI		
Niezwyczajny obrońca	»	281
Rozdział XXVII		
Własne warsztaty	»	291
Rozdział XXVIII		
Współpracownicy i następcy	»	297
Rozdział XXIX		
Będziemy się nazywać salezjanami	»	307
Rozdział XXX		
Jeden dzień wolności	»	326
Rozdział XXXI		
Dwa rozstania	»	335
Rozdział XXXII		
Dzieło rośnie	»	350

DROGI CZYTELNIKU !

Poza Tobą przeczytane stronicie książki o Księdzu Bosko. Z pewnością podziwiasz w nim tytana pracy, nieprzeciętnego człowieka tamtych czasów, płodnego pisarza, wychowawcę młodzieży, wreszcie świętego kapłana i założyciela Rodziny Salezjańskiej: *Salezjanów, Córek Maryi Wspomożycielki (Salezjanek), Pomocników Salezjańskich.*

Zapoczątkowane 100 lat temu we Włoszech Jego dzieło, znane jest dziś na całym świecie. Salezjanie, Córki Maryi Wspomożycielki i Pomocnicy Salezjańscy pracują na wszystkich kontynentach. W 76 krajach świata prowadzą szkoły, oratoria, parafie; są obecni wśród najbiedniejszych i na katedrach uniwersytetów; wśród prymitywnych szczepów indiańskich i w super nowoczesnych wydawnictwach; zobaczysz ich pośród trędowatych i emigrantów; podróżują w poszukiwaniu młodzieży skazanej na kary więzienia, wśród narkomanów ...

A w Polsce? Ksiądz Bosko znany był społeczeństwu polskiemu jeszcze za swego życia. Świadczy o tym licznie zachowana korespondencja Polaków z Księdzem Bosko. Synowie św. Jana Bosko przybyli do Polski w dziesięć lat po Jego śmierci, tj. w 1898 r. Rozwój dzieł salezjańskich w Polsce był niezwykle dynamiczny. Ówczesne warunki poli-

tyczne nie sprzyjały jednak utworzeniu samodzielnej jednostki administracyjnej, zwanej *inspektorią*. Stało się to możliwe dopiero bezpośrednio po I wojnie światowej. Jak szybko rozwijało się dzieło Księdza Bosko w Polsce świadczy fakt, że już w 1933 roku można było utworzyć dwie Inspektorie Salezjańskie.

Co robią Salezjanie w Polsce? Pierwszym ich dziełem po przybyciu do Polski, była organizacja istniejącej do dziś szkoły zawodowej dla chłopców w Oświęcimiu. Cały zresztą okres, aż do najnowszych czasów, Salezjanie w Polsce znani byli z prowadzenia szkół i zakładów wychowawczych. Po zniszczeniach II wojny światowej, która nie oszczędziła nikogo, Salezjanie Polscy przeważnie pracują w duszpasterstwie parafialnym ze szczególnym uwzględnieniem młodzieży. Pewna ich część oddaje się pracy naukowej, liczni włączają się w pracę rekolekcyjną i misyjną w Kraju. Również idea misji zagranicznych, którą głęboko przejęty był Ksiądz Bosko, jest niezwykle żywa wśród Salezjanów Polaków.

Ten ogrom pracy w duchu Księdza Bosko, możliwy jest w Polsce dzięki liczebnemu wzrostowi Zgromadzenia. Fakt ten przyczynił się do tego, że — w grudniu 1979 roku — siódmy następca Księdza Bosko w zarządzaniu Zgromadzeniem Salezjańskim, ks. Egidio VIGANO z istniejących dotąd dwu Inspektorii, utworzył dalsze dwie.

Tak więc DROGI CZYTELNIKU, Ksiądz Bosko i jego dzieło żyją i są entuzjastycznie przyjmowani

przez ludzi na każdej szerokości geograficznej. Szczegółowych informacji w tym zakresie udzieli Ci:

Inspektorat Towarzystwa Salezjańskiego
ul. Konfederacka 6
30-306 KRAKÓW

Inspektorat Towarzystwa Salezjańskiego
ul. Kopcińskiego 1/3
90-242 ŁÓDŹ

Inspektorat Towarzystwa Salezjańskiego
ul. Krzywa 1
64-920 PIŁA

Inspektorat Towarzystwa Salezjańskiego
ul. Nowowiejska 47
50-315 WROCŁAW

Odnosnie do Sióstr Salezjanek, poinformuje Cię:

Inspektorat Córek Maryi Wspomożycielki
ul. Św. Jadwigi 11
50-266 WROCŁAW

3 3 6 2 1